

KSIĄŻNICA ŚLĄSKA

T. 33: 2021



BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

KSIĄŻNICA ŚLĄSKA

T. 33: 2021

Katowice 2021

RADA NAUKOWA

Dr hab. Agnieszka Borysowska (Książnica Pomorska, Szczecin)
Prof. dr hab. Beata Gaj (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa)
Prof. dr hab. Marek Hałub (Uniwersytet Wrocławski, Wrocław)
Prof. dr hab. Mariola Jarczykowska (Uniwersytet Śląski, Katowice)
Dr hab. prof. UJ Dorota Jarząbek-Wasyl (Uniwersytet Jagielloński, Kraków)
Prof. dr hab. Ryszard Kaczmarek (Uniwersytet Śląski i Instytut Badań Regionalnych
Biblioteki Śląskiej, Katowice)
Dr hab. prof. UŚ Zbigniew Kadłubek (Uniwersytet Śląski i Biblioteka Śląska, Katowice)
Marian J. Krzyżowski (emerytowany pracownik naukowy University of Michigan,
Ann Arbor, USA)
Prof. dr Olimpia Mitric (Ștefan cel Mare University of Suceava, Suczawa, Rumunia)
Dr Dorota Sidorowicz-Mulak (Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław)
ThDr. Józef Szymeczek (Ostravská Univerzita, Ostrawa, Czechy)
Dr hab. prof. UŚ Katarzyna Tałuc (Uniwersytet Śląski, Katowice)
Prof. dr hab. Anna Wypych-Gawrońska (Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy
im. Jana Długosza, Częstochowa)

RECENZENCI TOMU

Prof. dr hab. Janina Hajduk-Nijakowska
Prof. dr. hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Barbara Maresz, redaktorka naczelna
Marta Kasprowska-Jarczyk, sekretarz redakcji
Jan Baron
Agnieszka Magiera
Anna Musialik
Weronika Pawłowicz
Krystian Węgrzynek

ADRES REDAKCJI

Biblioteka Śląska w Katowicach
pl. Rady Europy 1
40-021 Katowice
ksiaznica.slaska@bs.katowice.pl
bs.katowice.pl

Redakcja tomu: Barbara Maresz, Anna Musialik

Tłumaczenia: Agata Duda-Koza (j. niemiecki), Magdalena Ujazdowska-Szuster (j. angielski)

Skład i łamanie: Zdzisław Grzybowski

Projekt okładki: Ryszard Latusek

Druk i oprawa: Biblioteka Śląska w Katowicach

© Copyright by Biblioteka Śląska w Katowicach, 2021

ISSN 0208-5798



Biblioteka Śląska jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego

Spis treści

Artykuły

LUCYNA SADZIKOWSKA

„Poległa za Polskę”.

Kobiety powstańcze w twórczości Gustawa Morcinka ➤ 9

MAŁGORZATA WITOWSKA

„Z pieśnią idziemy do Ciebie Polsko”.

Śpiewacy śląscy w powstaniach śląskich i plebiscycie ➤ 21

Relacje, wspomnienia, wiersze

ANDRZEJ LINERT

Strzelec śląski ➤ 47

JÓZEF SZYMICZEK

Z Gliwic do Dywizji Pancernej generała Maczka ➤ 75

BARBARA MARESZ (wybór i opracowanie)

Henryk Zbierzchowski wierszem

o powstaniach śląskich i plebiscycie ➤ 139

Artykuły



KSIAŻNICA
ŚLĄSKA

Książnica Śląska t. 33, 2021

ISSN 0208-5798

CC BY-NC-ND 4.0

LUCYNA SADZIKOWSKA

Uniwersytet Śląski w Katowicach

ORCID: 0000-0002-5509-4513

„Poległa za Polskę”. Kobiety powstańcze w twórczości Gustawa Morcinka

Streszczenie

Celem artykułu jest omówienie sposobu przedstawienia kobiet powstańczych w twórczości Gustawa Morcinka. Autorka przywołuje stereotypowe wyobrażenie Ślązaczki i odnosi je do bohaterek powieści osnutych wokół wątku powstań śląskich. Szczególną uwagę poświęca postaci Stazyjki z książki Mat Kurt Kraus. Podejmuje próbę zdekonstruowania historii, by zarysować inną od dotychczasowej interpretację jej losów. W przedstawionej analizie odwołuje się do prze-myśleń francuskiego filozofa Jeana-Luca Nancy'ego.

Słowa kluczowe

Gustaw Morcinek, powstania śląskie, Ślązaczka, kobieta, matka, wspólnota

Wprowadzenie

W opracowaniach literaturoznawczych, socjologicznych, historycznych, psychologicznych i językoznawczych zagadnienie stereotypu Ślązaczki¹, jej roli, pozycji i miejsca w rodzinie, wspólnocie, społeczeństwie, życiu społecznym i narodowym było wielokrotnie zgłębiane. Temat podejmowali m.in. Krystyna Kossakowska-Jarosz, Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Jacek Lyszczyzna czy Łucja Staniczakowa. Na ustaleniach tych uczonych oparte zostaną rozważania dotyczące kobiet powstańczych w twórczości Gustawa Morcinka, zamieszczone w pierwszej części artykułu. Druga część tekstu poświęcona będzie postaci Stazyjki – powstańczej bohaterki z powieści *Mat Kurt Kraus*. Utwór ten, wydany w 1957 roku, był trzecim w dorobku śląskiego pisarza, w którym podjął temat powstańczy². Książka nie zdobyła dużego uznania badaczy, choć np. Jacek Lyszczyzna stwierdził, że „należy do najwartościowszych utworów Morcinka”³.

Podjęmę próbę zdekonstruowania historii tej kobiety powstańczej, by zarysować inną od dotychczasowej interpretację losów Stazyjki⁴. Bohaterka ta wprowadzie różni się od tradycyjnych, stereotypowych Ślązaczek, ale warto ją z nimi porównać, a także analizować jej postać w oderwaniu od kontekstu – w jej intrygującej odmienności.

Literacka kreacja Stazyjki nie ma bowiem nic wspólnego z tak często przypisywaną Morcinkowi przez znawców i krytyków jego twórczości sztafpowatością czy naiwnością⁵. W powieści *Mat Kurt Kraus* czytelnik znajdzie natomiast kon-

¹ Wybitne badaczki, Wanda Mrozek i Dorota Simonides twierdzą, że na Śląsku panował swoisty matriarchat, a w domu głos matki był najważniejszy. Kobiety nie były też takie bardzo „przydomowe”. Od roku 1914 działał Związek Górnośląskich Towarzystw Kobietych, istniała prasa kobieca, jak „Głos Polek”, a w „Kocyndrze” Stanisław Ligoń wykreował postać Klachuli Pyscyckiej, która prowadziła świetny, bardzo nowoczesny, felieton kobiecy. Warto wspomnieć o publikacji Małgorzaty Górnikowskiej-Zwolak, *Szkic do portretu Ślązaczki. Refleksja feministyczna*, Katowice 2004.

² Temat powstańczy pojawia się w trzech powieściach pisarza: *Wyrąbany chodnik*, *Pokład Joanny* i *Mat Kurt Kraus*.

³ *Gustaw Morcinek – w 120-lecie urodzin*, red. K. Heska-Kwaśniewicz i J. Lyszczyzna, Katowice 2012, s. 37.

⁴ Wydaje się, że powszechnie dość stereotypowo interpretowane są czyny Stazyjki, jej status społeczny i czynniki, które motywowały bohaterkę do działania. Takie podejście do analizy tej postaci ujawnili referenci konferencji „Powstania śląskie i plebiscyt w literaturze” (19 marca 2021 roku) podczas towarzyszącego jej panelu dyskusyjnego. Postawione przez uczestników seminarium pytania dotyczące Chloe Czarneckiej, studentki trzeciego roku medycyny, asystentki w pociągu sanitarnym doktora Kujawskiego, sugerowały, że wpisuje się ona w obraz kobiety powstańczej. Stazyjka zaś jest zbyt nieoczywista, skomplikowana, złożona. Portret ślicznej Chloe o „lukierkowej urodzie”, jak stwierdził doktor, jest zbyt oczywisty, sztafpowy i uproszczony. Czarnecka jest córką emigranta, urodziła się i wychowała w Lille, do Polski przyjechała z wojskiem generała Hallera. Zapisła się na drugi rok medycyny na krakowskim uniwersytecie. Wraz z kolegami jako ochotniczka zgłosiła się do powstania. Podczas lektury okazuje się, że to siostra Staszka, który poległ z rąk Mata Kurta Krausa pod Sommą. „Chloe Czarnecka, mimo swego sceptycyzmu, z czasem stała się także pijana Śląskiem”. Zob. G. Morcinek, *Mat Kurt Kraus*, Warszawa 1957, s. 275.

⁵ Interesującym kontekstem dla opinii krytyków są słowa Gustawa Morcinka, odzwierciedlające jego pisarską strategię kreowania postaci literackich: „Bohater powieści musi żyć albo życiem narzuconym mu przez autora, albo własnym życiem ujawniającym się w trakcie pisania. Autor zaś musi ulegać przekonaniu, że to nie on zrodził owych bohaterów, lecz że sami się zrodzili, bez jego pomocy. Mało! Musi ulec złudzeniu, że owi fikcyjni nieraz bohaterowie istnieli rzeczywiście, albo że w tej chwili istnieją. Wtedy zaczyna się jakiś misterium” (G. Morcinek, *Narodziny moich bohaterów*, [w:] *Gustaw Morcinek w 70-lecie urodzin*, do druku przygotował T. Kijonka, Katowice 1961, s. 13).

cepcję wspólnoty, którą autor przedstawia, opisując powstańców, szczególnie kobiety powstańcze. Interesującą matrycą interpretacyjną dla stworzonej przez pisarza koncepcji wspólnoty Ślązaków są rozważania francuskiego filozofa Jeana-Luca Nancy'ego zawarte w pracy zatytułowanej *Rozdzielona wspólnota*⁶. Filozof poddaje namysłowi pojęcie wspólnoty, której zadaniem jest określenie istoty i ciągłości historycznej danej grupy społecznej. Analizuje również pojęcie „innego”, a także sposoby samookreślania się społeczności przez mityczną więź łączącą wszystkich członków wspólnoty – śmierć. Wspólnota jako zjawisko o charakterze kulturowym ma niezaprzeczalny wpływ na poczucie tożsamości.

Ślązaczka – cechy, wyznawane wartości, ideały

Na początku warto w syntetyczny sposób określić Ślązaczkę, zbiór jej cech, ideałów i wyznawanych przez nią wartości. Śląska kobieta, której wzorzec utrwała się od dziesięcioleci, charakteryzuje się kilkoma niezbywalnymi cechami: wytrwale strzeże śląskiego porządku i kultury, nieugięcie stoi na straży kontynuacji rodzimych etosów⁷. Ponadto jest odpowiedzialna za wychowanie potomstwa i pielęgnowanie w nim systemu wartości ustalonego w społeczności śląskiej⁸. Rola ta rozszerza się na płaszczyznę tradycji narodowej, a stąd już tylko krok do mitu Matki Polki jako obrazu idealnej Ślązaczki⁹. W powieści *Wyrąbany chodnik*, w której pisarz przedstawia matki jako zwyczajne kobiety – kochające dzieci, zajmujące się domostwem, dbające o rodzinne ognisko domowe, nie znajdziemy takiego wzorca. Zdecydowanie bliżej do Matki Polki Stazyjce, która stawia patriotyzm ponad wszystko. Opuszcza dom, pod opieką starzyka pozostawia syna i rusza do powstańczej walki.

A zatem kobieta w twórczości Morcinka spełnia się nie tylko jako gospodyni i matka, lecz także jako uczestniczka powstania. Dla pisarza postać matki¹⁰ ma szczególne znaczenie (by wspomnieć np. opowiadanie *Po kamienistej drodze*, które jest swoistą summą wszystkich literackich opowieści o matce¹¹). Autor *Zagubionych*

⁶J.-L. Nancy, *Rozdzielona wspólnota*, wstęp T. Załuski, tł. M. Gusin, T. Załuski, Wrocław 2010.

⁷K. Kossakowska-Jarosz, *Anielska kobieta – wariant śląski*, [w:] *Anioł w literaturze i kulturze*, red. J. Ługowska, J. Skawiński, Wrocław 2004, s. 340.

⁸Por. H. Gerlich, *Wizerunek niewiasty cnotliwej w górnośląskich przekazach międzygeneracyjnych – od schyłku XIX wieku do połowy XX wieku*, [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX. Zbiór studiów*, t. VIII, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 2004.

⁹„W wyidealizowanym obrazie Górnoślązaczki zaakcentowany został patriotyzm, jako główna cecha charakteru. (...) Jest jednak protagonistką, która świadomie uczestniczy w wydarzeniach czasu i marząc o wolności rodzinnego Śląska, wspiera działania walczących o polską sprawę” (G.B. Szewczyk, *Postać Górnoślązaczki w literaturze niemieckiej i polskiej w XIX i XX wieku*, [w:] *Udział kobiet w polskim ruchu narodowym na Górnym Śląsku i Śląsku Cieszyńskim w XIX i XX wieku*, red. H. Karczyńska, Opole 1996, s. 123).

¹⁰Najoryginalniejszą postacią macierzyńską w pisarstwie Gustawa Morcinka jest matka z *Inżyniera Szerudy*. To postać silnie zdeterminowana, zabiera Matce Boskiej dzieciątko, którego nie odda dopóki jej „syneczek” nie wróci z kopalni. To wprawdzie nie ma związku z powstaniami, ale dopełnia katalog Morcinkowych kreacji kobiecych.

¹¹Zob. L. Sadzikowska, *Portret matki w opowiadaniu „Po kamienistej drodze” Gustawa Morcinka*, [w:] *W krajobraz literacko-kulturowy i językowy wpisane... Księga jubileuszowa dedykowana Profesor Bernadecie Niesporek-Szamburskiej w czterdziestelecie pracy naukowej i dydaktycznej*, red. A. Guzy, D. Krzyżyk, M. Ochwat, M. Wójcik-Dudek, Katowice 2018, s. 157–174.

kluczy, odwołując się do osobistego doświadczenia i więzi synowsko-matczyńnych, własną rodzicielkę czyni w czasie powstań pierwowzorem postaw macierzyńskich oraz opiekuńczych. W *Wyrąbanym chodniku* odnajdujemy wyrazisty obraz autentycznej, prostej, niewykształconej kobiety powstańczej o dużej wrażliwości i inteligencji. Jest ona „pełna miłości i poświęcenia dla syna. A przy tym jakże dumna i szlachetna”¹². Społeczna rola skrzętnej, pilnej, pocziwej oraz taktownej i miłosiernej dla drugiego człowieka śląskiej pani domu wyznacza ramy dalszych oczekiwań wobec „anielskiej” i gospodarnej śląskiej kapłanki domowego ogniska.

Ciężko pracując, często ponad siły, imając się różnych zajęć i prac (m.in. sprzątanie kancelarii urzędników, sortowanie węgla, uprawa roli, zajmowanie się domostwem), kobiety łagodzą trudny los najbliższych. O pomoc proszą w codziennej modlitwie Boga, w Jego opiekę oddają w szczególności dzieci (paralela do modlącej się za syna Matki Boskiej). Przygarbiona, ze zniszczonymi pracą dłońmi kobieta śląska w pokorze i milczeniu, pełna miłości, niemo błaga Boga o szczęśliwy los, pragnie doczekać chwili, kiedy synowie (dzieci) ziemi śląskiej będą bezpieczni. To też jedna z odsłon kobiety powstańczej. W *Wyrąbanym chodniku* pisarz buduje przejmującą historię matki-Ślązaczki w trakcie powstania, uwznioślonej cierpieniem i przepełnionej tklivością i oddaniem. Utwór ewokuje problematykę bezwarunkowej, bezgranicznej, a jakże zwykłej matczynej miłości i jej sensu oraz jakości istnienia człowieka, funkcjonowania dobra i prostego piękna. Matka, kobieta śląska, jest pierwszym pedagogiem Karliczka czy Zeflika, przygotowuje ich do życia, od najmłodszych lat wdrażając chłopców w tryb pracy, ucząc samodzielności, zaradności życiowej, edukując o konieczności pewnego rygoru. Matka daje świadectwo, że w rodzinie istotne są harmonia, ład, szczerłość i poczucie odpowiedzialności jej członków za swoje postępowanie.

Kreując postać matki powstańca, autor zaświadcza o jej heroicznym człowieczeństwie przejawiającym się w zwyczajnych, codziennych sytuacjach. Motyw ten Morcinek ukazuje na szerokim tle środowiska, górniczej społeczności, zarazem uwypukla osobisty stosunek do rodzicielki. Powieści Morcinka o tematyce powstańczej to teksty o trudnym wymiarze ludzkiego istnienia, o doświadczaniu bólu, bezradności wobec losu oraz ograniczenia wobec biedy i zaistniałych przeciwności. To także piękne, autobiograficzne świadectwa miłości matki do syna.

Matki opiekują się dziećmi przez całe życie. Pomagają powstańcom, osłaniają ich, dając świadectwo ofiarności i poświęcenia. By pomóc synom, wykonują każde, nawet najbardziej upokarzające polecenie wroga, przedkładają bowiem miłość do dzieci nad miłość do samych siebie.

[...] synka znaleźli w słomie. Za nogi go zwlekli po schodach, a kiedy chłopak wył z bólu – bo miał nogę przestrzeloną [...] wszyscy ryczeli jak stado opętańców, naigrawali się z matki, która się u ich nóg czołgała, kazali jej śpiewać *Heil der im Siegeskranz!*..., a kiedy matka, pragnąca swego jedynaka ratować, zaczęła skowyczącym głosem bełkotać słowa ich pieśni, znowu ją kopali i krzyczeli: – Głośniej, głośniej! [...] Na drugi dzień zmarła¹³.

¹² K. Heska-Kwaśniewicz, „Kolorowy rytm życia: studia o prozie Gustawa Morcinka”, Kraków 1993, s. 13.

¹³ G. Morcinek, *Wyrąbany chodnik*, t. 3, Cieszyn 1947, s. 149.

Prawda psychologiczna, jaka wybrzmiewa z tego symbolicznego wręcz opisu dręczenia syna i matki, wydaje się niezwykle czytelna. Rodzicielka powstańca nie jest osobą delikatną, walczy, ma siłę upodlić się, by ulżyć synowi w cierpieniu. Jej uczucia objawiają się prosto, zwyczajnie – przez troskę o najbliższą rodzinę. Opisana bohaterka odrzuca bierność i podejmuje próbę uratowania syna.

Matczyna miłość domaga się wyjścia poza egoizm i mimowolnie wpisuje się w życie dziecka. Altruistyczna postawa matki powstańczej to kwintesencja miłości. Pisarz na tle górniczego krajobrazu ukazuje czytelnikowi przeżycia powstańczej kobiety – prostej i dumnej, oszczędnej, gospodarnej, walczącej z przeciwnościami, twardej i dalekiej od użalania się nad sobą, a jednocześnie wrażliwej, zawstydzonej, niepewnej siebie, o anielskiej dobroci i łagodności¹⁴.

W rysunku postaci matki i jednocześnie kobiety powstańczej, która nie uczestniczy w zbrojnej walce aktywnie, pisarz łączy zarówno cechy środowiskowe, jak i indywidualne. Te pierwsze są manifestowane przez zajęcia, wykonywane czynności: zbieranie i pranie bielizny, ładowanie węgla do ogromnych taczek, kopanie tzw. wołków w ciężkiej glinie. Śląska kobieta przeżywa biedę i upokorzenie, ciężko pracuje przy sortowaniu węgla i kamieni, zbiera opał i szuka na hałdzie pisa-ka – węgla przerośniętego cienkimi warstewkami łupku. W zimie ładuje węgiel do ogromnych taczek, które wywozi do wagonów. Ta praca – wykonywana przez kobiety i dziewczyny – jest najgorzej opłacana: „matka spieszyła się wraz z innymi robotnicami, wrzucała szuflą węgle do taczek, ujmowała ciężar i pchała z wysiłkiem na chwiejny pomost drewniany, pod którym czekał próżny wagon. Trzeba było nie tylko sporo sił, ale i nie lada zręczności, by taczki z węglem tak przewrócić, żeby nie runęły głęboko w wagon i nie pociągnęły jej ze sobą pod pomost”¹⁵. Matka pracą ponad siły dowodzi, że żyje wyłącznie dla syna, nie dla siebie. Jednocześnie rodzicielki „przysposabiały chłopców do pogodzenia się z ich życiowym zadaniem: praca jest przeznaczeniem człowieka”¹⁶.

O indywidualizacji postaci kobiety powstańczej decyduje jej psychika, a nie cechy wyglądu czy ubioru: „W chwilach najwyższego znużenia, kiedy w oczach jęły wirować jasne koliska, a nogi ugiwały się pod nią, przywodziła na myśl swojego Karlika. I wtedy jakby nowe siły w nią wstępowały”¹⁷. Nie pragnie niczego dla siebie, jest onieśmielona, trochę zagubiona. Marzy o dobrej przyszłości dla potomstwa. W tym celu matki osłaniają i pomagają powstańczym synom.

Stazyjka i „rozdzielona wspólnota”

Część druga artykułu bazuje na koncepcji „rozdzielonej wspólnoty” Jeana-Luca Nancy’ego i wynikającej z niej tezie, że wspólnota jest wspólnotą „innych”. Stazyjka jest „pierwszą dziewczyną”¹⁸ Kurta Krausa, którego „ciągnęła do polskie-

¹⁴ Zob. K. Kossakowska-Jarosz, *Anielska kobieta – wariant śląski...*, s. 340.

¹⁵ G. Morcinek, *Po kamienistej drodze*, Warszawa 1955, s. 66–67.

¹⁶ Ł. Staniczakowa, *Herosi i „chachary”. Portret Górnoślązaka w literaturze i publicystyce dwudziestolecia międzywojennego*, Kraków 2009, s. 159.

¹⁷ G. Morcinek, *Po kamienistej drodze...*, s. 67.

¹⁸ Tegoż, *Mat Kurt Kraus...*, s. 6.

go chóru i uczyła śpiewać polskich pieśni, narodowych”¹⁹. Przez niego staje się „zowitką, czyli dziewczyną z dzieckiem”²⁰. Bohaterka ta ma wiele – jak określiłby Jean-Luc Nancy – z indywidualum, czyli coś absolutnie oddzielnego dla-siebie, swoje własne źródło i pewność; uczestniczy wyłącznie w swojej inności. Jak to literacko realizuje Morcinek w kreowaniu jej postaci? Otóż pisarz w Stazyjce dał czytelnikowi obraz Ślązaczkii – matki, opiekunki, która po wewnętrznej ewolucji stała się powstańczynią, silnie odczuwającą potrzebę wyrażenia siebie, własnych przekonań i wartości; kobietą, która na równi z mężczyznami-powstańcami walczy o Polskę. Wyrastając z roli dziouchy, której rodzice się wyparli, bo miała „dziecko z takim chacharem”²¹ jak Kraus, a potem także z roli matki i gospodyni, odrzucając przypisywaną dotychczas kobiecie rolę społeczną, realizuje zadanie ochrony ogniska domowego w niekonwencjonalny sposób. Za dom uznaje Polskę, ojczyznę. Najważniejsza staje się walka o to, by stać się niezależnym, niepodległym, w pełni wolnym. Warto dodać, że mając propozycję wyjścia za mąż i tym samym awansowania w hierarchii lokalnej społeczności z zowitki do roli mężatki, Stazyjka odrzuca oświadczyzny absztyfikanta, gdyż „to pieroński German...”²². Czekając na powrót Kurta, który wyparł się polskości, podobnie jak Stazyjki i ich synka, bohaterka codziennie podejmuje trud godnego życia, ściera się z przeciwnościami losu oraz dystansem i lekceważeniem ze strony mieszkańców Sośnicy, miejscowości w pobliżu Gliwic.

Symbolem powstańczej śląskiej wspólnoty opisaną przez Morcinka jest właśnie walka – prowadzona w sposób otwarty i skryty. Stazyjka doskonale to rozumie. Marginalna, usilnie niszczona przez oprawców wspólnota Ślązaków wydaje się niespójna, niepewna swej tożsamości; w założeniu powinna stać się podzielona i wewnętrznie niezborna. Nic bardziej mylnego – niszczenie członków śląskiej wspólnoty konsoliduje i solidaryzuje pozostałe ofiary. Rodzi się w nich potrzeba zorganizowania się w grupę, w zespół, który da odpór oprawcom, wyrówna krzywdy. Pragnienie wspólnotowego uniesienia i poczucia jedności jest fantazmatyczną cechą łączącą indywidua – jednym z nich jest Stazyjka, która wspólnotowo sytuuje się wśród powstańców. Wspólnota jest jej dana przez innych jako coś, czego nie można immanentnie doświadczyć. Stazyjka musi dokonać wyboru, zdecydować, czy bliżej jej do Matki Polki czy raczej matki i gospodyni. Wybiera oddzielenie od syna, czym tworzy sobie możliwość doświadczenia losu aktywnej kobiety powstańczej. Staje się łączniczką z drugiego powstania.

W przeciwieństwie do kobiet powstańczych ukazanych w *Wyrąbanym chodniku* czy *Pokładzie Joanny*, w powieści *Mat Kurt Kraus* mamy do czynienia z pogłębionym rysunkiem psychologicznym Stazyjki. Nie jest ona tylko prostą i pracowitą Ślązaczką. Patriotyczną postawę wobec „ziemi ojców” poświadczała w działalności „pozadomowej”, głównie jako członkini żywo rozwijającego się

¹⁹ Tamże, s. 22.

²⁰ Tamże, s. 29.

²¹ Tamże, s. 33.

²² Tamże, s. 33.

chóru²³. Czytuje Mickiewicza²⁴ i pragnie, by Kurt Kraus pokochał ojczyznę, by zrozumiał, w imię jakich wartości powinien przelewać krew. Na marginesie ulubionej książeczki, obok słów Mickiewicza, Stazyjka dopisała: „Kurt jest taki! Muszę go nauczyć kochać naszą matkę Ojczyznę”²⁵. Paradoksalnie, na co również wskazuje Jean-Luc Nancy, cel Stazyjki zostaje osiągnięty dopiero w dniu jej pogrzebu. Podczas rozmowy z Kapustą o tym, co powinno być napisane na krzyżu nagrobnym, Kurt doznaje olśnienia:

- Co jeszcze?
- Że zginęła za Polskę...
- Że co?
- Padom, że zginęła za Polskę!

Kurt spojrział nań zdumiony. Uderzyło go to słowo, wstrząsnęło odkrytą znieścacką tajemnicą. Dostrzegł w nim nareszcie tę samą treść, jaką widziała Stazyjka. Jakby je ktoś wyłuskał z twardej, chropowatej łupiny i na dłoni mu podał niby słodki owoc. Jakież to wielkie słowo! Jak matka, jak Bóg, jak morze, śmierć, Stazyjka!...

Schylił się i dopisał na tabliczce: „Poległa za Polskę”²⁶.

Opisywane przez Morcinka wyobcowanie powstańców, mieszkańców Śląska, i nietożsamość, inność czy początkowy brak zrozumienia polskości przez Kurta traktować należy jako gest literacki, wytyczenie nowej drogi mapowania historycznych niuansów regionu i mieszkającej w nim społeczności. Pisarz, konstruując bohaterki powieści – kobiety powstańcze – eksperymentuje, choć punktem odniesienia czyni „pragnienie, by się nie czuć jak *„etwas minderwertiges* wobec Niemców”²⁷. Szukając literacko najtrafniejszych rozwiązań w kreowaniu postaci powieści, pragnie dotrzeć do wspólnoty, z którą mogłyby się one utożsamiać. Czyniąc ze Stazyjki łączniczkę, dzięki której powstańcom udaje się uniknąć zasadzki przygotowanej przez wroga, autor włącza ją we wspólnotę walczących o śląskość: „Jak to dobrze, że Stazyjka zdołała wyszperać, iż te pierony zagrodzą drogę. Gdyby nie ona, weszliby w środek wsi, w zasadzkę, a karabin maszynowy na wieży uczyniłby z batalionu Kruka krwawą jatkę!”²⁸.

Możliwa jest jeszcze inna interpretacja postawy Stazyjki. Kurt kojarzy się z walką, jest fizycznie silniejszy, doświadczony na wojennym froncie. Ale to słabsza fizycznie Stazyjka, śląska kobieta, zajmująca, jak się wydaje, podrzędną pozycję w rodzinie, ma moc sprawczą, by wyzwolić w mężu chęć walki o Polskę. Śmierć bohaterki włączyła Kurta do wspólnoty śląskich walczących powstańców.

²³ K. Kossakowska-Jarosz, *Etos Ślązaczki – standardy znaczeniowe czy życzeniowe?*, [w:] *Śląskość – siła tradycji i współczesne problemy*, red. K. Kossakowska-Jarosz, Opole 2005, s. 97.

²⁴ Warto dodać, że Adam Mickiewicz był faktycznie bardzo popularny na Śląsku. Świadczy o tym zarówno prasa, jak i działalność wydawnicza Karola Miarki. O sławie i rozgłosie Adama Mickiewicza na Śląsku jest wspomnienie prof. Stanisława Pigionia z tomu *Z Komborni w świat. Wspomnienia młodości* (z przedmową Franciszka Bujaka, Kraków 1947). Wartościowymi pozycjami są również książka Jacka Koraszewskiego *Czym był Mickiewicz dla Śląska w okresie walk o wyzwolenie społeczne i narodowe* (Katowice 1956), a także czasopismo „Głosy znad Odry” (redagowane przez ks. Emila Szramka), zasłużone dla popularyzowania poezji wieszczów narodowych.

²⁵ G. Morcinek, *Mat Kurt Kraus...*, s. 199.

²⁶ Tamże, s. 201.

²⁷ Tamże, s. 212.

²⁸ Tamże, s. 187.

Paradoksalnie śmierć jest urzeczywistnieniem immanentnego życia, toteż człowiek zupełnie spełniony we wspólnocie jest człowiekiem umarłym. Byt jednostkowy, Morcinkowy bohater, jest „ekspozycją” relacyjną, czyli staje się wyeksponowany na inne byty jednostkowe. Warto podkreślić, że „Niezależnie od owego zwyczajowego, tradycyjnego pojmowania śmierci, pojawiały się też określone reakcje kulturowe”²⁹. Wydaje się, że dlatego Stazyjka istnieje tak, jakby była poza sobą. Wiele jej doświadczeń zawartych jest w doświadczeniach innych bytów jednostkowych. Śmierć stanowi o wspólnocie skończonych, jednostkowych istnień. Jest czymś wspólnym dla wszystkich, a zarazem czymś odrębnym i odmiennym dla każdego z nas. Możemy doświadczać śmierci tylko poza sobą, za sprawą śmierci innych. Kurt boleśnie doświadcza śmierci Stazyjki.

Śmierć wyznaczyła skończoność Stazyjki, choć równolegle nierozzerwalnie powiązała ją z immanentnie rozumianą śląską wspólnotą. Śmierć bohaterki bowiem była jednocześnie czymś całkowicie i absolutnie jednostkowym, specyficznym dla każdego z osobna; staje się czymś innym dla każdego, kto żył w czasie powstań. Jednocześnie była czymś niedostępnym oraz czymś powszechnym i koniecznym. Ślężacy doświadczają śmierci innych jako czegoś poza nimi, choć wpływającego na ich postawę, psychikę, odczucia: „Stazyjka była błada. Dygotała ze wzruszenia. Po raz pierwszy patrzyła na rzeź ludzi. I po raz pierwszy widziała wyzwalającą się nienawiść”³⁰. Mogą tylko widzieć śmierć innych i w tym sensie przeżywać to zjawisko, co opisuje Morcinek na przykładzie śmierci Stazyjki i przemiany Kurta w patriotę. Śmierć, będąc sytuacją graniczną, stanowi podstawę do zdekonstruowania pojęcia wspólnoty. „Śmierć nieodwołalnie przekracza możliwości metafizyki podmiotu”³¹.

W prozie powstańczej Gustawa Morcinka kobiety powstańcze wspólnoty doświadczały wyłącznie przez innych, jako coś, czego same nie mogły doznać. Doświadczanie powstańczej wspólnoty mogło okazać się dla śląskiej kobiety powstańczej wybawieniem lub przekleństwem.

Zakończenie

Warto podkreślić, że obraz kobiety, w tym kobiety powstańczej, w twórczości Morcinka w znacznym stopniu podlega typizacji. Niezmiennie podkreśla się, że choć praktycznie o wszystkim decyduje żona-matka, to pozycję dominującą zajmuje mężczyzna ze względu na pełnioną funkcję ekonomiczną (dostarczyciel środków potrzebnych do egzystencji).

Morcinek, w dobrej wierze, przedstawia Ślężaczki jako jeden z najważniejszych filarów życia społecznego, podkreślając ciężącą na nich odpowiedzialność za formowanie tożsamości w obrębie rodziny, a przez to także za kształtowanie obywatelskich wartości w regionie. Wychodząc z takiej wizji, pisarz zakłada, że

²⁹ M.G. Gerlich, *Narodziny, zaślubiny, śmierć w kontekście wiary i życia religijnego*, w: *Sacrum i jego otoczka kulturowa w realiach górnośląskich. Między dawnymi a nowymi czasami*, red. M.G. Gerlich, Katowice 2020, s. 133.

³⁰ G. Morcinek, *Mat Kurt Kraus...*, s. 189.

³¹ J.-L. Nancy, *Rozdzielona wspólnota...*, s. 24.

w postawach śląskich kobiet zawierają się najszlachetniejsze uczucia, dzięki którym Ślżaczki są zdolne budować dobro wspólnoty rodzinnej oraz rodziny w wymiarze zbiorowym, czyli społeczności Śląska. Dzięki patriotycznemu nastawieniu śląskie kobiety, jak pokazuje Morcinek, mogą zapewnić ciągłość i trwanie w regionie swojskości, a nawet polskości. Służąc z oddaniem na rzecz rodzinnego domu, gwarantują pomyślność najbliższych. W tym kontekście zastanawia postać walczącej Stazyjki, łączniczki między idącymi na Łędziny batalionami Kruka i Siwka, bohaterki, która wierzyła w słowa Mickiewicza – „wierzyła i to tak mocno, że aż zginęła zastrzelona przez chołdynowskich lucyferów”³².

Bibliografia

- Gerlich Halina (2004), *Wizerunek niewiasty cnotliwej w górnośląskich przekazach międzygeneracyjnych – od schyłku XIX wieku do połowy XX wieku*, [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX. Zbiór studiów*, t. VIII, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa: Wydawnictwo DiG, s. 397–419.
- Gerlich Marian Grzegorz (2020), *Narodziny, zaślubiny, śmierć w kontekście wiary i życia religijnego*, [w:] *Sacrum i jego otoczkę kulturową w realiach górnośląskich. Między dawnymi a nowymi czasami*, red. M.G. Gerlich, Katowice: Instytut Myśli Polskiej im. W. Korfańskiego, s. 64–96.
- Górnikowska-Zwolak Małgorzata (2004), *Szkic do portretu Ślżaczki. Refleksja feministyczna*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.
- Gustaw Morcinek – w 120-lecie urodzin (2012), red. K. Heska-Kwaśniewicz, J. Lyszczyna, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.
- Heska-Kwaśniewicz Krystyna (1993), „Kolorowy rytm życia”. *Studia o prozie Gustawa Morcinka*, Kraków: Universitas.
- Kossakowska-Jarosz Krystyna (2004), *Anielska kobieta – wariant śląski*, [w:] *Anioł w literaturze i kulturze*, red. J. Ługowska, J. Skawiński, Wrocław: Oficyna Wydawnicza ATUT, s. 340–356.
- Kossakowska-Jarosz Krystyna (2005), *Etos Ślżaczki – standardy znaczeniowe czy życzeniowe?*, [w:] *Śląskość – siła tradycji i współczesne problemy*, red. K. Kossakowska-Jarosz, Opole: Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, s. 91–108.
- Morcinek Gustaw (1957), *Mat Kurt Kraus*, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.
- Morcinek Gustaw (1961), *Narodziny moich bohaterów*, [w:] *Gustaw Morcinek w 70-lecie urodzin*, do druku przygotował T. Kijonka, Katowice: Wydawnictwo „Śląsk”, s. 8–15.
- Morcinek Gustaw (1955), *Po kamienistej drodze*, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.
- Morcinek Gustaw (1947), *Wyrębany chodnik*, t. 3, Katowice: „Ognisko” Spółdzielnia Księgarska, Cieszyn: Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra.

³²G. Morcinek, *Mat Kurt Kraus...*, s. 199.

- Nancy Jean-Luc (2010), *Rozdzielona wspólnota*, wstęp T. Załuski, tł. M. Gusin, T. Załuski, Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej.
- Sadzikowska Lucyna (2018), *Portret matki w opowiadaniu „Po kamienistej drodze” Gustawa Morcinka*, [w:] *W krajobraz literacko-kulturowy i językowy wpisane... Księga jubileuszowa dedykowana Profesor Bernadecie Niesporek-Szamburskiej w czterdziestolecie pracy naukowej i dydaktycznej*, red. A. Guzy, D. Krzyżyk, M. Ochwat, M. Wójcik-Dudek, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, s. 157–174.
- Staniczkowa Łucja (2009), *Herosi i „chachary”. Portret Górnolązaka w literaturze i publicystyce dwudziestolecia międzywojennego*, Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.
- Szewczyk Grażyna Barbara (1996), *Postać Górnolązaczki w literaturze niemieckiej i polskiej w XIX i XX wieku*, [w:] *Udział kobiet w polskim ruchu narodowym na Górnym Śląsku i Śląsku Cieszyńskim w XIX i XX wieku*, red. H. Karczyńska, Opole: Uniwersytet Opolski, Katowice: Societas Scientiarum Favendis Silesiae Superioris – Instytut Górnośląski, s. 120–128.

„She died for Poland”.

Female Insurgents in Gustaw Morcinek’s writing

Summary

The aim of this article is to discuss the image of female insurgents in Gustaw Morcinek’s writing. The author recalls a stereotypical Silesian woman and compares her to heroines of novels based around the theme of Silesian Uprisings. She draws our attention to Stazyjka, a character of Mat Kurt Kraus and dares to deconstruct the official history to picture an innovative interpretation of the heroine’s life. In her interpretation, Sadzikowska refers to thoughts of a French philosopher Jean-Luc Nancy.

Key words

Gustaw Morcinek, Silesian Uprisings, a Silesian woman, a woman, a mother, community

„Sie starb für Polen”.

Die Frauen kämpfende in den Aufständen in den Werken von Gustaw Morcinek

Zusammenfassung

Die Autorin in ihrem Artikel diskutiert die Möglichkeiten der Darstellung aufständischer Frauen in den Werken von Gustaw Mor-

ciniek. Sie beschwört das stereotype Bild einer schlesischen Frau herauf und verbindet es mit den Heldinnen von Romanen, die sich um das Thema der schlesischen Aufstände drehen. Besondere Aufmerksamkeit widmet Sie der Figur der Stazyjka aus dem Buch *Mat Kurt Kraus*. Die Autorin versucht, die Geschichte zu dekonstruieren, um ihr Schicksal anders als bisher zu interpretieren. In der vorgelegten Interpretation bezieht Sie sich auf die Gedanken des französischen Philosophen Jean-Luc Nancy.

Schlüsselwörter

Gustaw Morcinek, die Aufstände in Oberschlesien, Schlesierin, Frau, Mutter, Gemeinschaft



KSIAŻNICA
ŚLĄSKA

Książnica Śląska t. 33, 2021

ISSN 0208-5798

CC BY-NC-ND 4.0

MAŁGORZATA WITOWSKA

Biblioteka Śląska

**„Z pieśnią idziemy do Ciebie, Polsko”.
Śpiewacy śląscy w powstaniach śląskich i plebiscycie**

Streszczenie

Przedmiotem artykułu jest udział członków Związku Śląskich Kół Śpiewaczych w powstaniach i plebiscycie na Górnym Śląsku. Autorka, opierając się na przechowywanym w Bibliotece Śląskiej rękopiśmiennym zbiorze *Materiały do historii śląskich chórów i zespołów śpiewaczych*, opisuje początki ruchu śpiewaczego na Śląsku, trudną sytuację związaną z represjami ze strony władz niemieckich, a także podaje przykłady zaangażowania śpiewaków w działania powstańcze i akcję propagandową związaną z plebiscytem.

Słowa kluczowe:

Górny Śląsk, Związek Śląskich Kół Śpiewaczych, chór, orkiestra, powstania śląskie, plebiscyt na Górnym Śląsku

W 1940 roku planowano uroczyste obchody trzydziestolecia powstania Związku Śląskich Kół Śpiewaczych. Z tej okazji miał się odbyć wielki, ogólnopolski zjazd śpiewaków, zamierzano również wydać okolicznościową monografię. Przygotowania do jubileuszu Zarząd Związku rozpoczął już trzy lata wcześniej. W grudniu 1937 roku rozesłał do podległych chórów pismo z apelem o nadsyłanie wiadomości o działalności zespołów w latach przedwojennych, a także w trudnym czasie plebiscytu i powstań śląskich. W piśmie szczegółowo określono, jaki charakter mają mieć gromadzone materiały. Zarząd oczekiwał następujących informacji:

- opisy prześladowań i trudności, na jakie chóry napotykały ze strony władz pruskich (m.in. informacje o procesach i grzywnach),
- życiorysy wybitniejszych członków i działaczy,
- informacje o pracy chórów w akcji plebiscytowej oraz o udziale członków chórów w powstaniach śląskich,
- wykazy poległych, zamordowanych oraz informacje o grobach powstańców i pomnikach.

Jednocześnie Zarząd zwrócił się z prośbą o udostępnienie fotografii, programów i innych oryginalnych dokumentów, które po opracowaniu monografii miały zostać zwrócone właścicielom. Termin nadsyłania materiałów wyznaczono na 1 kwietnia 1938 roku. Pismo podpisali wiceprezes Tadeusz Kowalczyk i sekretarz Jan Fojcik. Zapewne nie wszystkie zespoły odpowiedziały na apel, skoro 30 sierpnia 1938 roku ponowiono okólnik. Dzisiaj nie wiemy, ile chórów przesłało dokumentację, bo zachowały się, niestety, jedynie fragmenty bogatego archiwum Związku Śląskich Kół Śpiewaczych. Już na początku II wojny światowej większość materiałów uległa zniszczeniu, gdy lokal Związku został przekazany niemieckiej organizacji kobiecej, a znajdujące się tam materiały oddano na makulaturę. Z trudem ocalono od zniszczenia część dokumentów, które (pieczołowicie przechowywane) przez kolejne lata stały się skarbnicą wiedzy o polskim amatorskim ruchu śpiewaczym na Śląsku w początkach XX wieku.

W 1998 roku część biblioteki i archiwum Związku Śląskich Kół Śpiewaczych trafiła do zbiorów Biblioteki Śląskiej. W przekazanej kolekcji znalazły się między innymi: druki muzyczne, śpiewniki, druki zwarte i ciągłe, fotografie, rękopisy oraz dokumenty życia społecznego (afisze, ulotki, ogłoszenia). Najcenniejszym i szczególnie interesującym oraz unikatowym fragmentem tej kolekcji były rękopisy. Znalazły się tu między innymi spuścizny Stefana Mariana Stoińskiego¹ (kompozytora i dyrygenta) oraz Stanisława Ignacego Rączki (dyrygenta chórów)², a także różnorodne dokumenty związane z działalnością Związku Śląskich Kół Śpiewaczych. Wśród nich na uwagę zasługuje teka, którą archiwista Związku nazwał: *Historia zespołów (maszynopisy i rękopisy)*, a w Bibliotece Śląskiej skatalogowana została pod tytułem *Materiały do historii śląskich chórów i zespołów śpiewaczych* (sygnatura R 5345 III) i włączona do zbiorów rękopiśmiennych. Warto

¹ M. Witowska, *Spuścizna Stefana Mariana Stoińskiego w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Katalog*, Katowice 2007.

² M. Witowska, *Stanisław Ignacy Rączka – kompozytor w służbie chóralistyki*, „Książnica Śląska” 2016, t. 29, s. 154–179.

przyjrzeć się tej szczęśliwie zachowanej tece, bo zawiera wiele ciekawych i unikatowych materiałów świadczących o aktywnym udziale członków polskich chórów w akcji plebiscytowej oraz w powstaniach śląskich.

Materiały do historii śląskich chórów i zespołów śpiewaczych.

Opis zawartości rękopisu

Teka składa się głównie z kronik, wiadomości i sprawozdań nadesłanych do Zarządu Głównego Związku Śląskich Kół Śpiewaczych w odpowiedzi na wspomniany okólnik z 1937 roku oraz ze sprawozdań chórów zebranych w odpowiedzi na ankietę rozesłaną okólnikiem nr 10/46 z dnia 26 października 1946 roku. Ponadto dołączono: przemówienie prezesa Okręgu Rybnickiego Maksymiliana Basisty na Walnym zebraniu Delegatów Okręgu Rybnickiego w dn. 15.10.1950 r., spisy składów zarządów chórów od powstania do 1947 roku, listy członków chórów, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej, wycinek prasowy z „Nowin Rybnickich” (1957 nr 4) dotyczący historii Towarzystwa Śpiewaczego „Feniks” w Żorach, sprawozdania z działalności ruchu śpiewaczego Okręgu Piekarskiego w czasie okupacji 1939–1945 (działalność śpiewacza w obozach jenieckich i podczas robót przymusowych, gdzie przebywali piekarscy śpiewacy) w relacji Emanuela Rurańskiego, wnioski o nadanie odznaki honorowej Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych dla Towarzystwa śpiewaczego „Harmonia” w Cieszynie w 1948 roku oraz *Szkic pamiętnika* autorstwa Emanuela Guziura (wspomnienia z działalności na Zaolziu i Cieszynie w latach 1920–1958).

Interesujące nas materiały przedwojenne, dokumentujące działalność „narodowowyzwoleńczą i okołoplebiscytową” śląskich chórów, obejmują 24 sprawozdania. Są to: zebrane wiadomości o działalności narodowej Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział Mieszany „Harmonia” w Mikołowie; historia „Lutni” Towarzystwa Śpiewaczego w Pszczynie; kronika Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział „Harmonia” Tychy; odpis z kroniki Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział Mieszany „Gwiazda” w Chorzowie; wiadomości o działalności chóru im. Moniuszki w Chorzowie; informacje ze Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział im. Moniuszki w Łagiewnikach; historia założenia i działalności Towarzystwa Śpiewu „Polonia” w Bieruniu Starym; wiadomości o działalności chóru mieszanego „Dzwon” w Rudzie Śląskiej; pamiętnik chóru mieszanego im. Paderewskiego w Pszowie; materiały do historii śpiewactwa Towarzystwa Śpiewu im. Adama Mickiewicza w Tarnowskich Górach; protokół komitetu stwierdzenia działalności narodowej członków Towarzystwa Śpiewu „Polonia” w Lipinach; sprawozdanie z działalności przedwojennej Towarzystwa Śpiewu Moniuszki w Świętochłowicach; krótki zarys założenia i działalności podczas plebiscytu oraz poległych powstańców chóru męskiego im. F. Chopina w Siemianowicach Śląskich wraz z krótkim zarysem chóru im. Paderewskiego w Piasecznej pow. Tarnowskie Góry; wiadomości o chorze „Słowik” z Ochojca; zarys działalności Towarzystwa Śpiewu im. Adama Mickiewicza w Niedobczycach; zarys działalności narodowej Towarzystwa Śpiewu im. F. Chopina w Bujakowie; historia Stowarzy-

szenia Śpiewaków Śląskich Oddział Mieszany Chór „Jutrzenka” w Pniakach (Bielszowice, część Rudy Śląskiej); informacje o działalności chóru mieszanego „Wanda” w Bielszowicach; odpis działalności narodowej chóru mieszanego „Halka” z Nikiszowca; historia chóru „Lutnia” w Lubomi; kronika Towarzystwa Śpiewu „Skowronek” w Kochłowicach; szkic historii Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział Mieszany „Wyspiański” w Skrzeńsku-Gońkowicach; historia Towarzystwa Śpiewu „Cecylia” w Rydułtowach; krótki opis działalności Stowarzyszenia Śpiewaków Śląskich Oddział „Gwiazda” w Zebrzydowicach wraz z krótką informacją o nieistniejącym już chorze mieszanym im. Paderewskiego w Piasecznie.

Część sprawozdań chóranych opatrzona jest listem podpisanym przez zarząd chóru lub osobę sporządzającą notatkę. Materiały i kroniki Towarzystw Śpiewaczych „Gwiazda” z Chorzowa, „Moniuszko” z Łagiewnik, „Chopin” z Siemianowic Śląskich, „Moniuszko” z Niedobczyc i „Halka” z Nikiszowca uzupełniono następującymi załącznikami:

- życiorysy: Teofila Raka (dyrygenta chóru im. Moniuszki w Łagiewnikach), Antoniego Szefflera i Pawła Śmiłowskiego (założycieli chóru „Chopin” w Siemianowicach Śląskich); Józefa Wyciska (działacza chóru „Harmonia” w Tychach); Marcina Knopka i Jana Lubeckiego (działaczy chóru „Polonia” w Bieruniu Starym); Szczepana Krupy (dyrygenta Towarzystwa Śpiewu „Cecylia” w Rydułtowach) i Józefa Połomskiego (działacza plebiscytowego z Rydułtów),
- odpisy mandatów karnych nałożonych w 1911 roku przez policję w Mikołowie na działaczy chóru „Harmonia” (Jana Miłka, Stanisława Ligonía, Roberta Wycisła i Józefa Szwarcza) za niezgłoszenie zmian w składzie Zarządu Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia”,
- pięć pokwitowań dla członków chóru „Gwiazda” z Chorzowa (z lat 1919–1920), głównie za kwoty wypłacane na cele „narodowe” i „plebiscytowe” oraz na „nabożeństwo 3 maja”,
- fotografia nagrobka Antoniego Szefflera, pierwszego prezesa chóru męskiego „Chopin” w Siemianowicach Śląskich, zabitego przez członków Grenzschtzu w 1919 roku, nagrobek został ufundowany ze składek członkowskich w 1934 roku, w 15. rocznicę śmierci,
- wykaz przedstawień teatralnych wystawionych przez Towarzystwo Śpiewu im. Mickiewicza w Niedobczycach w latach 1918–1937,
- cztery dokumenty z okresu plebiscytu wystawione na nazwisko Roberta Zowady – zasłużonego działacza, założyciela chóru „Halka” w Nikiszowcu: legitymacja numer 24 potwierdzająca członkostwo w Polskim Komitecie Plebiscytowym, podpisana przez Henryka Jarczyka – kierownika Polskiego Podkomisariatu Plebiscytowego w Katowicach; przepustka dla osób udających się za granicę z pieczętkami Posterunku Kontroli Granicznej w Sosnowcu; okólnik Polskiego Komitetu Plebiscytowego na okręg katowicki z dnia 15 marca 1921 roku o ostatniej służbie plebiscytowej w zakresie roznoszenia kartek do głosowania oraz pilny i poufny okólnik dotyczący służby w dniu głosowania, w niedzielę 20 marca 1921 roku.

Pieśń polska orężem walki – początki amatorskiego ruchu śpiewaczego

We wstępie do *Sprawozdania z 25-letniej pracy Towarzystwa Śpiewu „Gwiazda” w Chorzowie III* tak scharakteryzowano, czym była pieśń polska na Śląsku:

„Jest rzeczą znaną i nie potrzebującą dowodzenia, że mowa ojczysta każdego narodu jest najwybitniejszym znamieniem odrębności narodowej, jest zasadniczą podstawą tej narodowości. W czasach gdy zaborcy zabierali nam nasze skarby narodowe, tego największego skarbu jakim jest język ojczysty nie potrafili zniszczyć ni zabrać [...]. Toteż zadaniem głównym przewodników duchowych na Śląsku było zachowanie, względnie rozbudzenie w mieszkańcach tego skrawka ziemi zamiłowania do własnego języka. Zadania te urzeczywistniły się przez kwiat mowy, jakim jest śpiew. Towarzystw śpiewackich mamy na Śląsku najwięcej, gdyż po większej części powstały one w czasach niewoli, gdy chęć dodania sobie otuchy do wytrwałości, chęć wypowiedzenia w swoim ojczystym języku tych nadziei na przyszłość, jakie tkwiły w duszy ludu śląskiego, jednoczyła ich w Kółka lub Towarzystwa Śpiewackie, by w nich wyśpiewać co leżało na duszy, by śpiewem zahartować się do przyszłej walki orężnej”³.

Amatorski ruch śpiewaczy na Śląsku posiada bogate i piękne tradycje. Sięgają one połowy XIX wieku, gdy po Wiośnie Ludów, w 1848 roku wykształcił się tu specyficzny model życia kulturalnego. Na skutek budzenia się świadomości narodowej wśród polskich Ślązaków narastała potrzeba wiedzy o Polsce i jej bohaterach narodowych. Garnęli się więc Ślązacy do nauki czytania i pisania w języku polskim, sięgali po polskie czasopisma, dzieła literackie i muzyczne. Budzeniu świadomości narodowej służyły powstające polskie organizacje i towarzystwa, a część z nich aktywnie wspierała (działające w ich ramach) zespoły śpiewacze, które zapewniały program artystyczny na wszelkiego rodzaju spotkaniach (zebraniach, uroczystościach narodowych i imprezach towarzyskich). Spośród organizacji należy wymienić: „Czytelnię Polską” – założoną w Cieszynie w 1848 roku z inicjatywy Pawła Stalmacha i popularyzującą między innymi piosenki polskie i słowackie w wykonaniu chóralnym i solowym; „Kasyno Polsko-Katolickie” – założone w Bytomiu w 1869 roku z inicjatywy ks. Norberta Bonczyka i ks. Konstantego Damrota; „Kasyno Polsko-Katolickie” – założone w Królewskiej Hucie w 1869 roku przez Karola Miarke, gdzie zachęcano robotników do nauki czytania i pisanie oraz śpiewania w języku polskim; Towarzystwo św. Alojzego – powstałe w Bytomiu w 1871 roku z inspiracji ks. Norberta Bonczyka. Najstarsze informacje o publicznym występie polskiego chóru pochodzą z 1849 roku, kiedy to na uroczystym nabożeństwie z okazji wizytacji duszpasterskiej kardynała Melchiora von Diepenbrocka w Piekarach Śląskich śpiewał chór złożony z dziewcząt i młodzieńców, wykonując między innymi pieśni polskie. Organizacyjne chóry polskie połączyły się przez powołanie 18 kwietnia 1910 roku Związku Śląskich Kół Śpiewaczych oraz ukonstytuowanie się Zarządu Głównego z siedzibą w Bytomiu. Utworzenie Związku nadało ruchowi śpiewaczemu nowy rozmach. Powstawały nowe towarzystwa śpiewacze, których głównym zadaniem było pielęgnowanie pięknych polskich pieśni, budzenie ducha narodowego i patriotyzmu.

Jedną z oznak przywiązania do kultury polskiej były nazwy jakie zespoły przyjmowały. W latach 1918–1921 przybyło na Śląsku 295 chórów o nazwach podkre-

³ *Sprawozdanie z 25-letniej pracy Towarzystwa Śpiewu „Gwiazda” w Chorzowie III*, Chorzów 1935, s. 1.

ślających ich jednoznacznie polski, patriotyczny charakter. Aż 25 z nich przyjęło nazwę „Jutrzenka” – jako zwiastun nowej, lepszej przyszłości. Imię Ignacego Jana Paderewskiego przyjęło 19 chórów, „Wanda” – 12, „Halka” – 8, Fryderyka Chopina – 6, Stanisława Moniuszki – 5, Adama Mickiewicza – 5, Tadeusza Kościuszki, Henryka Sienkiewicza – 3, „Polonia” – 3, „Płomień” – 3, „Wolność” – 2, „Dzwon Zygmunta” – 2, „Straż nad Odrą” – 2, „Głos znad Odry” – 2, „Zorza” – 2, i „Piast” – 2. Patronami zespołów zostali również Józef Poniatowski, Konstanty Damrot, Jan Kochanowski i Stanisław Wyspiański – po dwa chóry. Chóry imienia Juliusza Ligonia, Juliusza Słowackiego, „Haller” (w 1923 roku zmieniono nazwę na „Chopin”) występowały pojedynczo, tak samo jak nazwy: „Iskra”, „Wiosna”, „Jaskółka”, „Orzeł”, „Orzeł Biały”, „Słowik nad Olzą”, „Straż nad Cyną”, „Triumf”, „Gwiazda Wolności” i „Sława”.

Nagły i niebywały wzrost ilości chórów w okresie powstań i plebiscytu spowodował konieczność nowego podziału Związku Śląskich Kół Śpiewaczych na okręgi. Podział taki przeprowadzono w lutym 1920 roku, kiedy to z dotychczasowych czterech utworzono 20 okręgów. Dziewięć z nich: bytomski, gliwicki, mikulczycki, opolski, raciborski, strzelecki, zabrzański, ujazdowski i kozielski po podziale Śląska w 1922 roku znalazły się po niemieckiej stronie granicy, natomiast okręgi tarnogórski, katowicki, królewskohucki, mysłowicki, mikołowski, pszczyński, rybnicki, żorski, wodzisławski, przysowicki, i nowowiejski pozostały w granicach Polski⁴.

Dokumentację działalności ruchu śpiewaczego zawdzięczamy kronikarzom chórów, którzy z podziwu godnym poświęceniem rejestrowali każde zdarzenie. Kroniki ujawniają czasem spory talent literacki i zdobniczy, służyły i nadal służą za podstawę do opracowania pamiętników i sprawozdań drukowanych z okazji jubileuszów zespołu, a dla historyków do badań ruchu śpiewaczego na Śląsku. Takim cennym źródłem (wytworzonym przez samych śpiewaków) jest opisany wcześniej rękopis, który zbiera najważniejsze fakty związane z działalnością polskich zespołów śpiewaczych i ich członków w czasie powstań śląskich i akcji plebiscytowej. Warto przywołać część tych (często nieznanych) relacji.

Represje niemieckie, kary, mandaty, rewizje

Polskie zespoły śpiewacze na Śląsku musiały się przebijać przez mur niechęci i nieprzychylności władz niemieckich, stawiać czoła szykanom, bezustannie napotykać na reakcje ze strony policji. Represjom poddawane były nie tylko chóry, ale przede wszystkim śpiewacy i ich rodziny. Wielu kronikarzy chóralnych wspomina o takich działaniach. Na porządku dziennym były odmowy urządzania imprez, mandaty karne dla dyrygentów i zarządów chórów, szykany dla właścicieli lokali, w których odbywały się lekcje śpiewu, a nawet rewizje w mieszkaniach chórzystów. Z problemami lokalowymi spotkał się między innymi chór „Harmonia” z Mikołowa: „po dłuższych zabiegach znaleziono inny lokal, z którego z powodu szykan ze

⁴ Dane statystyczne dotyczące ilości i liczebności chórów w poszczególnych okręgach przedstawione zostały w monograficznym opracowaniu Jana Fojcika, *Materiały do dziejów ruchu śpiewaczego na Śląsku*, Katowice, 1961, s. 96–129.

strony władz musiano się przenieść do znajdującej się obok kregielni, by tam swoje lekcje urządzać”⁵. Podobnie było z chórem „Lutnia” z Pszczyny, który ze względu na odmowę wszystkich oberżystów, w obawie przed odebraniem koncesji na wyszynk, zbierał się w składnicy soli firmy „Rolnik” lub w prywatnym mieszkaniu pana Lewandowskiego. Kary sądowe i mandaty dla członków chóru pokrywał Bank Ludowy w Pszczynie.

Wśród członków chóru „Gwiazda” w Chorzowie (według sprawozdania) „najbardziej prześladowani byli członkowie Gołąbowski Kazimierz i Skoluda Jan poprzez nakładanie na nich niezliczonych kar pieniężnych, zaś druhowie Respondek Wiktor, Kucia Jan, Kluza Edward, Wieczorek Wincenty i Walesa Emil pozbawieni pracy, tak że musieli jej aż w Szczakowej szukać”. Nakładane na chór mieszany im. Moniuszki w Chorzowie kary pieniężne i mandaty w większości udawało się umarzać z pomocą śpiewaków, którzy należeli do rady miejskiej. Szczególnie dotkliwe były rewizje przeprowadzane przez policję, zarówno w lokalach towarzystw śpiewaczych, jak i prywatnych domach. Niejednokrotnie łączyło się to z utratą wszelkich dokumentów chóru niszczonych przez Niemców, a czasami przez samych chórzystów obawiających się represji. W kronice Towarzystwa Śpiewu im. Stanisława Moniuszki w Łagiewnikach ówczesna skarbniczka druha Kamińska wspomina, że „podczas I powstania musiała zakopać akta i spisy członkowskie jak również kasetkę w suterenie. Pracując w Hucie Hubertus narażona była na różne szykany ze strony dyrekcji za to, że była członkinią Polskiego Towarzystwa Śpiewu”. Szykany dotyczyły również śpiewaków pszczyńskiej „Lutni”, którym „władze pruskie urządzały rewizje [...] między innymi u śp. Wiery, Lewandowskiego, śp. Fizi i Lazara”.

W okresie powstań i plebiscytu bojówki niemieckie bardzo często atakowały czołowych działaczy polskich chórów. Kronika Towarzystwa Śpiewu im. Adama Mickiewicza w Tarnowskich Górach odnotowuje, że:

[...] największe prześladowania ze strony mniejszościowych Niemców doznawali członkowie towarzystwa jak Bondkowski Jan (zamierzano go ubić), Zuber Wincenty, (na którego napadła bojówka niemiecka w ilości 60 osób i obito do krwi), Talaga Jan, Janicki Stanisław, Nowak Jan i inni. A w czasie powstań (21 sierpnia 1919 r.) w bestialski sposób przez „Grenzschutz” zamordowany został polski nauczyciel, nasz członek śp. Wincenty Janas.

Bojówki niemieckie wielokrotnie starały się przerywać przedstawienia teatralne, lekcje śpiewu i imprezy organizowane przez chóry. Na przykład 6 stycznia 1920 roku Towarzystwo śpiewu „Lutnia” grało „na Sali Dworu Pszczyńskiego” amatorskie przedstawienie teatralne złożone z dwóch sztuk (*Bogata wdowa* oraz *Prządka pod krzyżem*). W trakcie spektaklu, pod pretekstem awarii, pogaszono wszystkie światła elektryczne. Mimo to chór kontynuował przedstawienie przy lampach naftowych i świecach. Z atakami ze strony bojówek spotkali się również śpiewacy Towarzystwa Śpiewu im. Moniuszki w Chorzowie. Jak wynikało z opowiadań i oświadczeń najstarszych członków chóru (Roberta Hercoka i Franciszka Santury), członkowie braci śpiewaczej napotykali „na różne przeszkody ze strony Niem-

⁵ Wszystkie cytaty z rękopisu Biblioteki Śląskiej: *Materiały do historii śląskich chórów i zespołów śpiewaczych*, sygnatura R 5345 III.

ców, którzy odmawiali Sali gdzie stow. urządzało lekcje”. Na dowód załączono oryginalny dokument, podpisany przez właściciela browaru Feliksa Bernarda, „bezczelnego Niemca”, który ze względów politycznych odmawiał wynajęcia sali. Z kolei „gdy Stow. urządzało jakiś wieczór śpiewaczy przy ul. Ogrodowej, rzucono garnkami, kamieniami do sali przez niemieckich opryszków”. W czasie plebiscytu Towarzystwo uczestniczyło w propagandowej wycieczce Polskiego Komitetu Plebiscytowego na Górę św. Anny. Po odśpiewaniu mszy świętej uczestnicy zostali rozprędzeni przez policję niemiecką i pojedynczo musieli wracać do domów.

Działania samoobronne

Represje niemieckie dotyczyły nie tylko chóry, ale i inne organizacje i stowarzyszenia polskie. Dlatego łączono siły i działano wspólnie. Bliższa współpraca Związku Śląskich Kół Śpiewaczych i Towarzystwa Oświatowego na Śląsku im. św. Jacka rozpoczęła się około 1918 roku, kiedy to polskie organizacje odpowiedziały na szykany ze strony władz pruskich ograniczających wydawanie zezwoleń na organizacje przedstawień teatralnych tylko dla sztuk wystawianych po śląsku, z zakazem wystawiania w literackiej polszczyźnie⁶. Protest był powszechny i podpisany przez wielu działaczy narodowych, współpracujących w ramach Polskiego Komitetu Wyborczego Prowincjonalnego dla Śląska. Sygnatariuszami protestu z ramienia Związku Śląskich Kół Śpiewaczych byli między innymi Michał Wolski (prezes), ks. Paweł Pośpiech (wiceprezes), Jan Kędzior (działacz śpiewaczy z Pszczyny), dr Zygmunt Seyda (prezes okręgu katowicko-pszczyńskiego) oraz 87 członków Towarzystwa Śpiewu (chóru „Jedność” z Bytoma).

Współpraca Związku Śląskich Kół Śpiewaczych i Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” stała się silnym fundamentem życia narodowego. Obie organizacje działały na rzecz przyłączenia Górnego Śląska do Polski, miały też wspólnych przywódców: Michał Wolski – prezes Związku Kół Śpiewaczych – był jednocześnie prezesem dzielnicy śląskiej „Sokoła”, Józef Dreyza – naczelnik śląskiego „Sokoła” – był członkiem chóru w Siemianowicach Śląskich. Sieć gniazd sokolich pokrywała się w większości z rozmieszczeniem towarzystw śpiewaczych – wszędzie tam, gdzie była jedna organizacja, bardzo szybko pojawiała się też druga. Tak było w Bogucicach, gdzie z inicjatywy członków chóru „Lira” powstał miejscowy oddział „Sokoła”. Wobec kłopotów z uzyskaniem lokalu na próby, chór korzystał z udostępnionej mu „Sokolni”. Inicjatorami powstania „Sokoła” byli również chórzyści pszczyńskiej „Lutni”. Z ich szeregów wywodzili się dowódcy Polskiej Organizacji Wojskowej i najbardziej oddani powstańcy, jak: Aleksy Fizia, Stanisław Krzyżowski, Jan Kędzior, Antoni Rogaliński, Stanisław Szoppa, Józef Lazar, Jan Ficek, Józef Paszyna, Ludwik i Teofil Golusowie czy Karol i Ernest Sojkowie. W 1919 roku założono w Mikołowie Polską Organizację Wojskową. Działali w niej prawie wszyscy chórzyści Towarzystwa Śpiewu „Harmonia”, którzy byli też aktywnymi członkami Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

⁶E. Szramek, Ks. Aleksander Skowroński. *Obraz życia i pracy na tle problematyki kresów zachodnich*, Katowice 1936, s. 146.

Jak wspomina kronika chóru „Harmonia” w Tychach, „praca śpiewacza nie mogła się rozwijać w myśl statutu śpiewaczego, gdyż przeżywano okres przełomowy pod względem politycznym. Starsi członkowie pod pozorem lekcji śpiewu urządzali zebrania P.O.W., młodzież zaś ćwiczyła w „Sokole”. Podobnie było w Bieruniu Starym, gdzie w 1918 roku założony został chór mieszany „Polonia”. Jego członkowie w tym samym roku utworzyli Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” oraz Polską Organizację Wojskową z komendantem Klemensem Latochą, Marcinem Knopkiem (zastępcą komendanta) oraz Janem Lubeckim i Józefem Krupą (plutonowymi). Gdy nadszedł moment rozstrzygający o przynależności państwowej Górnego Śląska, śpiewacy zrzeszeni w Związku Śląskich Kół Śpiewaczych i współpracujący z Polską Organizacją Wojskową Górnego Śląska stanowili nie małą siłę i odegrali ważną rolę. W latach 1919–1921 w Związku Śląskich Kół Śpiewaczych zrzeszonych było przeszło 20 tysięcy śpiewaków, którzy działali najpierw w 159. chórach (w roku 1919) a potem aż w 354. towarzystwach (w roku 1921).

Chórzyści w powstaniach śląskich

Na pytanie Zarządu Śląskich Kół Śpiewaczych o udział chórzystów w powstaniach śląskich odpowiadano czasami lakonicznie: „członkowie chóru brali udział w powstaniach”, ale zdarzały się bardziej szczegółowe opisy, jak w kronice chóru mieszanego „Gwiazda” z Chorzowa, którego Zarząd tak scharakteryzował działania zespołu:

W 1919 roku Tow. pod zarządem z roku 1918 odegrało 5 przedstawień teatralnych z występami chóru. W przypadającym na ten okres I powstaniu śląskim, aby zmylić czujność władz niemieckich, Gwiazda z ramienia Polskiej Organizacji Wojskowej urządziła w dniu wybuchu I powstania zabawę taneczną, aby w ten sposób dać możliwość zebrania się większej ilości mężczyzn i zamaskować skupisko. Członkowie Gwiazdy brali udział w I powstaniu śl. w liczbie 39 osób. Również przechowywano broń i amunicję u członków Gwiazdy, jak u druha Gołąbkowskiego Kazimierza, gdzie były liczne rewizje Grenzschutzu [...]. II powstanie śląskie przypadające w tym roku [1920] skupiło znowu w swoich szeregach wielką ilość uczestników (100 % członków – mężczyzn) z śp. Waleśą Emilem jako komendantem II powstania śl. na czele. III powstanie śląskie już w początkowych swoich fazach i przygotowaniach skupiło w swoich szeregach wszystkich członków Gwiazdy z śp. Waleśą Emilem, śp. Sojką Pawłem i Klauzą Edwardem jako członków sztabu dzielnicy Chorzowa III. W walkach powstańczych o wolność Śląska polegli w III powstaniu śp. Marzec Józef przy Gogolinie dnia 21 maja, Kupny Józef oraz Gasz Henryk, o których grobach nic nam nie wiadomo. Ranni w walkach powstańczych byli druhowie: Lenart Emanuel, Olszówka Jan, Ochman i Jaromin Wojciech. Do niewoli niemieckiej w czasie III powstania dostali się Borek Pietrek, który w drodze wymiany wrócił do domu.

Czynny udział w powstaniach śląskich, jako członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej, brali śpiewacy z Towarzystwa Śpiewu „Polonia” w Lipinach. Wymieniono ich wszystkich w nadesłanej do Zarządu informacji:

Świder Augustyn, jako zastępca komendanta, śp. Kot Józef jako dowódca oddziału szturmowego, Wycislik Ryszard jako uczestnik w miejscu i w powiecie rybnickim, druh Szyroki Wiktor, Konieczny Robert, śp. Wilczek Ignacy, Jaworski Szymon, śp. Placzek Wiktor, Wycislik Jerzy i Strzoda Paweł jako powstańcy, zaś Palud Konstanty, bawiąc w ten czas w swych rodzinnych stronach w Nogawczycach pow. strzelecki, zaciągnął się tamże w szeregi powstańcze.

W czasie walki miejscowych powstańców z załogą wojska niemieckiego stacjonowanego w Piaśnikach a trwający od godziny 4-tej rano do godz. 2-giej po południu, członkowie „Polonii” walczący jako peowiacy w szeregach powstańczych, mianowicie: śp. Świder Augustyn, Kamiński Józef i Strzoda Paweł wywiesili około godziny 8-mej rano w dniu 19.8.1919 r. sztandar narodowy na wieży ratuszowej, który tam powiewał aż do zajęcia Lipin przez oddziały Grenszucu po wycofaniu się powstańców w następstwie ostrzeliwania zajętych przez nich linii tyralierskich przez artylerię Grenszucu. Po zlikwidowaniu powstania uchodzili do Kongresówki druhowie: św. Kot Józef, Świder Augustyn, Wyciślik Paweł i Ryszard oraz Szyroki Wiktor, część zaś ukrywała się w okolicznych miejscowościach. W związku z I powstaniem aresztowani zostali pod zarzutem zdrady stanu druh Lazar Ludwik, Lazar Alojzy, Placzek Wiktor, śp. Wilczek Ignacy i odtransportowani do zamku w Piaśnikach, gdzie oczekiwali na wyrok sądu doraźnego. [...] Jeden tylko członek nie zdołał uratować życia i to śp. Sekuła Feliks, który został rozstrzelany w dniu 21.8.1919 r. w parku w Piaśnikach. W tut. miejscowości II powstanie śl. przeszło bez poważniejszych wypadków [...]. Organizatorami i kierownikami akcji przygotowawczej do III powstania śl. z członków „Polonii” byli: śp. Kot Józef i Świder Augustyn, którzy też po wybuchu powstania w dniu 3 maja 1921 r., na cele formacji powstańczych zajęli gminę Lipiny. Po sformowaniu 2. Kompanii 10 pp. Gajdzika, druh śp. Kot Józef w charakterze szefa kompanii wyruszył na front pod św. Annę w dniu 7 maja 1921 r. W dniu 3 maja 1921 r. po utworzeniu Komendy placu następujących druhow z „Polonii”, którzy stanęli do szeregów powstańczych: śp. Świder Augustyn jako komendant placu, Kamiński Józef jako zastępca komendanta, Strzoda Paweł jako kierownik poszczególnych biur, śp. Wilczek Ignacy i Dyrda Jan – biuro przepustkowe, Strzoda Teofil – służba bezpieczeństwa, Wysłuch Jan jako pomocnik kierownika biur. W straży obywatelskiej w Lipinach pełnili funkcje druhowie: Jaworski Szymon i Strzoda Adolf, zaś w Obywatelskiej Radzie Ludowej druhowie: Wyciślik Ryszard, Lis Robert i Konieczko Robert. W szeregach 2 komp. 10 pp. Gajdzika walczyli druhowie: Jureczko Adolf i Alojzy, Koźlik Teofil i Józef i Stanik i Edward, który poległ pod św. Anną [...]. Druh Dank Ignacy pełnił służbę w 5 sotni z żandarmerii polowej w powiecie strzeleckim.

Do powstania ruszyli również śpiewacy z chóru męskiego im. Hallera w Siemianowicach Śląskich. Sami tak określili swoje działania:

Wrogowie nasi nie omylili się, kiedy zaraz po powołaniu chóru do życia mieli to przekonać, że członkowie chóru im. Hallera to świeże kadry wojowników polskich zorganizowanych w P.O.W. Pierwsza lista członków chóru im. Hallera zawierała według pamiętników chóru 29 nazwisk. Niestety lista ta miała paść w ręce Grentzschutzu po zamordowaniu założyciela chóru i I prezesa śp. Antoniego Szefflera, co jest wysoce prawdopodobne, gdyż poległemu zabrano wszystkie dokumenty, które w chwili śmierci były w jego posiadaniu. Członkowie chóru im. Hallera, obecnie „Chopin”, brali po większej części udział w powstaniach śląskich. Podczas I-go powstania dnia 19 sierpnia 1919 r. poległ sekretarz chóru śp. Paweł Śmiłowski, zaś Kralewski Paweł został raniony podczas walki z Grentzschutzem przy przekraczaniu dawniejszej granicy w kierunku kopalni Saturn. Koledzy broni zabrali poległego, jak i zranionego i przewieźli ich do Sosnowca. Śp. Paweł Śmiłowski spoczywa we wspólnej mogile w Sosnowcu, jako nieznanego powstaniec. Śp. Antoni Szeffler zamordowany został przez Grentzschutz w dniu 14 września 1919 r. w powrotnej drodze z Małej Dąbrówki do Siemianowic, w chwili kiedy jako członek miejscowego Czerwonego Krzyża niósł pomoc i pociechę rodzinom oraz pozostałym po powstańcach.

Z kolei Zarząd Towarzystwa Śpiewu im. Chopina w Bujakowie krótko informował o udziale swoich chórzystów w powstaniach:

Co się zaś tyczy walki orężnej to udział w niej w chwili wybuchu Trzeciego Powstania Śląskiego brało oficjalnie 6 członków. Z tej liczby na polu chwały w bitwie pod Kędzierzynem zosta-

ło dwu: śp. Brunon Paszek i Mikołaj Wieczorek [...]. Ci zaś, którzy z tej krwawej próby wyszli cało, posiadają za swą waleczność odznaczenia.

Z chwilą wybuchu I powstania zawieszono śpiew w chórze mieszanym „Hal-ka” z Nikiszowca, „bowiem wszyscy śpiewacy stanęli do szeregów powstańczych, zaś śpiewaczki pomagały w różnych czynnościach, jak: donoszenie (broni) amunicji, pełniły obowiązki kurierów oraz sanitariuszek”. Natomiast po zakończeniu powstania członkowie chóru musieli uciekać wraz z innymi powstańcami do Sosnowca. Co do kolejnych powstań zanotowano tylko, że: „Udział członków w dalszych powstaniach musiał również być duży, jednak nie dochodziliśmy nazwisk. Wiemy jednak, że p. Bara Wiktor brał czynny udział w II i III powstaniu”.

Jako pierwsi do powstania w 1919 roku ruszyli członkowie chóru im. Wyspiańskiego w Skrzeńsku-Gołkowicach. Takimi słowami opisał to zarząd chóru w przesłanym w 1937 roku sprawozdaniu:

Pierwsze półrocze roku 1919 mija właśnie na gorączkowej pracy przygotowawczej do czynu zbrojnego, a balsamem, który nieraz koi niepowodzenia i prześladowania Grenzschutzu, jest właśnie pieśń. Dodać tu trzeba, że Skrzeńsko-Gołkowice leżały wówczas na granicy polskiej (do lipca 1920 r.), gdzie czujność naszych „opiekunów” była znaczniejsza, w pobliskich Piotrowicach był obóz uchodźców. Na terenie Gołkowic padły też pierwsze strzały w pierwszym powstaniu śląskim. Tu rozgorzały pierwsze zażarte walki z Grenzschutzem w dniu 17 sierpnia (Gołkowice) i 19 VIII (Godów). Uczestnicy tego zbrojnego czynu to prawie wszyscy członkowie Towarzystwa Śpiewu. Nie wszyscy wrócili, większość ujęć musiała za granicę [...]. W roku 1920 w czasie II powstania praca na kilka miesięcy ustaje [...]. Zupełnie ustała praca w czasie III powstania, kiedy to śpiewacy zamieniają partyturę na karabin. Niestety nie wszyscy śpiewacy wracają. Na polu chwały swe młode życie złożyli śp. Damiec Stefan, Meisner Emil i Patas Józef. Kilku odniosło rany oraz dostało się do niewoli niemieckiej. Smutny to dzień 23 maja 1921 r., kiedy nasi członkowie złożyli na ołtarzu odradzającej się Ojczyzny swą najdroższą ofiarę. Miłości do tej Ojczyzny uczyli się w Tow. Śpiewu, z pieśnią na ustach poszli w bój, z którego już nie wrócili – „Cześć Ich Pamięci”. Dodać trzeba, że na cmentarzu w Gołkowicach spoczywa 15-tu poległych bohaterów powstań śląskich.

Działalność chórów w okresie plebiscytu

Okres plebiscytu był dla chórów czasem niezwykle wyťažonej pracy. W ramach akcji propagandowej zespoły organizowały koncerty, przedstawienia amatorskie⁷, pochody oraz zabawy taneczne. Śpiewacy i śpiewaczki brały udział w akcjach plakatowania i roznoszenia ulotek, zrywania niemieckich ogłoszeń, agitacji „od drzwi do drzwi”, sporządzania list wyborczych, roznoszenia kartek do głosowania. Był to jednocześnie czas największego rozwoju śpiewactwa na Śląsku. Zespoły składające się ze stu i więcej chórzystów nie były rzadkością, a sporo z nich liczyło ponad 200 osób. Przykładem takiego chóru jest „Lutnia” z Nowej Wsi, która liczyła 250 członków i w takim składzie występowała z koncertami przy róż-

⁷ O amatorskich przedstawieniach teatralnych organizowanych przez śpiewaków pisała m.in. Czesława Mykita-Glensk, *Działalność teatralna zespołów śpiewaczych Górnego Śląska w okresie powstań i plebiscytu*, „Studia Śląskie” 1980, seria nowa t. 38, s. 211–236; też, *Rola polskich towarzystw i organizacji społeczno-kulturalnych na Górnym Śląsku w propagowaniu dramaturgii polskiej w okresie powstań i plebiscytu*, „Zaranie Śląskie” 1983, z. 3, s. 260–273.

nych okazjach między innymi w Oleśnie, Kluczborku, Lublińcu, Głogówku, Bytomiu i Katowicach. Rolę śpiewaków docenił w swoim pamiętniku Ignacy Nowak, lekarz oraz kierownik Wydziału Kulturalnego w Komisariacie Plebiscytowym w Bytomiu. W swoich wspomnieniach tak scharakteryzował zadania i pracę Wydziału: „były one na tyle ułatwione, że na terenie Śląska istniały organizacje społeczne, na których można się było oprzeć. Należał do nich przede wszystkim Związek Kół Śpiewaczych”⁸.

W odpowiedzi na okólnik dotyczący działalności w okresie plebiscytu zarząd chóru „Dzwon” w Rudzie Śląskiej informował, że „w akcji plebiscytowej brał udział wszyscy członkowie czy to na terenie Rudy czy też w okolicy”, a kierował nią Jan Borgiel (członek chóru). Poza śpiewakami z Rudy Śląskiej, w biurach parytetycznych pracowali również inni chórzysci: Szczepan Himmel w powiecie opolskim i Aleksander Widera w powiecie strzeleckim. W ramach akcji koncertowej Towarzystwo Śpiewu „Dzwon” występowało między innymi w Zabrze, Oleśnie oraz miejscowościach powiatu prudnickiego. Członkowie chóru zaangażowani byli w rozlepianie plakatów propagandowych i agitacji domowej.

Wyjątkowo szczegółowo informował w sprawozdaniu o swojej działalności koncertowej i teatralnej chór im. I. Paderewskiego w Pszowie. W gorącym okresie agitacji chór występował z koncertami pieśni polskich „po różnych salach i ogrodach, a nawet na polach prywatnych w okolicy i po domach”. Ogółem urządzono pięć koncertów: dwa razy w Pszowie i raz w Rydułtowach, Kornowacu oraz Rogowach. Przygotowano również sześć sztuk teatralnych: *Pasje czyli Męka Pańska* (wystawione trzykrotnie w Pszowie i raz w Rydułtowach i Niedobczycach), *Jasełka* (3 razy w Pszowie), *Bernadeta*, *Gwiazda Syberii* oraz *Karpaccy górale* (każda sztuka 2 razy w Pszowie), *Ścięcie św. Barbary* (2 razy w Pszowie i raz w Niedobczycach, Rydułtowach i Rogowach). Oprócz tego członkowie chóru: Anna Baronowa z Szymiczków, Wawrzyn Szymiczek i Bonawentura Szczotok występowali w śląskiej grupie teatralnej w powiatach opolskim, kluczborskim, oleskim i głubczyskim. Jako mówcy podczas akcji plebiscytowej występowali: Paweł Włoczek, Konstanty Reś, Józef Chrószcz i Karol Glenc.

Z kolei Towarzystwo Śpiewu „Słowik” z Ochojca manifestowało swoją polskość licznymi pochodami propagandowymi do Murcek i Mikołowa. Także Towarzystwo Śpiewu im. F. Chopina w Bujakowie uczestniczyło (od 17 IX 1919 do 20 IX 1920) w szeregu manifestacji i pochodów patriotycznych w Gierałtowicach, kolonii Sośnia Góra (obecnie dzielnica Mikołowa) i Starym Zabrze. Z własnej inicjatywy przygotowało pochód z Bujakowa przez Paniowy i Borową Wieś do Mikołowa, zabierając po drodze wszystkich śpiewaków i sympatyków polskości. Przygotowywano również referaty i odczyty wygłaszane na zebraniach śpiewaków, a w okolicznych wioskach wystawiano sztuki teatralne.

Wyteżoną pracę w okresie plebiscytu wykazał się chór mieszany „Halka” z Niskowca, wyjeżdżając z koncertami pieśni do Tychów i Urbanowic oraz przygotowując dwa przedstawienia teatralne: w Łędzinach (sztuka *Stary piechur*) i na

⁸I. Nowak, *Kartki z powstań i plebiscytu*, [w:] *Pamiętniki powstańców śląskich*, t. 2, Katowice 1961, s. 6.

Giszowcu (*Łobzowianie*), poprzedzone koncertem pieśni. Członkowie chóru brali udział w akcjach agitacyjnych, roznoszeniu ulotek, pracowali w różnych biurach plebiscytowych. W biurze plebiscytowym w powiecie kluczborskim pracował druż Jan Sztegmann, a biurem w Nikiszowcu kierował Robert Zowada, mając do pomocy Franciszka Drysia, Jana Guckiego, Tomasza Nowoka, Jana Kulkę i Jana Kamalę.

W pracach plebiscytowych, powstaniach, jak i Radzie Ludowej, brało udział 80 śpiewaków i śpiewaczek z chóru mieszanego „Moniuszko” z Chorzowa. Byli wśród nich: Franciszek Santura (radny miasta, odznaczony Krzyżem Plebiscytowym i Medalem Niepodległości), Robert Hercok (urzędnik miejski i radny, odznaczony Krzyżem Plebiscytowym), Józef Piątek (uczestnik II i III powstania, odznaczony Krzyżem Walecznych II Klasy), Jan Zięć (policjant, powstaniec odznaczony Gwiazdą Górnośląską), Alojzy Hampel (uczestnik III powstania, odznaczony Gwiazdą Górnośląską), Marta Cibówna (sanitariuszka III powstania śląskiego, odznaczona dyplomem sanitarnym powstania śląskiego).

Towarzystwo Śpiewu „Polonia” w Bieruniu Starym dla podniesienia ducha narodowego w czasie przygotowań do plebiscytu organizowało wspólnie z okolicznymi wioskami wiece, przedstawienia teatralne, pochody i publiczne obchody rocznicowe. W agitacji plebiscytowej uczestniczyło również Towarzystwo Śpiewu im. Moniuszki z Łagiewnik, przygotowując przedstawienia teatralne i koncerty w Chorzowie, w Rozbarku i w Bytomiu.

Pod koniec 1920 roku przy współpracy Polskiego Komitetu Plebiscytowego i Związku Śląskich Kół Śpiewaczych został zorganizowany wyjazd śpiewaków śląskich z koncertami do Łodzi⁹ i Warszawy. W chorze zbiorowym, składającym się z ponad 100 śpiewaków, brali udział między innymi członkowie towarzystw z Bytomia, Królewskiej Huty (Chorzowa), Katowic i Nowego Bytomia. Śpiewaczki w większości wystąpiły w strojach ludowych, co było nie bez znaczenia dla akcji propagandowej. Kierownikiem artystycznym przedsięwzięcia był Józef Rzeźniczek, kierownikiem organizacyjnym Michał Wolski. Zbiorowy chór śląskich śpiewaków został entuzjastycznie przyjęty w Łodzi, gdzie zorganizowano uroczysty koncert. Chórzyści zwiedzili fabrykę włókienniczą i uczestniczyli w uroczystym rauciu, w trakcie którego zbierano datki na rzecz Komitetu Plebiscytowego oraz akcji plebiscytowej. Po Łodzi przysła kolej na Warszawę. Śpiewacy wystąpili w Filharmonii, a wieczór sylwestrowy spędzili na przedstawieniu opery Moniuszki *Straszny dwór*.

Pamiętny rok 1922

20 czerwca 1922 roku odbyła się w Katowicach uroczystość powitania Wojska Polskiego, a niecały miesiąc później, 16 lipca, ceremonia zjednoczenia Górnego Śląska z Polską. Z tej okazji delegat biskupi ks. prałat Jan Kapica nakazał wygłosić specjalne orędzie (w dwu wersjach językowych) oraz odprawić uroczyste nabożeństwa, którym towarzyszyć miała pieśń *Te Deum laudamus*¹⁰.

⁹ „Kurier Łódzki” 1920, nr 353, s. 1–2.

¹⁰ J. Kapica, *Kazania – mowy – odezwy*, Katowice 1933, s. 341.

Zespoły śpiewacze, orkiestry i grupy teatralne, reprezentujące wszystkie organizacje i towarzystwa polskie, zaangażowały się w przygotowania do uroczystości. W ceremonii powitania wojsk polskich wzięły udział między innymi chóry z Pszczyny, Tychów, Lipin i Siemianowic Śląskich. Towarzystwo Śpiewu „Polonia” witało wkraczające w dniu 26 czerwca 1922 roku wojsko polskie na rynku w Lipinach. Z kolei 6 sierpnia, podczas uroczystego wkroczenia wojsk polskich do Tychów, miejscowy chór „Lutnia” brał udział w pochodzie i mszy świętej polowej, odbywającej się na Placu Wolności.

Uroczystość przyjęcia polskich władz natomiast uświetnił występ Towarzystwa Śpiewu „Lutnia” w Pszczynie: po przyjeździe delegacji odśpiewano dwie pieśni, a po przejściu pochodu na rynek kolejne utwory podczas odprawianego tam polowego nabożeństwa. Z kolei połączone chóry „Haller” [Chopin] i „Kasyno Polskie” pod dyktando Pawła Pieterka śpiewały w czasie uroczystego objęcia władzy przez Polaków w Siemianowicach Śląskich. Kronikarz chóru „Słowik” w Ochojcu pisał:

A gdy wreszcie ziściły się ich marzenia, gdy Śląsk nieugiętym wysiłkiem swych synów stał się ich nagrodą, to i wtedy Towarzystwa Śpiewu podkreślały, witając śpiewem wkraczające na ten Śląski wojsko polskie, że i one przyczyniły się do zwycięstwa. Cześć Pieśni!

Bibliografia

- Fojcik Jan (1947), *Działalność chórów śląskich w okresie plebiscytu*, [w]: „Śpiewak”, nr 3, s. 14–17.
- Fojcik, Jan (1961), *Materiały do dziejów ruchu śpiewaczego na Śląsku*, Katowice: Wydawnictwo „Śląsk”.
- Goście śląscy w Łodzi (1920), [w]: „Kurier Łódzki”, nr 353, s. 1–2.
- Hanke Rajmund (1986), *Ruch śpiewaczy a problem kształtowania świadomości narodowej na Śląsku. Refleksje jubileuszowe*, [w]: *Śpiewaj ludu, śpiewaj złoty. Księga jubileuszowa śpiewactwa śląskiego 1910–1985*, red. M.G. Gerlich, Katowice, Śląski Instytut Naukowy, s. 173–216.
- Hanke Rajmund (2006), *Ruch śpiewaczy w dwudziestym stuleciu w Katowicach*, [w]: „Ziemia Śląska”, red. L. Szaraniec, Katowice: Muzeum Śląskie, T. 6, s. 304–350.
- Hanke Rajmund (1991), *Śląsk śpiewa. Dzieje polskiego śpiewactwa Górnego Śląska*, Katowice: Muzeum Śląskie.
- Hanke Rajmund (1993), *Śpiewacy w powstaniach śląskich*, [w]: *Powstania Śląskie i plebiscyt w procesie zrastania się Górnego Śląska z macierzą. Materiały z sesji naukowej historyków powstań śląskich i plebiscytu zorganizowanej w dniach 24–25 kwietnia 1991 roku w Bytomiu oraz na Górze Św. Anny. Praca zbiorowa*, red. A. Brożek, Bytom: Muzeum Górnośląskie, s. 327–339.
- Hanke Rajmund (2006), *Śpiewacy w powstaniach śląskich*, [w]: „Śpiewak Śląski”, nr 1–2, s. 1–32.
- Kapica Jan (1933), *Kazania – mowy – odezwy*, red. E. Szramek, Katowice: Kółko Homiletyczne Kapłanów Diecezji Katowickiej.

- Materiały do historii śląskich chórów i zespołów śpiewaczych*, rękopis Biblioteki Śląskiej, sygnatura R 5345 III.
- Niestrój Benedykt (1961), *Działalność patriotyczna Towarzystwa Śpiewu „Kasyno” w Siemianowicach w latach 1910–1922*, „Zaranie Śląskie”, nr 1 a, s. 361–373.
- Nowak Ignacy (1961), *Kartki z powstań i plebiscytu*, [w:] *Pamiętniki powstańców śląskich*, t. 2, Katowice: Wydawnictwo „Śląsk”, s. 5–34.
- Pietrowska Lidia (2019), *Fakty i komentarze*, [w:] *Wierni Polsce. Górny Śląsk, powstania, plebiscyt*, [red. L. Pietrowska], Gierałtów: Gminny Ośrodek Kultury w Gierałtowie, s. 52–55.
- Szramek Emil (1936), *Ks. Aleksander Skowroński. Obraz życia i pracy na tle problematyki kresów zachodnich*, Katowice: [b. w.].
- Witowska Małgorzata (2007), *Spuścizna Stefana Mariana Stoińskiego w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Katalog*, Katowice: Biblioteka Śląska.
- Witowska Małgorzata (2016), *Stanisław Ignacy Rączka – kompozytor w służbie chóralistyki*, „Książnica Śląska”, t. 29, s. 154–179.

**“With a song on our lips we come to You, Poland”.
Silesian singers’ contribution to Uprisings and the Plebiscite**

Summary

The subject of this article is participation of members of Association of Silesian Song Ensembles in Silesian Uprisings. Małgorzata Witowska refers to a manuscript from the resources of the Silesian Library titled *Materials for History of Silesian Choirs and Song Ensembles*. The author not only describes beginning of the Silesian singing movement and their difficult situation resulting from German repressions, but also gives examples of their contribution to insurgent actions and propaganda activities before the Plebiscite.

Key words

Upper Silesia, Association of Silesian Song Ensembles, choir, orchestra, Silesian Uprisings, the Plebiscite

**„Wir gehen mit dem Lied zu dir, Polen”.
Schlesische Sänger bei den schlesischen Aufständen
und der Volksabstimmung**

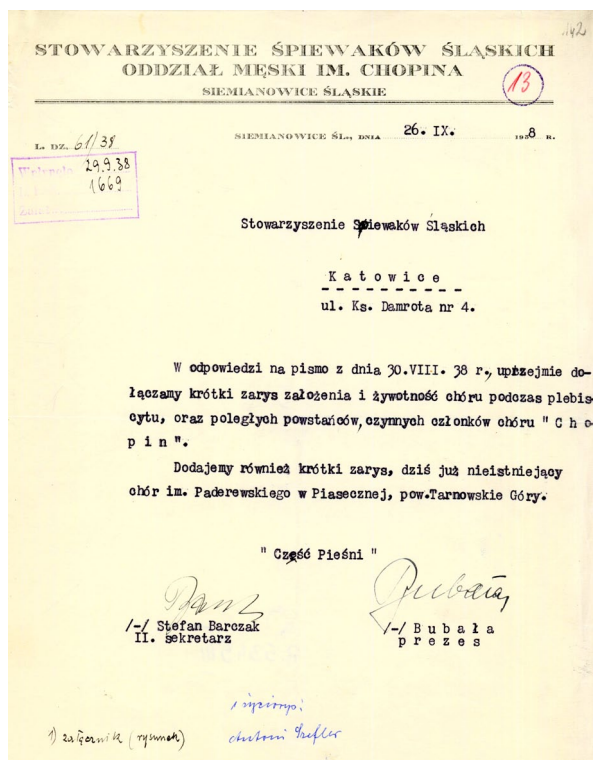
Zusammenfassung

Die Autorin diskutiert in ihrer Arbeit die Beteiligung von Mitgliedern des Schlesischer Gesangvereins an Aufständen und einer Volksabstimmung in Oberschlesien. Sie basiert auf der handschriftlichen

Sammlung „Materialien zur Geschichte der schlesischen Chöre und Gesangsgruppen“, die in der Schlesischen Bibliothek aufbewahrt wird. Sie beschreibt die Anfänge der Gesangsbewegung in Oberschlesien, die schwierige Situation im Zusammenhang mit Repressionen durch die deutschen Behörden und gibt Beispiele für die Beteiligung von Sängern an Aufständen und Propagandakampagnen im Zusammenhang mit der Volksabstimmung.

Schlüsselwörter

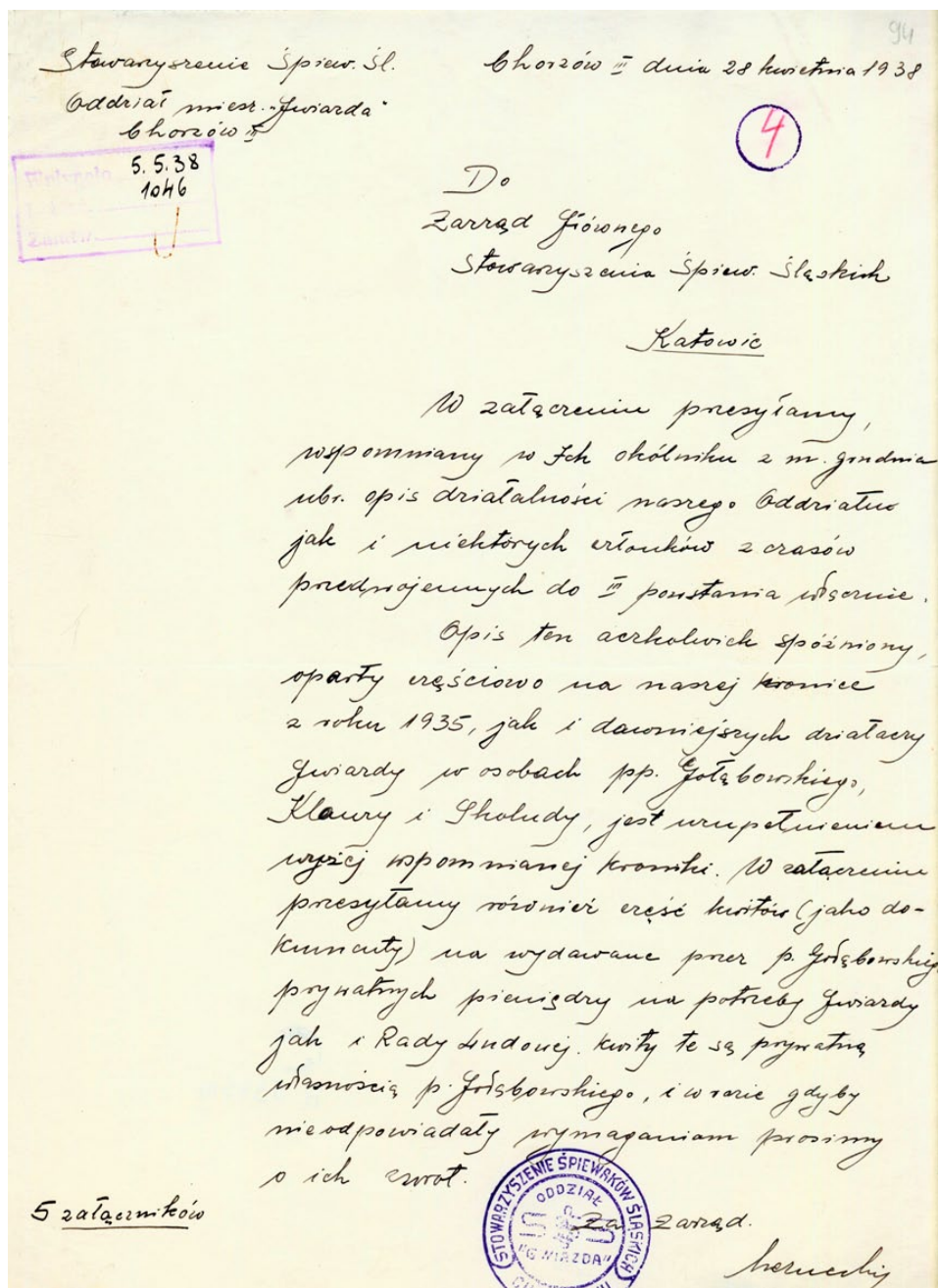
Oberschlesien, der schlesische Gesangverein, Chor, Orchester, der Aufstand in Oberschlesien, der Volksabstimmung in Oberschlesien



Odpowiedź Zarządu chóru męskiego „Chopin” w Siemianowicach Śląskich na okólnik Związku Śląskich Kół Śpiewaczych

Nagrobek Antoniego Szefflera ufundowany ze składek członków chóru męskiego „Chopin” w Siemianowicach Śląskich





Odpowiedź Zarządu chóru mieszanego „Gwiazda” w Chorzowie
na okólnik Związku Śląskich Kół Śpiewaczych

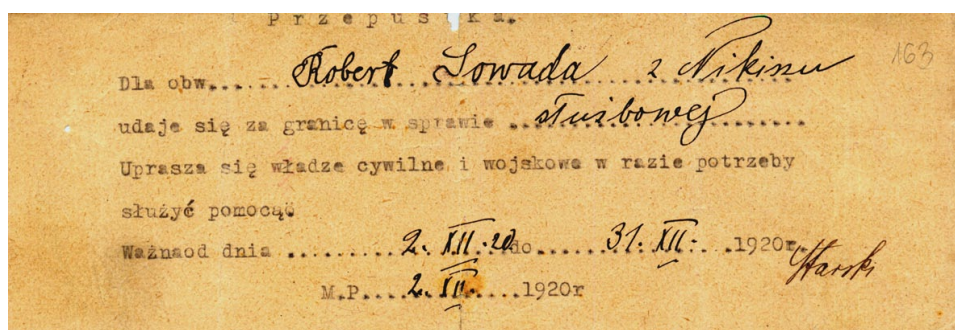
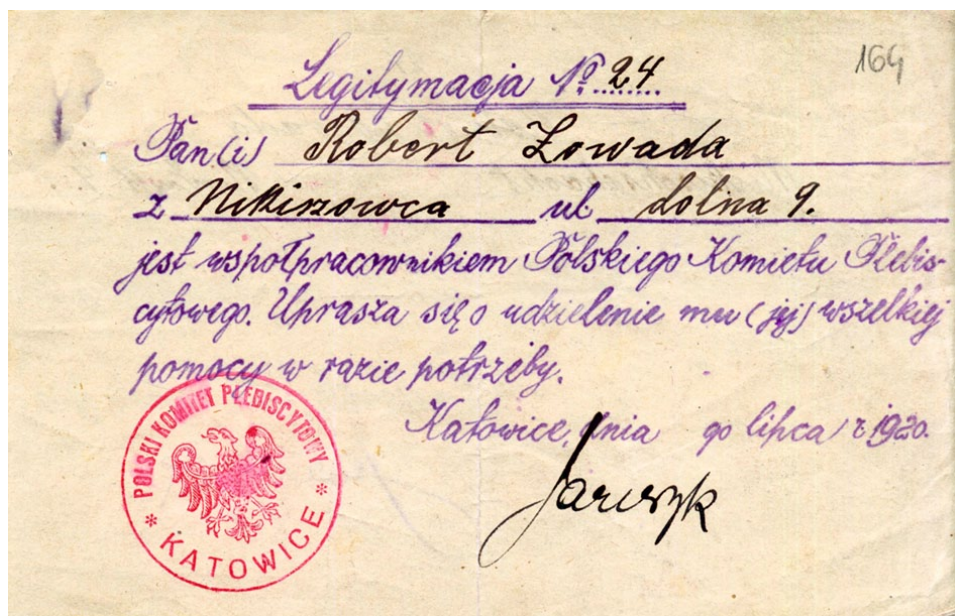
Kwit na marek 20—
Wyrznie: Dwadzieścia marek na nabożeństwo
3. maja z towarzystwa Śpiewu Gwiazda, otrzyma-
łem, co niniejszem kwituje.
Chorzów, dnia 5. Maja 1920
Walenty Kłama
Skarbnik

Kwit 150 marek
Dziesięć seto i pięćdziesiąt marek
odebrałem od przewodniczącego pana
Górnoborskiego z towarzystwa Gwiazda
na cele narodowe.
Chorzów, dnia 28. Kwietnia 1919.
W. Kłama
Skarbnik.

Kwit na 100.00 zł.
Dnia 29. Października 1919 odebrałem
o p. Górnoborskiego Trez. Towarzystwa
Śpiewu w Starach „sto marek”
które niniejszem kwituje.
Armin Walere
Trez. Lokator

Plutok na 30 marek
Trzydzieści marek otrzymałem
od Towarzystwa Gwiazdy do
Komitetu Plebiscytowego,
co niniejszem potwierdzam
Józef Łgowski (L)
Skarbnik.

Pokwitowania chóru „Gwiazda” z Chorzowa za kwoty wypłacane na cele „narodowe” i „plebiscytowe” oraz na „nabożeństwo 3 maja”



Dokumenty z czasów plebiscytu na nazwisko Roberta Zowady,
 członka chóru „Halka” z Nikiszowca

POLSKI KOMITET PLEBISCYTOWY
na powiat Katowicki

Katowice, dnia 15-go marca 1921 r. 166

O k ó ł n i k !

19164/4 o ostatniej służbie plebiscytowej

Część I. roznoszenie kartek do głosowania w dniu 27/III.

Do Szan. Pana *Zoroda Robert*
w. *Wikipowice Niederstr. 9*

Pilne i poufne!

Miejscowy Komitet Plebiscytowy podał do biura powiatowego na

1. 4. obwód do głosowania/Stimmbezirk w gminie /obszarze dworskim/ *Wikipowice*

następujące 8 osób zaufania:.....

1/ *Zoroda Robert ul. Nieder 9* 2/ *Ferchel August ul. Poppe 6*
3/ *Kullok Jan ul. Kościelna 15* 4/ *Wygoda Hilary ul. Kościelna 16*
5/ *Kallamala Jan ul. Targowa 4* 6/ *Filipek Antoni ul. Roseueck 4*
7/ *Norook Tomasz ul. Kościelna 18* 8/ *Knapik Jakób ul. Nieder 10*

1 następujące osoby na kurjerów: *Palka Karol ul. Nieder 20*
2 *Filipek Rudolf ul. Roseueck 4* 3 *Bugelman Jan ul. Roseueck 4*

Osoby zaufania pełnią następujące obowiązki: W dniu 17/III, /czwartek/ muszą być w powierzonym obwodzie do głosowania polskie kartki do głosowania rozdane osobiście wszystkim i niemcom/ uprawnionym do głosowania podług listy.

Osoby zaufania dzielą się na 4 partje, podzielą swój obwód na cztery części, tak że po dwóch obchodzić będą swoją część w obwodzie i roznieść kartki do głosowania. Służba musi być tak wykonana, aby do każdego wyborcy doszła kartka.

Przy tej robocie dać można odezwę i jeszcze statecznie wykonać robotę agitacyjną.

Uwagi: 1/ kartki do głosowania muszą być czyste, przechowane i nie uszkodzone. Inaczej są nieważne, należy je dlatego przechować w książeczce do nabożeństwa

2/ należy przede wszystkim starsze osoby pouczyć, że koperty rządowe do tych kartek wydawane będą w biurze wyborczym, innych używać nie wolno.

3/ kartki należy najlepiej przechować w książeczce do nabożeństwa

4/ należy zanotować wszystkich chorych i słabych starców, których będzie trzeba przewieźć do biura wyborczego.

5/ ślepi winni już zaraz osobę im zaufaną podać, która z nimi pójdzie do biura i odda za nich głos.

6/ służącym/ dziaćuchom i parobkom/ itp. należy wręczyć kartkę do głosowania możliwie osobiście, aby im wrogo usposobieni pracodawcy kartkę nie zniszczyli.

7/ należy pouczyć, aby każdy spieszył do głosowania jeszcze przedpołudniem, a nie odkładał swego obowiązku na popołudnie.

8/ aby donosili, kto nie głosował do godziny 2-giej popołudnia.

Szanowny Pan zechce natychmiast zebrać się z temi na swój obwód do głosowania, poleconemi osobami, aby stworzyć służbę sprężystą, t.j. podzielić się na 4 partje, po dwie osoby razem i podzielić swój obwód do głosowania t.j. część gminy należącą do danego biura wyborczego na cztery części. Przy takiej organizacji można roznieść kartki w przeciągu 2ch godzin. Tylko w niespodziewanie trudnych warunkach można by jeszcze i wpiątek 18/III dalej kartki roznieść.

Służba ta jest konieczna i zagwarantuje nam p.i. dobry wynik głosowania. Uważa się służbę tą za tak ważną, że każda praca będzie jeszcze kontrolowana przez osobnych kontrolerów i wtenczas niebawem będziemy mogli odpowiedzieć za plebiscyt.

/-/ Jarczyk.

Okólnik „o służbie plebiscytowej” dla Roberta Zowady

POLSKI KOMITET PLEBISCYTOWY
na powiat Katowicki

Okólniki

Pilno i poufnie!
Służba w dniu głosowania, t.j. w niedzielę 20/III.

Do Szan. Pana *Zawady Roberta*
w *N. Krowcu*

Aby służbę w dniu głosowania móc wykonać na swój obwód/t.j. głosowania, należy mieć wierny odpis urzędowej listy do głosowania z swojego obwodu. Wystarczy: numer bieżący, pod którym każda osoba jest zapisana, jej imię i nazwisko i numer mieszkania.

Głosowanie trwa od godz. 8-ej rano bez przerwy do godziny 8-ej wieczorem. Na obwód głosowania Stimmbezirk 1/4 dziesiątą się polecone osoby zaufania następujące:

Zawady Roberta 1/..... 2/..... 3/..... 4/.....
Jarechol Augustyna 5/..... 6/..... 7/..... 8/.....
Jarechol 9/..... 10/..... 11/..... 12/.....
Krakotk Jan 13/..... 14/..... 15/..... 16/.....
Nowotk Tomasz 17/..... 18/..... 19/..... 20/.....
Knapik Jakób 21/..... 22/..... 23/..... 24/.....
Polka Karol 25/..... 26/..... 27/..... 28/.....
Hubert Jan 29/..... 30/..... 31/..... 32/.....
Hybraniec Józef 33/..... 34/..... 35/..... 36/.....
Gucler Jan 37/..... 38/..... 39/..... 40/.....
Gucler Jan 41/..... 42/..... 43/..... 44/.....
Hybraniec Józef 45/..... 46/..... 47/..... 48/.....
Gucler Jan 49/..... 50/..... 51/..... 52/.....
Hybraniec Józef 53/..... 54/..... 55/..... 56/.....
Gucler Jan 57/..... 58/..... 59/..... 60/.....
Hybraniec Józef 61/..... 62/..... 63/..... 64/.....
Gucler Jan 65/..... 66/..... 67/..... 68/.....
Hybraniec Józef 69/..... 70/..... 71/..... 72/.....
Gucler Jan 73/..... 74/..... 75/..... 76/.....
Hybraniec Józef 77/..... 78/..... 79/..... 80/.....
Gucler Jan 81/..... 82/..... 83/..... 84/.....
Hybraniec Józef 85/..... 86/..... 87/..... 88/.....
Gucler Jan 89/..... 90/..... 91/..... 92/.....
Hybraniec Józef 93/..... 94/..... 95/..... 96/.....
Gucler Jan 97/..... 98/..... 99/..... 100/.....

Wybórą jaknajbliższej swojego biura głosowania lokal/pokój prywatny gdzie będą mieli swój odpis urzędowej listy do głosowania swojego obwodu. Lokal ten musi nosić widoczny napis "Biuro Centralne Obwodu 1/4".

Panowie dzielą się w służbę tak, że p. *Zawady* zasiadają tam będzie od godz. 8-2, a p. *Jarechol* od 2-8 godz. wiecz.

Przy lokalu tym stoją pp. 1/..... 2/..... 3/..... 4/.....

5/..... 6/..... 7/..... 8/..... przeznaczeni na przeprowadzanie tam tych osób, które do godz. 2-ej popołud. jeszcze nie głosowały.

1. Ludzi o których się przypuszcza, że głosować będą za Niemcami nie należy nakłaniać do głosowania.

2. Panowie *Nowotk Tomasz* i *Knapik Jakób* stać będą na pogotowiu, aby chorych i słabych przywozić do lokalu wyborczego. Jednak należy już zaraz zrana zwozić chorych i słabych przede wszystkim o il. rozchodzi się o szpitale, domy dla strażców itd. Osoby te muszą mieć wóz lub t. w pogotowiu.

3. Na kurjerów służbę będą 1/..... 2/..... 3/..... 4/.....

5/..... 6/..... 7/..... 8/..... Podział tej służby musi nastąpić w porozumieniu z wszystkimi naszymi 4 polskimi członkami czynnymi w biurze wyborczym.

9/..... 10/..... 11/..... 12/..... Członkami polskimi są: 1/..... 2/..... 3/..... 4/.....

5/..... 6/..... 7/..... 8/..... Służba ta winna być wykonana następująco:

9/..... 10/..... 11/..... 12/..... a) polacy zastępcy biura wyborczego..... 1/..... 2/..... 3/..... 4/.....

5/..... 6/..... 7/..... 8/..... b) kurjer zanoszą spis ten do biura Centralnego danego obwodu, które głosowały, odbierając tak co godzinę taki spis od kurjera. Kurjer po oddaniu spisu wraca zaraz do biura wyborczego.

9/..... 10/..... 11/..... 12/..... c) Od godziny 2-iej począwszy pan pełniący służbę w biurze Centralnem wypisuje osoby te o których się przypuszcza, że będą głosować za Polską, które jeszcze nie głosowały i podaje je owym pod Nr. 2-ym wymienionym osobom szleperom.

13/..... 14/..... 15/..... 16/..... d) ci t.zw. szleperzy odchodzą zaraz aby sprowadzić tych gnuśnych do lokalu wyborczego, u których muszą się przekonać, czy posiadają polską kartkę do głosowania. Jeżeli natrafiają na chorych lub słabych starców, którzy dotąd nie głosowali, muszą natychmiast tam z owymi dwoma z pogotowia pojechać.

17/..... 18/..... 19/..... 20/..... e) Przed lokalem wyborczym nie będzie wolno rozdawać kartki do głosowania. Pewien zapas polskich kartek do głosowania musi się znajdować w biurze Centralnem, aby móc wręczyć kartkę gnuśnym i chwiejnym. Kartki polskie na zapas należy odebrać w liczbie 1/5 - 1/4 wszystkich uprawnionych do głosowania w miejscowym biurze plebiscytowym.

21/..... 22/..... 23/..... 24/..... Służba ta jest konieczna i obowiązkowa dla każdego Polaka. Raz w dziejach całych odbywa się głosowanie, czyli rozstrzygnięcie naszego losu. A wynik dobry tylko wtenczas może nam być zapewniony, gdy każdy wezwany spełni swoje obowiązki i zapomni choć na ten dzień o wszystkim aby nas mogło rozdziać i rozłączać.

25/..... 26/..... 27/..... 28/..... Z Bogiem za świętą sprawą. -

29/..... 30/..... 31/..... 32/..... /-/ Jareczyk.

Okólnik o „służbie w dniu głosowania” dla Roberta Zawady



Stowarzyszenie Śpiewaków Śląskich

„HARMONIA“



ZAŁOŻONE
W DNIU 2-GO
MAJA 1908 R.

L. dz. 3538

MIKOŁÓW, dnia 31. marca 1938 r.

Województwo śląskie
L. H. 38
857

Do
Zarządu Głównego Stowarzyszenia
Śpiewaków Śląskich
w Katowicach.
ul. ks. Damrota 4.

Stosownie do tamt. pisma z grudnia 1937r przesy-
łamy w załączeniu 1 egzemplarz zebranych wiadomości
o działalności narodowej naszego stowarzyszenia z lat
przedwojennych, z czasu plebiscytu i w czasie powstań
śląskich. Do niniejszego pisma załączamy 1 fotografię
śp. Bojdoła Stanisława oraz odpis mandatu karnego,
małożomego na członka " Harmonii " drh. Józefa Szwarc-
ca, Roberta Wycisły, Stanisława Ligonja, Jana Miłka
oraz kilka innych odpisów z różnych pism i programów.
Innych pism wzgl. dowodów nie posiadamy.

" Cześć Pieśni "

Z a z a r z ą d :

/ Krystof /
sekretarz

/ Grzbiela /
prezes.

Odpowiedź Zarządu chóru „Harmonia” z Mikołowa
na okólnik Związku Śląskich Kół Śpiewaczych



Chór śpiewaków śląskich w Łazienkach Królewskich w Warszawie
w czasie objazdu propagandowego Polskiego Komitetu Plebiscytowego
w grudniu 1920 roku. Po prawej z opaską na ramieniu Michał Wolski, prezes
Związku Śląskich Kół Śpiewaczych, przed nim dyrygent Józef Rzeźniczek

Relacje, wspomnienia, wiersze



KSIAŻNICA
ŚLĄSKA

Książnica Śląska t. 33, 2021

ISSN 0208-5798

CC BY-NC-ND 4.0

ANDRZEJ LINERT

Uniwersytet Jagielloński

ORCID: 0000-0002-0399-1757

Strzelec śląski

Poznałem go wieczorem, późną jesienią. Zjawił się u mnie w domu z telegramem. Ku mojemu zdziwieniu rower, na którym przyjechał, pozostawił na chodniku, poza ogrodzeniem na zewnątrz. „Nie boi się Pan, że może go ktoś zabrać? To tylko moment!” – powiedziałem. Spojrzał na mnie z uśmiechem i beztrąsko odparł: „Mój rower znają w okolicy wszystkie chłopaki. Żaden się nie odważy. Oni wiedzą, że to jest mój rower!”. Spojrzałem na jego pewną siebie i uśmiechniętą twarz. Był roslą i silnym mężczyzną. „Jestem na lichej emeryturze i dorabiam sobie na pocztę, rozwożąc telegramy” – oświadczył. Od razu zauważyłem, że chętnie i szczerze dzieli się swoimi doświadczeniami. Zapytałem go więc, czy długo pracuje już na pocztę – wszak widziałem go po raz pierwszy. Spojrzał na mnie i zaczęliśmy rozmawiać jak dwaj dobrzy znajomi. Z czasem jałem notować jego relację. W ten sposób powstał ten tekst – oparty na faktach autentycznych, odwołujący się do doświadczeń pokolenia Ślązaków, którego dramatyczne i tragiczne losy stanowią do dzisiaj niezabliźnioną ranę.

Na imię miał Feliks. Był synem powstańca śląskiego. Ojciec jego urodził się w Kolonii Gosławickiej pod Opolem – dzisiaj to już dzielnica tego wojewódzkiego miasta. Matka też stamtąd pochodziła. Tam zresztą do dzisiaj prawdopodobnie mieszka jego rodzina. Z dzieciństwa pamiętał, jak na Boże Narodzenie ojciec zabierał go i jego braci do Domu Powstańca w Katowicach na Placu Wolności (róg

ul. Sokolskiej), zanim w 1938 roku otwarto nowo wybudowany Dom Powstańca Śląskiego przy ul. Jana Matejki 3. Wujek opowiadał mu, że ojciec bronił Królewskiej Wsi w 1919 roku, wskutek czego policja niemiecka, kiedy żenił się dwa lata później, chciała go aresztować za agitację na rzecz Polski. Dlatego też po ślubie oboje z matką przenieśli się do Żor. Ojciec jego początkowo otrzymał posadę komornika, a potem pracował w katowickim ogrodzie zoologicznym, mieszczącym się przy ul. Bankowej¹. Były tam m. in. dwa niedźwiedzie, lew i małpy. Jeszcze krótko po wojnie było tam ZOO.

On urodził się w Żorach, ale gdy ojciec zmienił pracę, to rodzina zamieszkała w Katowicach-Bogucicach. Tam zmarła jego matka. Miał wtedy sześć lat. Był najstarszy. Pamiętał, jak jednego dnia matka zawołała go do siebie, pobłogosławiła, powiedziała: „Dzisiaj w nocy umrę” – i zmarła. A on, jak to dziecko, niewiele się tym przejmował. Jego dwaj młodszy bracia mieli cztery i trzy lata. Po wojnie jeden wyemigrował do Australii, a drugi do Kanady.

Po śmierci matki ojciec oddał ich do sierocińca, do sióstr św. Jadwigi w Bogucicach². Na stałe przebywało tam około 200 dziewcząt i 500 chłopców. To był wielki sierociniec. Podopieczni mieli własną szkołę. Jej kierownikiem był niegdysiejszy kapitan Wojska Polskiego³, a nauczycielami wyłącznie siostry zakonne. Gdy po wojnie, w 1947 roku, wrócił z Anglii, to pojechał odwiedzić sierociniec. Wtedy jeszcze siostry obecne były na miejscu, ale parę lat później narzucono im tzw. Komitet Opiekuńczy, a w końcu zmieniono charakter placówki, uniemożliwiając wychowanie i kształcenie młodzieży w duchu katolickim. Przed wojną jego wychowawczynią była siostra Magdalena, która nierzadko lała go kijem i trzcina. Ale on po latach był ojcu wdzięczny. Po śmierci matki on i jego bracia pozostali bez opieki. Wałęsali się w okolicach kopalni „Katowice” po znajdujących się tam gliniankach, opustoszałych wyrobiskach, biedaszybach i dziurach po wapnie. W sierocińcu to wszystko się skończyło. Zaczęła się nauka.

Ojciec mojego rozmówcy zmarł na zapalenie opon mózgowych w 1932 roku, zaledwie rok po śmierci matki Felka. Chłopiec i jego bracia pozostali sami. Pogrzeb ojca był wielką manifestacją. Przybyli przede wszystkim powstańcy śląscy. Pochód szedł szerokością całej ul. Warszawskiej aż do Bogucic i tam, za kościołem, ojciec został pochowany obok matki.

W sierocińcu każdego dnia wstawano o szóstej i wszyscy szli do kaplicy. Mszę odprowadzał ksiądz Smandzik. On jeden grał z wychowankami w piłkę na placu apelowym. Poza tym panował straszny rygor. Nauka odbywała się od 8.00 do 14.00. Śniadania i obiady były bardzo skromne. Masła i cukru młodzież nie widziała pra-

¹ Właściwie Miejski Ogród Naukowy, założony w 1922 roku w Katowicach przy ulicy Bankowej 7, po II wojnie światowej przekształcony w Miejski Ogród Zoologiczny w Katowicach (funkcjonował w latach 1946–1957). Jego dyrektorem był Tadeusz Bandur, jednocześnie zasłużony księgarz katowicki, a zarazem pierwszy dyrektor Ogrodu Zoologicznego w chorzowskim Parku Kultury i Wypoczynku.

² Zakład opiekuńczo-wychowawczy w Bogucicach, założony w 1858 roku z inicjatywy ks. Leopolda Markiefki, od 1923 roku siedziba Zgromadzenia Sióstr św. Jadwigi.

³ Kierownikiem Szkoły Powszechnej fundacji im. ks. Markiefki w 1933 roku był Józef Ponikło, a od roku szkolnego 1935/1936 Marcin Mazurski (H. Domagała, *Fundacja opiekuńczo-wychowawcza imienia ks. Leopolda Markiefki w Katowicach-Bogucicach w latach 1858–1990*, Katowice 1990).

wie wcale, nie podawano również owoców. Jablek było tyle, ile udało się ukraść z ogrodu. W sierocińcu znajdował się sad z gruszami, jabłonią i ogród warzywny. Wychowankowie sami go plewili i okopywali. Wszystkiego ich uczono: pokazywano, jak się sadi truskawki, jak się fance rozsadza. O ósmej wieczorem gaszono światło i wszyscy musieli iść spać. W sypialni mieściło się sto łóżek. Każdy miał siennik ze słomą, którą co jakiś czas musiał wymieniać. To była paskudna robota. Codziennie też wycierano salę na mokro, a potem na sucho. Korytarze były pastowane. Nie było żadnych sprzątarek.

Siostry miały własną kuchnię, a młodzież własną. Cukierki rozdawano tylko na Boże Narodzenie – i może właśnie dlatego Feliks do końca życia zachował zdrowe zęby. Na śniadanie każdego dnia młodzież dostawała owsiankę i kromkę chleba ze smalcem, a o godzinie dziesiątej dodatkowo kromkę chleba z marmoladą. Na obiad najczęściej była grochówka lub kapuśniak, a drugie danie podawano tylko w niedzielę. Na kolację jadło się chleb z salcesonem albo z serem, dlatego też czasami wszyscy byli głodni. Jednak po latach, już jako dorosły mężczyzna, docenił panujące w ośrodku warunki.

Jego największym marzeniem była ucieczka z sierocińca. W zimie uciekał na górkę do parku przy kopalni „Katowice”. Do butów przywiązywał drewniane deseczki, pod które zakładał, podobnie jak inni, drut, tworząc w ten sposób łyżwy. Siostry, gdy dowiadywały się czasami, że dzieci były w mieście, sprawiały im lanie. Raz siostra Jadwiga tak nieszczęśliwie uderzyła w głowę jednego chłopca, że dzieciak stracił oko. Początkowo tylko ropiało. Wzięli chłopca do szpitala, a gdy wrócił po trzech miesiącach, to zamiast oka miał szkiełko. Kubik się nazywał. Był z jego klasy. Pamiętał, że strasznie ostra była ta siostra Jadwiga. Wszyscy okropnie się jej bali. W 1945 roku, jak przyszli Rosjanie, to oddali pod opiekę do sierocińca również swoje rosyjskie sieroty. To były chłopaki z różnych środowisk, zaniedbani, samotni, z rodzin bandyckich, prawdziwe dzieci wojny. Niektórzy mieli już po szesnaście lat. I jeden z nich zasztyletował siostrę. W nocy, gdy spała, wbił jej nóż w plecy. Siostry spały w tej samej sali, co wszyscy, w rogu za zasłonami. On tam w nocy wszedł i ją zabił.

Po skończeniu siódmej klasy w lipcu 1939 roku siostry oddały go na naukę zawodu kupieckiego. Ubrany w śliczny nowy mundurek pojechał do Sosnowca do miejscowego biznesmena, który miał sklepy z galanterią skórzaną nie tylko w Sosnowcu, ale i w Katowicach, Poznaniu, Warszawie i Krakowie. Główne jego warsztaty znajdowały się w Sosnowcu. Nazywał się Piechocki⁴. W Katowicach miał sklep przy ul. Warszawskiej, naprzeciwko Banku Rolnego, tuż niedaleko gmachu Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego. Jak Felek jechał pierwszy raz do tego Piechockiego, to siostra powiedziała mu tak: „Jak przyjedziemy do Sosnowca, ładnie się ukoń, powiedz: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i pocałuj go w rękę. Będiesz miał piękną pracę”. No i tak zrobił. Piechocki, gruby i z cygarem w gębie, siedział w wielkim fotelu skórzanym. „No, pokaż się” – powiedział. Wtedy chłopak musiał podejść do niego. W sierocińcu nie wolno było nosić włosów. Ogolony był więc na głacę. Właściciel sklepu obejrzał go ze wszystkich stron i powiedział: „Idź na Warszawską w Katowicach do kierownika. Tam będziesz pracował”. Dostał trzydzie-

⁴ Zapewne Stefan Piechocki, właściciel pracowni wyrobów skórzanych i przyborów podróżnych.

ści złotych pensji na miesiąc. Musiał przychodzić na siódmą rano i do szóstej wieczorem był w sklepie. To, co zarobił, oddawał siostrze. Za to kupowały mu buty i odzienie, a ponadto nadal otrzymywał wyżywienie i nocleg. Z dniem pierwszego września miał iść do liceum handlowego, ale wybuchła wojna i zamiast iść do szkoły, pozostał w sklepie wraz ze swoim kierownikiem.

Któregoś dnia o mały figiel nie zginął. W Katowicach ujawniła się bowiem tzw. piąta kolumna⁵. Tuż przed teatrem zgromadziło się pełno Niemców z hitlerowskimi opaskami na rękawach i na własne oczy widział, jak strzelali. Na ul. Warszawskiej powstało olbrzymie zamieszanie. Razem z kierownikiem uciekli na czwarte piętro kamienicy. Tam ktoś otworzył im drzwi i zabarykadowali się. W mieście była jeszcze wtedy polska policja. Niemcy musieli więc pozostawić ich w spokoju. Całą noc siedzieli zabarykadowani. Rano, gdy zeszli na dół, to cały sklep był już wyszabrowany, a z niektórych okien na Warszawskiej zwisały niemieckie swastyki. Wrócił więc do swoich siostrzyczek. Nie przypuszczał jeszcze wtedy, że z wybuchem wojny skończyło się nagle jego dzieciństwo.

Po miesiącu do sierocińca przyjechało bowiem Gestapo i nakazało wszystkim chłopcom i dziewczynom od lat piętnastu do dwudziestu, w ramach tzw. akcji wywózki na roboty do Niemiec, zgłosić się do Arbeitsamtu⁶. I tak w październiku 1939 roku został wywieziony do Niemiec. Po niemiecku nie mówił ani słowa. Miał zaledwie piętnaście lat. Dostał się w okolice Buxtehude, to jest około trzydzieści kilometrów od Hamburga, do wioski Schwiederstorf. Jego gospodarz miał traktor, dwa konie, trzydzieści krów i sto świń, trochę lasu, łąki i dużo pola. Nazywał się Heinrich Corsch, a jego ojciec miał na imię Johann. Ten był już stary. Żona Heinricha, Mimi, pochodziła z bogatej rodziny ziemiańskiej. Jej ojciec miał trzysta koni, dwieście krów i zatrudniał prawie stu ludzi. A Corsch miał tylko jego jednego. To byli rodowici Niemcy. Dla nich dyktatura hitlerowska w zasadzie nie budziła wątpliwości i nie podlegała dyskusji. Nieraz zastanawiał się, czy każdy naród stać byłoby na taki bezkrytycyzm i na takie bezwzględne posłuszeństwo wobec władzy.

Jego gospodarze byli ewangelikami, a Heinrich, który był wychowankiem Hitler-Jugend⁷, pełnił we wsi funkcję Ostgruppenführera SA. Przykładowo, jeśli ktoś chciał świnie albo krowę zabić, to najpierw musiał dostać od niego pozwolenie. On miał wszystkie pieczętki. Gdy mój rozmówca do nich przyjechał, to mieli już małego synka. Miał wtedy roczek.

Felek zamieszkał w małym i nieogrzanym pokoiku przy koniach. Było tam łóżko, szafa, lustro i zimno jak w psiej budzie. Całymi nocami płakał. Jego utracony Śląsk, a w nim jego sierociniec, jawił mu się jak mitologiczny raj. Zewsząd otaczała go zima, mróz, niezrozumiała mowa i obcy, wrogo i niechętnie nastawieni do niego ludzie. Jego przerażenie potęgował strach, że już nigdy nie wróci do Polski. Pytania dotyczące jego przyszłości pozostawały bez odpowiedzi. W tych pierwszych

⁵ Określenie używane w odniesieniu do wrogów wewnętrznych, dywersantów, sabotażystów i szpiegów.

⁶ Arbeitsamt – w czasie okupacji niemieckiej urząd zajmujący się egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz wysyłaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec.

⁷ Hitler-Jugend – niemiecka paramilitarna organizacja młodzieżowa, związana z partią nazistowską, działająca w latach 1926–1945.

zimowych miesiącach 1940 roku w Niemczech poznał gorycz samotności i bezsilności niewolnika zdanego na łaskę i niełaskę niemieckiego pana. W swej desperacji bliski był obłędu. Jego jedynym sojusznikiem był czas. Powoli mijał strach i rozpacz. Latem 1940 roku w wiosce pojawił się nowy niewolnik. Pochodził z Flandrii. Przebywał jednak bardzo krótko, zaledwie trzy miesiące. Po nim przyjechał Macedończyk ze Skopje Andrej Lazarovič. Mieszkał w obozie w Ohlsdorfie. Rano niemiecki żołnierz przyprowadzał go do pracy, a wieczorem zabierał. Jego jedynym marzeniem była chęć przeżycia wojny. Dla tego jedynego celu gotów był uczynić wszystko. Głodny i zaniedbany, prosił o jedzenie. Felek ratował więc współtowarzysza niewoli, jak mógł. Andrej pochodził z zamożnej rodziny. Jego ojciec posiadał pięćset owiec, a tymczasem w niemieckiej niewoli życie ratował mu przymusowy młodociany robotnik z Polski, który częstował go kradzionymi jajkami i słoniną „organizowaną” ze spiżarni na strychu. Żołnierzy w niewoli karmiono tylko zupą z brukwi, kawą zbożową i suchym chlebem.

Macedończycy pięknie śpiewali. Długo lata pamiętała, jak na wyrębie w lesie Andrej, tańcząc, uczył go:

Kiśa pada, kiśa pada,
Mokra je livada.
Maši rala, maši rala,
krala Petro gvardia.

Felek, w odróżnieniu od żołnierzy w niewoli, był dobrze karmiony, chociaż początkowo Heinrich kazał mu jadać w sieni. Ale żona miała z tym kłopot, bo musiała przygotowywać osobne posiłki. Po miesiącu strasznie się o to pokłóciła z mężem. On twierdził, że Polak nie może jeść z Niemcem przy jednym stole, ale ona pytała: dlaczego? On zaś tłumaczył, że jest kimś lepszym niż Polak, a powody tego znajdzie w książce *Mein Kampf* Hitlera. Ale ona w ogóle nie chciała z nim na ten temat rozmawiać. Obchodziło ją tylko to, że Felek jest chłopcem i musi zjeść, jeśli ma pracować. I to była cała jej filozofia. On zaś bał się jej. Ona po jednej z kolejnych z nim sprzeczek głośno wykrzyczała mu, że pochodzi z bardzo biednej rodziny, a przed ślubem miał tylko jedną kozę i konia. Natomiast auto, traktory, dwadzieścia krów i pozostałe konie kupił mu jej papa, ponieważ on sam był biedak. Podenerwowana tym wyznaniem długo nie mogła się uspokoić.

Zatem gdy powiedziała, że nie będzie osobno przygotowywać dla Polaka jedzenia, to on musiał wcześniej czy później przyjąć to do wiadomości. I ustąpił. Od tego też czasu jedli więc razem przy jednym stole. Kiedyś, jak Felek chleb smarował masłem, tak nie za cienko, bo w sierocińcu masła nie widział, to Heinrich go zrugął, że za grubo smaruje. Wtedy podenerwowany chłopak rzucił chlebem i dodał: „Danke schön! Ich wolle nicht Essen”⁸ i wyszedł do sieni. Skończyło się to kolejną awanturą. Na koniec gospodyni wyszła do chłopca i wciągnęła go z powrotem do kuchni. Od tego czasu mógł chleb smarować ile i jak chciał.

Z czasem w Schwiederstorf pojawiła się dziewczyna z Polski. Na imię miała Czesia. Do sąsiedniego Elstorfu na roboty przymusowe przywiezieni zostali dwaj Polacy z kieleckiego i jeden spod Warszawy oraz jeszcze jedna Marysia. Chłop-

⁸ „Dziękuję bardzo! Nie chcę jeść!”

cy mieli skrzypce i akordeon. W niedzielę wszyscy Polacy spotykali się u nich. Ich gospodarz był bardzo ludzki i pozwalał grać. Przy okazji także tańczyli. Po jakimś czasie Czesia zaszła w ciążę. Z kim – tego nikt nie wiedział, ale przed porodem wywieziono ją do Berlina i tam urodziła zdrowe dziecko. Niestety, Gestapo zabrało je od niej. Po jakimś czasie przyznała się, że nie wolno jej o tym mówić, bo jeśli dowie się o tym Gestapo, to ją zabije. W Niemczech działała w tym czasie w ramach SS instytucja Lebensborn eingetragener Verein – stowarzyszenie „Źródło życia”. Kierował nią Reichsführer-SS Heinrich Himmler – dowódca SS, policji i Gestapo. Jej działalność sprowadzała się do kradzieży lub odbierania polskim rodzicom dzieci i umieszczania ich w „domach dziecka”, w celu zapewnienia w społeczeństwie niemieckim luki powstałej po żołnierzach poległych na wojnie.

Co natomiast stało się z Lazarovičem, Felek nie wiedział. Jeszcze przed śmiercią Tity⁹ pisał do telewizji w Skopje, że poszukuje Andřeja Lazaroviča, niewolnika jugosłowiańskiego w latach II wojny światowej. Posłał tam nawet jedyne jego zdjęcie, jakie miał, i nic. Potem nastąpiło trzęsienie ziemi. A może nie przeżył wojny? Mój rozmówca nigdy nie poznał jego późniejszych losów.

Po dwóch latach pobytu w Niemczech Felek umiał już orać, powozić końmi i wykonywać wszystkie prace polowe. Podział pracy w domu był taki: on karmił, czyścił i ubierał konie oraz doił piętnaście krów, a gospodyni Mimi doila pozostałe piętnaście krów. Gdy czasem jechała do rodziny ze swoim maleńkim synkiem, to prosiła go, aby wydoił też za nią pozostałe piętnaście krów. Z wdzięczności przywoziła mu za to zawsze kawałek tortu. Jej mąż nigdy nic o tym nie wiedział. Świnie karmiła babka, mama Heinricha. Natomiast dziadek zajmował się obejściem. Był kombatantem z pierwszej wojny światowej. Walczył pod Verdun i między nim a synem istniała duża różnica zdań. Gdzieś wyczytał albo może usłyszał o istnieniu hitlerowskich obozów koncentracyjnych i to mu się bardzo nie podobało. „Du tötest Menschen! Wofür ist das? Das haben wir nicht gemacht. Wir haben mit Waffen in der Hand gekämpft, und Sie töten Zivilisten”¹⁰ – krzyczał. Heinrich odpowiadał mu, że „Jetzt gibt es eine andere Reihenfolge. Wir kämpfen für eine neue Ordnung in Europa und in der Welt. Was der Vater sagt, ist veraltet!”¹¹. Kłótnie były okropne, a czasami o mało co nie pobiliby się. I co jeszcze ważne: dziadkowie chodzili do kościoła, a młodzi nie, mimo że na tzw. koblach, metalowych sprzączkach pasów wojskowych, wszyscy mieli wypisane: „Gott mit Uns”¹².

Po wojnie Felek pisał do nich, twierdząc, że tam, w ich gospodarstwie, pozostała po nim jego niezapłacona praca. Fakt ten traktował wyłącznie jako sprawę prywatną, dotyczącą wyłącznie jego i nich. Z całą stanowczością twierdził, że to, iż oni są Niemcami, a on Polakiem, nie miało najmniejszego znaczenia. Liczy się przede wszystkim uczciwość jednego człowieka wobec drugiego. Za wykonaną ro-

⁹ Josip Broz Tito (1892–1980) – od 1945 roku przywódca Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii.

¹⁰ „Zabijacie ludzi! Po co to? Myśmy tak nie robili. Walczyliśmy z bronią w ręku, a wy zabijacie cywilów”.

¹¹ „Teraz jest inny porządek. Walczymy o nowy ład w Europie i na świecie. To, co ojciec mówi, jest przestarzałe!”.

¹² „Bóg z nami”.

botę wcześniej czy później trzeba zapłacić. I nieważne jest, czy Heinrich żyje, czy nie, ponieważ jego syn odziedziczył gospodarstwo i dług po ojcu. Ale syn prawdopodobnie nie chciał tego zrozumieć i nie odpisał mu. Po tej jednej próbie nawiązania kontaktu z rodziną Heinricha Feliks uniósł się honorem i więcej do nich nie pisał. Do końca życia uważał jednak, że z ich strony było to nieuczciwe. Po wojnie, jak był już w Anglii, myślał, że gdy wróci do Polski, to może dadzą mu na Śląsku jakieś gospodarstwo. Marzył o tym, aby prowadzić je na wzór niemiecki i w takim samym porządku. Ale to, jak z czasem stwierdził, były jego naiwne marzenia.

Do Elstorfu trzy razy w tygodniu przyjeżdżało kino. Polakom nie było wolno tam chodzić. Ale ponieważ odbywało się to w sąsiedniej wsi, gdzie nikt go nie znał, to wkładał białą koszulę, krawat, włosy smarował brylantyną i upodabniał się do miejscowych Niemców. Wszyscy myśleli, że jest Niemcem i wpuszczali go. Przed filmem wyświetlano tzw. Wochenschau¹³. Była tam m. in. kronika z frontu i wtedy zobaczył żołnierza niemieckiego na przedmieściach Moskwy. To była zima 1941/1942. Usłyszał wtedy: „Wir sind achtzehn kilometer nach Moskau”¹⁴. Przeraziło go to. Pomyślał: „Oni wygrają wojnę. Muszę uciekać. Wojna się skończy i już nigdy nie wrócę do Katowic, albo potrwa jeszcze pięć lat, a ja będę tu kiblował jak głupi”. Postanowił więc uciec. Gospodarz jako Ostgruppenführer SA w Schwiederstorf sprawował kontrolę nad wszelką działalnością meldunkową we wsi i miał w związku z tym w domu wszelkie do tego potrzebne druki i pieczęcie, a Felek umiał już pisać i czytać po niemiecku. Wykombinował więc sobie, że wypisze dla siebie zwolnienie, podbije pieczęcią Ostgruppenführera, podrobi podpis i ucieknie do Katowic. Tak też zrobił. Kiedy nikogo w domu nie było, wyćwiczył na gazecie podpis Heinricha i na wstępie napisał: „Der Bauer Heinrich Corsch in Schwiederstorf”¹⁵. A potem dodał, że bauer Henryk Corsch zwalnia go na dwa tygodnie do Katowic i podpisał.

Wiedział, że bez takiego pisma nie było sensu pokazywać się na stacji lub w pociągu. W wyznaczonym dniu, w nocy o godzinie czwartej, po cichu wstał, włożył koszulę, krawat, włosy posmarował brylantyną i pobiegł na dworzec. Dwa dni wcześniej sprzedał akordeon i rower, miał więc 100 marek. Najpierw kupił bilet do Hamburga. Najtrudniej było mu opanować własny strach. Na stacji kasjer, który zawsze meldował na Gestapo, jeśli zauważył kogoś podejrzanego, tym razem nie zareagował. Udało mu się. O szóstej z Hamburga do Krakowa przez Berlin, Wrocław i Katowice odchodził pociąg pociąg pociąg. W Hamburgu kupił następny bilet i wsiadł do pociągu. W tym czasie w pociągach pociągach pociągach na trasie Wrocław - Katowice pełniła służbę żandarmeria wojskowa, żołnierze z takimi blachami na piersiach. On tymczasem stał przy oknie i twardo palił papierosy, udając obojętnego. „Kontrolle. Bitte Ausweisen”¹⁶ – dolatywały do niego ich nawoływania. Widział ich kątem oka. Słyszał odsuwane drzwi przedziałów. Stał przy oknie i obojętnie zdawał się oglądać mijane widoki. I naraz poczuł, jak jeden z nich

¹³ Die Deutsche Wochenschau – cotygodniowa niemiecka kronika filmowa, produkowana w latach 1940–1945.

¹⁴ „Jesteśmy osiemnaście kilometrów od Moskwy”.

¹⁵ „Rolnik Heinrich Corsch w Schwiederstorf”.

¹⁶ „Kontrola. Proszę dowody osobiste”.

palcem stuknął go w plecy i powiedział: „Sie!”¹⁷. Odwrócił się i spokojnie, na ile tylko potrafił, odrzekł: „Jawoll!”¹⁸. „Bitte Ausweis” – usłyszał. „Ein moment”¹⁹ – odparł i wyciągając kartę z kieszeni, podał ją jednemu z nich. Czytali z uwagą, spoglądając raz na pismo, raz na Felka. Zdawało się, że trwało to niemal całą wieczność. Ostatecznie, jak zobaczyli pieczętkę Ostgruppenführera SA, powiedzieli wreszcie: „Danke schön”²⁰ i weszli do następnego przedziału. Wiedział już, że mu się udało.

Po przyjeździe do Katowic chciał pójść do wujka. Niestety, ten już wtedy mieszkał w Chrzanowie. Przed drugą wojną światową był radcą prawnym na kolei, a w czasie pierwszej wojny służył w wojsku niemieckim, walczył pod Verdun. Dzięki temu Niemcy, mimo że szukali jego brata, jemu dali spokój. Do końca mu jednak nie wierzyli i kazali wyprowadzić się z Katowic do Chrzanowa, na teren Generalnej Guberni. Przez całą wojnę tam mieszkał. Natomiast ciotka mogła pozostać w Katowicach. Poszedł więc do niej na Plac Miarki i oświadczył krótko: „Wiecie co, ciotko, jo uciekł z Niemiec z robót przymusowych!”. „Jezu!” – zawołała ciotka – „Gestapo bydzie cie szukać!”. A on jej na to: „Ciotko, jo by chcioł z wujkiem pomówić”. Wujek w Katowicach miał jeszcze na kolei swoich kolegów z czasów przedwojennych i oni ostatecznie załatwili uciekinierowi robotę przy paczkach w magazynie na dworcu. Dostał nowe dokumenty i prawie przez pół roku pracował tam pod nowym nazwiskiem. Gestapo w tym czasie stale go jednak poszukiwało. Mieszkał u ciotki, z którą umówił się, że nie będzie nigdy dzwonił, tylko będzie pukał trzy razy. Jeśli mu nie otworzy, to znaczy, że ma uciekać. Kiedyś po pracy zapukał i ciotka mu nie otwarła. Nie wiedział, co ma zrobić. Stał i czekał. Na wszelki wypadek zapukał jeszcze raz i wtedy usłyszał, że ktoś idzie. Otworzyły się drzwi i ukazał się gestapowiec. Mocno złapał go za ramię i wciągnął do mieszkania. Miał jego zdjęcie i tylko czekał na niego.

W czasie okupacji w budynku przy ul. Jagiellońskiej 23, zajmowanym po wojnie przez Komitet Wojewódzki PZPR, a później Uniwersytet Śląski, mieściła się siedziba Prezydium Policji na Górnośląski Okręg Przemysłowy. Tam też mieściła się jedna z siedzib Gestapo. W podziemiach budynku było osiem cel i w jednej z nich zamknięto mojego rozmówcę razem z Rosjaninem. To był prawdopodobnie Żyd, bo gdy Felek częstował go kielbasą wieprzową, tamten odmawiał. Prosił jedynie o chleb. Wychudzonego i osłabionego współwięźnia Felek dokarmiał dzięki produktom z otrzymanej od ciotki paczki żywnościowej, dostarczonej za pośrednictwem przekupionego przez kobietę strażnika.

Po trzech dniach zabrany został na przesłuchanie, gdzie zaraz na wstępie usłyszał: „Du bist das einzige Mark, du bist von der Arbeit in Deutschland geflohen. Sie hatten die Kühnheit, von dort wegzukommen. Warum hast du das getan?”²¹. Przerażony czekającymi go konsekwencjami z całą mocą uświadomił sobie, że jako sie-

¹⁷ „Pan!”

¹⁸ „Tak!”

¹⁹ „Chwila”.

²⁰ „Dziękuję bardzo”.

²¹ „Ty szpiku jeden, ty uciekłeś z robót w Niemczech. Ty miałeś beczelność uciec stamtąd. Dla czegoś to zrobił?”.

rota nie może na nikogo liczyć. Postanowił zdecydowanie zaprzeczać oskarżeniom i z uporem zaczął twierdzić, że nie uciekł, że dostał urlop i ma na to odpowiedni dokument. „Du hast es vorgetäuscht!”²² – pieklił się gestapowiec. Chłopak jednak uporczywie twierdził, że nie podrobił, bo niby jak mógłby pieczętkę podrobić! W odpowiedzi na to otrzymał jedynie tak mocne uderzenie w policzek, że spadł z krzesła. Mimo to nie zmieniał zdania. Wiedział, że nie wolno mu się przyznać, bo wtedy czeka go wszystko, co najgorsze. Twardo stał więc przy swoim, mimo że przesłuchujący raz po raz bił go tak, iż wielokrotnie jeszcze spadał na ziemię. Za każdym razem jednak twierdził niezmiennie, że gospodarz dał mu tę przepustkę. W końcu, po godzinie przesłuchań, zniechęcony policjant pozwolił mu wrócić do celi.

Po dwóch tygodniach przetransportowano go razem z więzionym z nim rosyjskim Żydem do więzienia przy ul. Mikołowskiej. Tam przeraziły go przede wszystkim panujące warunki sanitarne, spróchniała podłoga, pluskwy i wszechogarniający smród. Za ścianą celi jakiś Węgier krzychał: „Powiedz ludziom, że tu gilotynują! Powiedz!”. Niestety, wtedy nie wiedział jeszcze czy to prawda, czy prowokacja.

Po dwóch miesiącach wywołany został na plac więzienny, gdzie stało już około dwustu więźniów, m. in. Rosjanki i Ukrainki, w większości Żydówki w kufajkach. Po kilkunastu minutach zostali zapakowani na auta i zawiezieni na stary dworzec w Katowicach w okolice głównej bramy wejściowej. Tam już czekało na nich około dwudziestu policjantów. Na wstępie utworzyli szpaler i kolejno dwójkami zakuwali w kajdany wychodzących z aut. Następnie, waląc pejcem po plecach i krzycząc: „Los! Los!”²³, biegiem kierowali wszystkich na peron. Tam stały już wagony więzienne, zakratowane i podzielone na małe metrowe cele. Na stojąco mieściły się w nich dwie osoby. Usiąść nie można było w żaden sposób. Można było tylko stać. Na peronie wszystkich rozkuli i przez dwa dni więźniowie jechali na stojąco, nie opuszczając swoich cel nawet do toalety. Zrozpaczone kobiety prosiły, wołały, że chcą się załatwić, ale Niemcy nikomu nie pozwolili wyjść. I tak dojechali do Berlina. Tam znowu czekał na nich szpaler policjantów. Bici i popychani, w atmosferze nieustających krzyków, ponownie zostali zakuci w kajdanki, po czym zapakowano ich do aut i zawieziono do podziemnego więzienia na Aleksanderplatz. Tam przeprowadzano selekcję więźniów, osobno wskazując osoby do obozów, fabryk Kruppa, na roboty itp. Ale zanim do tego doszło, Niemcy ustawili wszystkich czwórkami i zaprowadzili całą grupę na korytarz. Tam uformowali ich znowu w dwuszeręg (w pierwszym rzędzie stali mężczyźni, w drugim kobiety) i rozkazali rozebrać się do naga. Krzyczeli. Po chwili przyszli więźniowie, którzy zabrali ubrania przyjezdnych do parowni. Przez dobre pół godziny wszyscy stali nago na korytarzu, po czym ubrania dostarczone zostały z powrotem. Były jeszcze gorące. Rzucono je więźniom pod nogi i kazano się ubierać. Każdy szukał swoich rzeczy. Gdy więźniowie ubrali się, zostali skierowani do cel. Na początku zjechali na dół windą, a następnie przed każdym otwierały się drzwi, nowo przybyły dostawał kopniaka i wpadał z impetem do pomieszczenia bez okien.

²² „Tyś go podrobił!”

²³ „Dalej! Dalej!”

Jego wielka sala z wentylacją i ustępem nie posiadała, niestety, łóżek i senników. Pod ścianami siedzieli zbici w grupki Francuzi, Anglicy, Rosjanie, Polacy i Żydzi, jednym słowem wszystkie nacje. Ledwo wpadł do tej celi, a raczej wjechał na brzuchu, zaraz wszyscy więźniowie przyskoczyli do niego i zaczęli wywracać mu kieszenie, szukając tytoniu. On, niestety, palił i miał przy sobie trochę niedopałków. Zrobili więc skręta i dawali pociągnąć jeden drugiemu. Jeszcze jeden do brze się nie machnął, a już drugi wyciągał rękę i z gęby mu wyrывał, i tak ćmili. A on poszedł do kąta sali, usiadł na ziemi i patrzył na to wszystko z niedowierzaniem. Przy drzwiach siedzieli więźniowie – Niemcy. Po raz pierwszy widział coś takiego. To była nieznana mu odmiana jego sierocińca. Oto niby panowie świata, a kiblowali tam tak samo jak on. Mieli co prawda do dyspozycji stolik i pełnili w celi rolę porządkującą, ale to nie miało zasadniczego znaczenia. To byli komuniści i zaraz na wstępie powiedzieli mu, że codziennie rano przychodzi o ósmej gestapowiec i wywołuje więźniów po nazwisku, i musi dobrze słuchać, bo jak usłyszy swoje nazwisko i nie wyjdzie, to tak dostanie żyłą, że raz na zawsze mu się odechce. Więźniowie codziennie dostawali ćwiartkę chleba i dwa razy kubek gorzkiej kawy, a w południe chochlę zupy z brukwi. Po czterech miesiącach, kiedy wyszedł z tego więzienia, dosłownie trzymał się ściany. Lepiej karmiony był w więzieniu w Hamburgu, gdzie następnie siedział przez kolejne dwa tygodnie. Ale to już było zwykłe więzienie policyjne, nie Gestapo. Tam już dostawał chleb z marmoladą, cieniutką zupę grochową i gorzką kawę.

Po dwóch tygodniach zaprowadzili go do komendanta więzienia. Ten kazał mu usiąść i oświadczył:

Wir wissen, dass Sie Deutsch sprechen können. Du bist jung, du kommst aus Schlesien, also haben wir vereinbart, dass wir dir noch eine Chance geben. Sie werden für den Gastgeber arbeiten, nicht für den, mit dem Sie zusammen waren, sondern für einen anderen. Und versuche noch einmal zu fliehen! Wenn du wieder wegläufst, wirst du nicht überleben! Jemand anderes wird sich um dich kümmern²⁴.

Komendant zadzwonił, po czym do gabinetu wszedł przeszło siedemdziesięcioletni dziadek z laską i fajką w zębach. „No Opa! Neimen Sie bitte Platz. Das ist der Knabe. Er wird für dich arbeiten”²⁵. „Wie alt bist du”²⁶? – zapytał go Dziadek. „Siedemnaście” – odpowiedział. „Gut! Du wirst für mich arbeiten, weil mein Sohn in der Armee ist und niemand etwas zu tun hat!”²⁷. „Jawoll” – Felek przytaknął. W rzeczywistości chodziło mu tylko o to, aby wyrwać się stamtąd i najeść. I tak wydostał się z więzienia w Hamburgu. Gdy wyszedł na ulicę, słońce go oślepiło. Czuł się jak pijany, a dostał jeszcze od dziadka cygaretkę. Wszystko to tak mocno uderzyło mu do głowy, że o mało co się nie wyrócił. Na miejsce jechali trzy stacje podmiejskim pociągiem. Jego nowa wioska Altmat była oddalona tylko dwadzieścia kilometrów od jego starego Schwiederstorfu.

²⁴ „Wiemy, że umiesz po niemiecku. Jesteś młody, pochodzisz ze Śląska, więc ustaliliśmy, że damy ci jeszcze jedną szansę. Będziesz pracował u gospodarza, ale nie u tego, u którego byłeś, ale u innego. A spróbuj jeszcze raz uciec! Jak jeszcze raz uciekniesz, to już nie przeżyjesz! Kto inny się tobą zajmie”.

²⁵ „Witajcie dziadku! Proszę siadajcie. To jest ten chłopiec. On będzie dla Was pracował”.

²⁶ „Ile masz lat?”

²⁷ „No dobrze! Będziesz u mnie pracował, bo mój syn jest w wojsku i nie ma kto robić”.

Nowe gospodarstwo okazało się jedną wielką ruiną. Zaniebane i opuszczone, z zepsutymi kołami opartymi o ścianę stodoły, z kupą gnoju na środku placu, z jednym koniem i trzema krowami, było obrazem nędzy. Do obowiązków Felka należało codzienne odbieranie mleka od okolicznych gospodarzy i odwożenie go do mleczarni. Potem musiał doić krowy i zajmować się resztą. Za stodołą stała szklarnia i tam też wyznaczono mu miejsce do spania na snopku słomy. Gdy to zobaczył, to od razu po głowie zaczęła mu chodzić myśl o ucieczce i wolności. Znajdował się przecież blisko Holandii i Belgii. Granica nie istniała.

W tym czasie odbywały się już bardzo intensywne codzienne bombardowania Hamburga. Przez szyby w szklarni widział nocą światła reflektorów poszukujących na niebie przelatujących samolotów. Słyszał wybuchy bomb. Anglicy rzucali miny, które burzyły całe ulice. To było tak blisko od jego nowego domu. Kombinował więc na wszelkie sposoby, jak mógłby uciec. Chciał żyć. Poprzez pryzmat tego pragnienia widział otaczający go świat. Nigdy nie zaakceptował swojego niewolnictwa. Nieustannie podsycił w sobie gotowość do oporu, który z czasem stał się permanentnym stanem jego umysłu. Istniał jedynie dylemat, jaką formę walki przyjąć. Codziennie i na każdym kroku o tym myślał. Chęć przeżycia i przetrwania stanowiła dla niego równocześnie dość skuteczną zaporę wobec decyzji nierozważnych i do końca nieprzemyślanych. Tymczasem po miesiącu przyszło do gospodarza pismo, że ma chłopcu dać sto marek, ponieważ powołany został do wojska i ma się zgłosić z powrotem w Katowicach. Dla dziadka to był cios. Kłął i nie przebierał w słowach, winiąc wszystkich dookoła, że znowu będzie sam i jeszcze na domiar złego musi chłopakowi dać sto marek na drogę. Felek natomiast cieszył się, że może wyrwać się stamtąd.

Po przyjeździe do Katowic pojechał do Chrzanowa do wujka, aby wspólnie z nim zastanowić się, co ma dalej robić. Perspektywa służby w wojsku niemieckim, będąca w istocie kolejną formą jego doświadczanego od dziecka sieroctwa, przerażała go. „Co ja mam robić?” – pytał wujka. „Przecież ja nie będę w niemieckim wojsku służył! Jak mnie wyślą na front wschodni, to co? Tam wszyscy giną. A jak ucieknę do ruskich, to mnie wezmą za szpiega i też zastrzelą”. Wiedział, że na wschód nie może uciekać. Tymczasem wujek, który w latach pierwszej wojny światowej służył w niemieckim wojsku i walczył we Francji, oświadczył mu: „Jak Ty im odmówisz po tych Twoich robotach i więzieniach, to nas tu wszystkich, ciotkę i mnie, pozamykają i wyślą do obozu. Zniszczą Ciebie i nas. Dobiorą się również do Twoich braci”. Oboje uczyli się w tym czasie jeszcze na piekarzy, jeden w Katowicach, a drugi w Chorzowie. I wtedy wraz z wujkiem ustalili, że zamelduje się w wojsku, ale nie będzie mu wolno uciekać na rosyjską stronę, bo jak nie Rosjanie, to Niemcy go zastrzelą. Wujek znał Rosjan, bo brał udział w kampanii wrześniowej i jedynie za sprawą złotego zegarka wydostał się z niewoli rosyjskiej we wrześniu 1939 roku i wrócił do Katowic. Jedyną zatem nadzieją zrozpaczonego chłopaka był front zachodni, chociaż wujek go ostrzegał: „Uważaj, będziesz śledzony. Oni na moment nie spuszcza Cię z oczu”.

Po dwóch tygodniach zgłosił się do wojska i otrzymał skierowanie do Hirschbergu – Jeleniej Góry. Do poboru zameldował się więc, jak większość jego pol-

skich rówieśników, nie z własnej woli i chęci, ale z przymusu człowieka będącego w sytuacji bez wyjścia, zniewolonego, pozbawionego możliwości lepszego wyboru. W wojsku od razu dostał „anioła stróża”. Początkowo tego nie wiedział, ale z czasem przekonał się, że jeden z sierżantów szczególnie go sobie upatrzył. To był starszy sierżant – Oberfeldwebel. Kiedyś kazał mu wysprzątać pokój w koszarach. Gdy Felek już to zrobił, tamten przyszedł na kontrolę. Wszystko było czyste, ale on już od progu wołał: „Es ist dreckig hier, Beisel, mit einem Wort Scheisse”²⁸.

To była jawna niesprawiedliwość i prowokacja. Niedoświadczony rekrut zaproponował, nie będąc świadomym tego, że szeregowemu żołnierzowi nie wolno było mówić „nie”. W wojsku można było mówić tylko „Jawoll”. Za karę zmuszony został do zgłoszenia się na „Exerzierplatz”²⁹ w pełnym umundurowaniu, z gazową maską, z plecakiem i karabinem bez naboju. Wcześniej padał deszcz, było mokro i ślisko, zwłaszcza że nawierzchnia pokryta była gliną. Sierżant tymczasem z zapamiętaniem wołał: „Ich renne, gehe hundert Meter und zurück! Und Renn! Und runter! Und steh auf!”³⁰. I znowu biegiem marsz i tak przez godzinę w tym błocie, z tym karabinem i w tej nieszczęsnej masce gazowej. Młody żołnierz biegał bez wytchnienia. „Los! Los! Schnell! Schnell!”³¹. Poruszający się resztkami sił chłopak, krańcowo zmęczony, był już u granic wytrzymałości. Gdyby miał w karabinie nabój, to prawdopodobnie zastrzeliłby swojego prześladowcę. Ale ten przeczuł to i na samym początku sprawdził, czy nie ma pocisku w lufie. Po godzinie tej mordęgi Felkowi wszystko było już obojętne. Na koniec Oberfeldwebel kazał mu jeszcze pobiec do sali i rozkazał, by Felek za pięć minut stawiał się przed nim czysty i wymyty. Chłopak musiał zatem wyprać mundur w zimnej wodzie, włożyć go i stawić się do raportu, a to wszystko w ciągu pięciu minut. W mokrym, bo dopiero co z wody wyciągniętym mundurze, stał przed swoim prześladowcą na bacność. Dopiero wtedy Oberfeldwebel poczuł zadowolenie.

Z czasem z Hirschbergu przeniesiony został do Belgii, wraz z 73. Infanterie Division – 73. Myśliwską Dywizją Piechoty. Żołnierze ubrani byli w to, co pozostało jeszcze w magazynach na składzie. Był już rok 1943. Kryzys zaopatrzeniowy w wojsku niemieckim dawał się już we znaki. Chłopaki między sobą mówili, że wyglądają jak kacapy. Felka szczególnie to mierzilo, zwłaszcza że jako Polak znalazł się w niemieckim wojsku nie z własnej woli. Czuł się osamotniony. Szczególnie bolesna była zwłaszcza ta bezwarunkowa i sprzeczna z jego świadomością narodową przynależność do wrogiej mu nacji. Nie akceptował także dewizy „Gott mit Uns”, sprzecznej z Dekalogiem wyznawanej przez niego wiary. W uszach stale pobrzmiwały mu fragmenty katechizmu wkuwanego w sierocińcu: „Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”, a następnie pierwsze przykazania Dekalogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną” i „Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno”. Tymczasem w Hirschbergu uświadomił sobie, że Niemcy służą innemu Bogu, który ochrania tylko ich i pro-

²⁸ „Tu jest brudno, bajzel, jednym słowem gównno”.

²⁹ Plac ćwiczeń.

³⁰ „Biegiem marsz sto metrów i z powrotem! I biegiem! I padnij! I powstań!”.

³¹ „Dalej! Dalej! Szybko! Szybko!”.

wadzi od zwycięstwa do zwycięstwa. Przekazane mu w sierocińcu przez siostry przykazania Boże nabrały szczególnie gorzkiego smaku. Z czasem dowiedział się, że dewiza ta to stara tradycja pruska, zaczerpnięta ze Starego Testamentu dla celów politycznych i narodowych. W Niemczech pojawiła się już w XV stuleciu. Fryderyk I Pruski wybrał ją na sztandary wojskowe i detale umundurowania swojej armii, proklamując nowe królestwo. Od tego czasu używana była przez siły zbrojne Cesarstwa Niemieckiego, następnie Reichswehrę Republiki Weimarskiej i wreszcie przejęta została w celach imperialnych przez Wehrmacht III Rzeszy.

W Hirschbergu żołnierze zapakowani zostali w wagony towarowe i ruszyli na zachód. Fakt ten był źródłem ogromnej radości, jako że nie zostali przeniesieni na wschód. Wschodni front to było przekleństwo. W Brukseli wojsko przesiadło się do samochodów i skierowane zostało do Sint-Niklaas, miasta położonego w prowincji Flandrii Wschodniej. Tam ich dopiero zaczęto formować i przeznaczać do wybranych oddziałów wojskowych. Felek przeszkolony został do obsługi ciężkich karabinów maszynowych, tzw. *schweres Maschinengewehr*, w skrócie SMG. Jako rekrut w Jeleniej Górze ćwiczył to na SMG 34. To był karabin, którego lufa była osłonięta taką dziurawą rurą. Po bokach były dwie ręczki sprzęgnięte ze spustem. Karabin ten strzelał kilkanaście pocisków na minutę. Ale to był stary typ z 1934 roku. Późniejsze nowe SMG 42 miały dwie lufy i strzelały około tysiąca pocisków na minutę.

W koszarach Felek zaprzyjaźnił się z dwoma Ślązakami, Pawłem ze Świętochłowic i Oswaldem z Łędzin. Ale oni przydzieleni zostali do obsługi moździerzy. Po przyjeździe do Sint-Niklaas uświadomili mu, że gniazda karabinów maszynowych, usytuowane na pierwszej linii ognia, najczęściej też obrywają, moździerze zaś instalowane są trochę z tyłu i osłonięte lub okopane. Namówili go więc, aby się zgłosił razem z nimi do obsługi moździerza. Obaj mieli też serdecznie dość Niemców. Po wkroczeniu we wrześniu 1939 roku do Świętochłowic hitlerowcy rozstrzelali ojca Pawła, a jego mimo to wzięli do wojska. Po wojnie w komisariacie policji w Świętochłowicach zawieszono tablicę pamiątkową z nazwiskami pomordowanych, wśród których znajduje się imię i nazwisko jego ojca. W Wehrmachcie wszyscy trzej byli, ubranymi w mundury wroga. Nie mieli alternatywy. Podobnie jak całe pokolenie Polaków zamieszkujących Górny Śląsk, pozbawieni byli możliwości wyboru. Doświadczeni ciężką pracą, nie odczuwali potrzeby bohaterstwa. Doceniając znaczenie każdego przeżytego dnia i godziny, od dziecka uczyli się realnie mierzyć siły na zamiary. W wojsku, wzajemnie wspierając się, jeszcze w Sint-Niklaas koledzy wyjaśnili Felkowi, w jaki sposób zbudowany był moździerz, jak się go obsługuje, jak wyglądają pociski i jak oblicza się tor ich lotu. Kiedy więc formowano nową kompanię moździerzy, tzw. *Granatwerfer*, zgłosił się do ich obsługi, mimo że nie był odpowiednio przeszkolony i niewiele wiedział o ich funkcjonowaniu. Miał jednak świadomość tego, że nie może pozostać przy obsłudze karabinów maszynowych, bo zginie.

Oczywiście bez pomocy obu kolegów nie dałby sobie rady. Przemienne uczucie radości, że nie będzie musiał obsługiwać na pierwszej linii *schweres Maschinengewehr*, dominowało u niego w tych pierwszych miesiącach służby wojskowej.

Po dwóch jednak miesiącach jego formację wysłano w pobliże Strasburga, a następnie po miesiącu skierowano na Wał Atlantycki w okolice La Roshelle nad Zatoką Biskajską. To była już późna jesień 1944 roku. Tam też po raz pierwszy zobaczył morze, jego przyprływy i odpływy.

W odległości około dwóch lub trzech kilometrów od La Roschelle znajdowała się miejscowość La Pallice, z bazą niemieckich łodzi podwodnych tzw. U-Bootów. Był to bunkier wchodzący w morze na odległość około 100 metrów. Wysoki na 15 metrów, z grubymi na 5 metrów ścianami, po swoich bokach miał dodatkowo cztery wjazdy z morza. Do każdej takiej pieczary wpłynąć mogły dwie łodzie, razem osiem okrętów. To była niemiecka baza zaopatrzeniowa i remontowa łodzi podwodnych. Obok tego w La Pallice znajdowało się lotnisko polowe dla Messerschmittów. Pięć stało w hangarach, a pięć było nieustannie gotowych do lotów bojowych. Ich zadaniem było zwalczanie angielskich bombowców. Felek natomiast, razem ze swoją kompanią moździerzy, przydzielony został do ochrony portu przed planowaną inwazją. Wraz z kolegami zakwaterowany został w jednym z nadmorskich bunkrów. Każdy z nich przez cztery godziny spał i przez cztery godziny miał służbę. Na wyposażeniu takiego bunkra znajdowały się reflektory i maszynowe karabiny przeciwlotnicze.

Wtedy też Felek poznał miejscową dziewczynę. Na imię miała Jeannette. Pochodziła z Lotaryngii i знаła dość dobrze język niemiecki. Spotkał ją w kinie na przepustce. Powiedziała mu, że jej ojca Niemcy zastrzelili w 1940 roku, a gdy poinformował ją, że jest Polakiem, to przyznała się, że nienawidzi Niemców. Z czasem też zaczęła wypytywać, ile U-Bootów przychodzi z morza, ile jest niemieckich i ile japońskich, ile samolotów, ilu ludzi, ile armat itp. Raz po jednym bombardowaniu pluton otrzymał rozkaz posprzątania lotniska i wtedy Felek pomyślał o tym, że te zniszczenia to była również i jego zasługa. Jeannette była we francuskim ruchu oporu. Sama przyznała się do tego, ale swojego nazwiska mu nie podała. To dla młodego żołnierza był bardzo romantyczny czas. Chodzili oboje nad morze i w chwilach odpływu zbierali małże. Francuzi jedli je na surowo z solą. Oni z Jeannette natomiast gotowali je. Smakowały im jak jajka. Czy była to miłość czy tylko zauroczenie? Trudno powiedzieć. Dość na tym, że skończyła się tak samo nagle, jak wszystko to, co niosła ze sobą wojna.

Niemcy bowiem zorientowali się, że ktoś informuje aliantów o stanie zaopatrzenia i wyposażenia bazy La Pallice. Wywieźli więc całą dywizję do Marsylii i rozlokowali ją na terenie tamtejszego ogrodu botanicznego. Tam członkowie Organizacji Todt, której zadaniem była budowa obronnych obiektów wojskowych, postawili dwa bunkry. Jeden z nich przydzielony został plutonowi Felka. Tam też w starym porcie, gdzie żołnierze niemieccy mieli obowiązek chodzić na patrol, nawiązał raz jeszcze kontakt z francuskim ruchem oporu. W jednej w knajpek, przy winie, nagle grupa młodych Francuzów zaczęła pytać go o dom, o rodzinę, a jak dowiedzieli się, że jest Polakiem, to zaczęły pytać go o liczbę wojska, liczbę bunkrów, uzbrojenie itp. On zaś udając, że nie wie, o co chodzi, odpowiadał. Od tego czasu mógł spokojnie chodzić po starym porcie. Dla Niemców był to bardzo niebezpieczny teren. Jednego tygodnia trzech niemieckich żołnierzy tam nagle zagi-

nęło. Pili wino i zniknęli na zawsze. Na patrol chodził z kolegami ze Śląska. Najczęściej kontaktował się z nimi Franco. To był młody Marokańczyk. Miał ciemną cerę i około dwudziestu pięciu lat.

W jego bunkrze załoga liczyła dziesięć osób. Komendantem był kapral, Unteroffizier (podoficer), chłop żonaty, dzieciaty, łysy trochę, mający może około lat czterdziestu albo i więcej. To był taki typowy pocziwy Niemiec, żaden tam hitlerowiec. Felek grał z nim często w szachy, z kolegami natomiast rozmawiał po polsku i to zarówno na ćwiczeniach, podczas marszu, jak i w czasie strzelania. Ale był też w jego plutonie taki jeden z Berlina. Nazywał się Gepert, był wychowankiem Hitler-Jugend i denerwował się za każdym razem, gdy tylko mówili po polsku. Kiedyś zaczął w bunkrze krzyczyć: „Warum schwargen du polnisch?”³². Odpowiedział: „Ja nie pletę po polsku, tylko mówię po śląsku. To nie jest mowa polska” i na koniec dodał: „Halt der Maul!”³³. Niemiec jednak nie przestawał, kilka razy jeszcze upomniął Felka, aż wreszcie ten nie wytrzymał i odpalił mu: „Stul pysk, bo jak nie to cię w dupę tak kopnę, że ci się raz na zawsze srania odechce”. Wtedy Gepert nagle wstał, a leżał na dolnej pryczy, porwał ważący niemal kilogram celownik do moździerza (żołnierze nosili go osobno na pasku) i zawołał: „Du Schweine polnische!”³⁴. Felek siedział do niego tyłem i zanim się zorientował, Gepert uderzył go celownikiem w tył głowy. Oczywiście chłopak od razu zalał się krwią, ale że był silny i zdrowy, szybko odwrócił się i zobaczył, że Niemiec chce go uderzyć po raz drugi. Wtedy tak mu przyłożył pięścią w zęby, że tamten poleciał razem z celownikiem pod pryczę. I mało tego, że upadł i stracił przytomność, to jeszcze wszyscy musieli go cucić. Nie mógł przyjść do siebie. Dopiero, gdy wylano na niego wiadro wody, to odzyskał przytomność.

Ledwo doszedł do siebie, dalej krzyczał: „Du Schweine polnische!”. Wydawało się, że bójka rozgorzeje na nowo. Ale koledzy stopniowo uspokoili obu. Nie bez znaczenia była także postawa kaprała, który od razu zawołał: „Was ist das? Was soll das heißen?”³⁵. Od tego czasu Felek przestał grać w szachy z kapralem. Komendant musiał donieść o całym wydarzeniu kapitanowi kompanii, bo Gepert zagroził, że w przeciwnym wypadku on sam o tym zamelduje. A kapitan był strasznie cięty na Polaków. Warto dodać, że on nie nosił tzw. „Ritter Kreuz” – Krzyża Rycerskiego, ale „Deutsches Kreuz in Gold” – Niemiecki Złoty Krzyż. To był stary zawodowy żołnierz. Przyjeżdżał do nich zawsze na koniu. Gdy Felek stanął do raportu, to dostał miesiąc aresztu, mimo że próbował się tłumaczyć, że mówił po śląsku, a nie po polsku. Więziony był na trzecim piętrze miejscowego muzeum. Lichy posiłek dostawał tylko raz dziennie, a dodatkowo za karę musiał jeszcze rozbierać deski ze znajdującego się nad morzem stadionu sportowego. Chodziło o to, aby zasłaniająca widok na morze trybuna nie utrudniała artylerii ostrzału. Za karę przez cały miesiąc sam jeden pracował na tym stadionie.

³² „Dlaczego pleciesz po polsku?”

³³ „Stul pysk!”

³⁴ „Ty polska świniol!”

³⁵ „Co to jest? Co to ma znaczyć?”

Po miesiącu wrócił do oddziału i zaraz na drugi dzień udał się na ćwiczenia strzeleckie, kapitan twierdził bowiem, że żołnierz musi umieć strzelać. Jeśli nie umie strzelać, to nie będzie nigdy żołnierzem. Równocześnie dodał, że kto z jego batalionu osiągnie najlepsze wyniki, ten dostanie miesiąc urlopu, dodatkowe kartki na żywność i pieniądze, tak aby mógł pojechać na miesiąc do Nicei. W batalionie było przeszło 1000 żołnierzy. I okazało się, że było tylko dwóch, którzy na 60 możliwych punktów zdobyli 58. To było strzelanie na 100 metrów w pozycji leżącej. Felek miał trzy dwunastki i dwie jedenastki.

Po powrocie ze strzelania kapitan wywołał najlepszych przed front batalionu i zszedł z konia, pogratulował zwycięzcom i równocześnie poznał Felka. „Und das bist Sie! Sie wurden für diese polnische Rede bestraft!”³⁶ – oświadczył. „Ja-woll, Herr Hauptmann” – odparł Felek. „Gut! Sie können sehen, dass Sie ein guter deutscher Schütze sind! Wir brauchen solche Soldaten!”³⁷ – dodał, a do zgromadzonych powiedział jeszcze: „Diese beiden sind ein Vorbild für unser gesamtes Bataillon. So führen Sie Ihre Aufgaben aus. Das sind echte Soldaten!”³⁸. Oczywiście na następny dzień Felek dostał przepustkę, pieniądze, kartki na żywność, bilety do Nicei i na cały miesiąc wyjechał na urlop. Wreszcie udało mu się uciec od tych, którzy tak bardzo mu doskwierali.

Z Nicei pojechał jeszcze do Monte Carlo. To była wspaniała wycieczka. Zwiedził zamek księcia Rainiera³⁹, widział oceanarium, zbiory botaniczne i historyczne. To było już lato 1944 roku. Z tego wyjazdu zachował zdjęcie zatoki zrobione z murów zamku. Tego rodzaju fotografie były zakazane, ale jakoś udało mu się ukryć za jedną z historycznych armat i nikt z pilnujących nie zauważył tego, że fotografował.

Po miesiącu musiał jednak wrócić do jednostki stacjonującej w porcie w Marsylii. Tym razem w wojsku był bardzo krótko, ponieważ niebawem wysłano go na kurs strzelców wyborowych. Wybranych zostało dwustu żołnierzy. Kazano im strzelać z odległości 300 metrów do tarczy wielkości głowy człowieka. W czasie 6 sekund na trzy strzały musieli trafić przynajmniej raz. Strzelano ze stoperem w rękę. Pięciu żołnierzom się nie udało, więc zostali odesłani z powrotem do oddziałów. Felek trafił raz. Kurs ukończył na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku, tuż przed inwazją aliantów w drugiej połowie sierpnia. Jego jednostka, przerzucona w okolice Tulonu, broniła wzgórza porośniętego winogronami. One też, już w tym czasie dojrzałe, przez pewien czas były w zasadzie jedynym posiłkiem żołnierzy, ponieważ jadącą do nich kuchnię polową rozbił pocisk, w związku z czym skazani byli przez długi tydzień wyłącznie na winogrona.

Zgodnie ze swoim wyszkoleniem Felek został przydzielony do obsługi karabinu maszynowego. Na dole pod lasem widać już było lufy francuskich i marokańskich czołgów. Dreszcz go przeszywał, kiedy myślał, co się z nim stanie, gdy tamci odkryją jego stanowisko. Tymczasem moździerz, przy których znajdowali się jego

³⁶ „A to Wy! Wyście byli za tą polską mowę karani!”

³⁷ „No cóż! Widać, że jesteście dobrym strzelcem niemieckim! Takich żołnierzy potrzebujemy”.

³⁸ „Ci dwaj to wzór dla całego naszego batalionu. Tak macie wykonywać swoje zadania. To są prawdziwi żołnierze”.

³⁹ Rainier III (1923–2005) – książę z dynastii Grimaldich, władca Monako w latach 1949–2005.

koledzy, usytuowane były trochę dalej. Były wkopane w ziemię i osłonięte przed bezpośrednim ostrzałem. Dowodzący starszy sierżant, który przez cały czas go pilnował, powiedział mu wprost: „Wenn du den Posten verlässt und zu den Mörsern gehst, werde ich dich selbst erschießen”⁴⁰. Do końca mu nie ufał i pilnował go na każdym kroku. Z tego też powodu przydzielił go do obsługi karabinu maszynowego, którego załogę stanowili wyłącznie rodowici Niemcy. On sam, wychowany w Hitler-Jugend, był szczególnie groźnym fanatykiem. Nazywał się Schlafmayer.

Wybawienie przyszło nagle i niespodziewanie, w momencie gdy nastąpił atak na zajmowane przez oddział pozycje. Najcięższe walki toczyły się w miasteczku położonym u podnóża góry. Naturalnie w takim wypadku istniało zwiększone zapotrzebowanie na sanitariuszy. Felek jako jedyny z całego oddziału oddelegowany został do pomocy rannym. Dostał flagę z czerwonym krzyżem i poleciał na dół do miasteczka. Nad głową raz po raz przelatywały mu pociski. Kiedy wreszcie dobiegł do pierwszych zabudowań, bitwa trwała już od kilku godzin. Otaczało go pełno rannych i zabitych. Zameldował się u dowodzących, dostał torbę i od razu musiał opatrywać rannych. Od czasu szkolenia w Jelenie Górze nie miał z medycyną najmniejszej styczności. Jego pierwszym pacjentem był chłopak ranny w tętnicę ręki. Próbuąc opatrzyć mu kończynę, początkowo nie wiedział, co ma robić. Ranny tymczasem, niemal płacząc, prosił go: „Kollege, hilf mir!”⁴¹. Zawiązał więc gumą rękę powyżej rany i kazał iść na tyły. Na koniec polecił, aby po godzinie popuścił uchwyt i znowu zawiązał. I tak na tyły odesłał kilku rannych żołnierzy.

W tym czasie czołgi spod lasu zaczęły bić w stanowiska jego kolegów na górze i wtedy zginął Schlafmayer. Natomiast w samym miasteczku było coraz gorzej i trzeba było uciekać na własną rękę z powrotem do góry, do kolegów. Lecił z myślą, że jak teraz dopadnie Schlafmayera, to go zastrzeli, a kolegów namówi do wspólnej ucieczki. Nie myślał o tym, jak to robi. Wiedział jedynie, że nadeszła ta chwila i że nie można dłużej zwlekać, jeśli chciało się przeżyć wojnę. To, że Niemcy przegrywają, było już dla wszystkich jasne. Nie ukrywali tego nawet oficerowie. Jeden z nich, starszy sierżant sztabowy, który jeszcze w Marsylii domyślał się, że młody żołnierz ma jakieś kontakty z Francuzami w starym porcie, jednego razu zawołał go i powiedział wprost, że jest już po inwazji w Normandii, a on nigdy nie był zwolennikiem wojny.

Gdy wrócił na górę, zobaczył przede wszystkim martwego sierżanta. Leżał z przestrzeloną głową. Z dołu tymczasem szło natarcie aliantów. Była to ostatnia chwila, aby uciekać. Leżał ukryty w krzakach i widział swoich kolegów, Pawła i Oswalda. Jedyną przeszkodą był pozostający nadal przy moździerzu Gepert. Felek zdecydował więc, że zbliży się do kolegów na odległość 20 metrów i będzie osłaniał ich ucieczkę. Postanowił, że zastrzeli Niemca, jeśli będzie chciał im przeszkodzić. Koledzy jednak bali się. Przywykli do niemieckiej dyscypliny, nie mogli od razu tak łatwo się jej pozbyć. Jednak jego zdecydowana postawa i obecność, niejako już po drugiej stronie, była dla nich znacznym bodźcem. A dla niego najważniejsza była chęć życia, przemożna i niczym nieskrępowana potrzeba wol-

⁴⁰ „Jeśli opuścisz stanowisko i pójdziesz do moździerzy, to własnoręcznie cię zastrzelę.”

⁴¹ „Kolego, pomóż mi!”

ności, która nakazywała mu uciekać stamtąd jak najdalej. Położył się więc za kamieniami, karabin skierował w kierunku stanowiska kolegów i zawołał po śląsku: „Paweł, Oswald! Chodźcie do mnie!”. Gepert tymczasem wstał i zapytał: „Wer ist dort?”⁴². „To ja, strzelec!” – odrzekł Felek. A Niemiec dalej: „Was macht ihr da? Genau hier für mich!”⁴³. W odpowiedzi usłyszał: „A co ty masz do mnie?! Dowódcy nie ma!”. Paweł i Oswald, okopani w głębokim na metr dole, z uwagą słuchali tego niecodziennego dialogu. Początkowo kilka razy powtarzane propozycje ucieczki nie skutkowały. W końcu zdesperowany Felek oświadczył, że skoro nie idą, to on sam ucieka, i na koniec dodał: „Zobaczycie, że tu zginiecie. Bo jak nie Marokańczycy, to Gepert was zastrzeli”. A przez lornetkę już było widać idące pod górę natarcie. Pomalowani na twarzach żołnierze sprawiali wrażenie dzikusów. Lęk przed ich nożami paraliżował każdego. Wtedy Felek zobaczył nagle, że koledzy biegną. Zdziwiony Gepert zaczął krzyczeć: „Wo los? Wo los? Halt, halt!”⁴⁴ i chwycił za pistolet. „Gepert, mam cię na muszce. Puść, bo strzelam!” – zawołał zdesperowany Felek. I Gepert powoli opuścił pistolet, a Oswald i Paweł tymczasem wpadli w krzaki i tyle ich Gepert widział. Bujne w tym miejscu krzewy winogron skutecznie pozwoliły im się ukryć. Podenerwowany Gepert z wściekłością wołał: „Schweine polnische!”⁴⁵. Wówczas zdawało się, że ucieczka całej trójki z niemieckiego wojska zakończyła się sukcesem.

Przez całą noc błądzili po lasach. Doskwierał im lęk i pragnienie wody. Nad ranem zobaczyli znajdującą się przy leśniczówce, pomalowaną na białą studnię. Nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo, podeszli do niej, chcąc się napić. Tymczasem stacjonował tam niemiecki pluton wojskowy, no i zgarnęli chłopaków. Niestety, cała trójka wcześniej zdarła już ze swoich mundurów niemieckie orły ze swastyką i metalowe sprzączki od pasa z napisem: „Gott mit Uns”. Na widok żołnierzy niemiecki kapral od razu w krzyk: „Was sind Sie wie eine?”⁴⁶. Zaczęli kłamać, że pogubili się w lesie, że nie wiedzą, gdzie się znajdują, że była walka i oddział poszedł w rozsypkę. A kapral na to: „Wo haben Sie die Adler?”⁴⁷. Oni na to, że czołgali się i musiały im odpaść. „Alle drei auf einmal!”⁴⁸ – zawołał tamten. No i tak wpadli ponownie w niemieckie objęcia.

Początkowo chciano im zabrać broń, ale nie oddali jej. Kapral postanowił więc zabrać ich do dowództwa do dalszego wyjaśnienia. Dziesięciu jego ludzi wiodło przerażoną trójkę w nieznanym kierunku. Byli zrozpaczeni. Los ironicznie sobie z nich zadrwił. Po dwóch kilometrach doszli na polanę, na której znajdował się punkt zborny wszystkich rannych, szpital polowy i punkt dowodzenia. Kapral, idąc do dowództwa, zdążył im jeszcze powiedzieć, że jeśli są dezterterami, to sąd polowy w ciągu dziesięciu minut orzeknie karę śmierci, a oni dostaną kulę w łeb. I poszedł.

⁴² „Kto tam jest?”.

⁴³ „Co wy tam robicie? Natychmiast tu do mnie!”.

⁴⁴ „Gdzie idziesz? Gdzie idziesz? Stać! Stać!”.

⁴⁵ „Polskie świnię”.

⁴⁶ „Co wy za jedni?”.

⁴⁷ „Gdzie macie orła?”.

⁴⁸ „Wszystkim trzem naraz!”.

Stali jakieś 300 metrów od domu, w którym mieściło się dowództwo. Z tyłu za nimi w odległości około 100 metrów był las, duży las, i szosa. W ich głowach przebiegała tylko jedna myśl: gdzie są Francuzi? Dlaczego nie atakują? Czy zdążą? Co robić? To są ostatnie godziny wojny, a oni zginą tak głupio i bezsensownie. Postanowili więc bronić się. Stali otoczeni grupą dziesięciu niemieckich żołnierzy. Liczyli przede wszystkim na zaskoczenie. W odległości kilku metrów od nich stał karabin maszynowy z taśmą i kilkoma skrzyniami naboji. Postanowili, że gdy kapral wyjdzie z domu i będzie się do nich zbliżał, to Felek złapie ten karabin, a pozostali pochwycą za taśmy z nabojami i będą się bronić. Tymczasem po piętnastu minutach oczekiwania, które były dla nich niemal wiecznością, nagle z lasu szosą na wprost na pełnym gazie zaczęły wyjeżdżać pancerne samochody aliantów. W ciągu kilku minut otoczyły wszystkich, a oni usłyszeli: „Hände hoch! Strecke die Waffen!”⁴⁹. Z wielką ulgą odrzucili swoje karabiny. W ciągu kilku minut bez jednego wystrzału wszyscy poddali się, a następnie ustawieni czwórkami, skierowani zostali do pobliskiego miasteczka. Gdy wchodzili w jego przedmieścia, Francuzi pluli im w twarz. Po raz pierwszy wtedy w Ślązakach odezwał się ich zapomniany Bóg, nie ten ze znienawidzonych kobli „Gott mit Uns”, ale ten ich wykreślony, wymazany, uznany za coś gorszego i nieważnego. W duchu powtarzali więc sobie: „Boże, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Po przyjeździe do obozu Felek natychmiast udał się do komendanta, francuskiego pułkownika, i opowiedział mu w skrócie historię trójki Ślązaków. Na koniec pokazał na mapie jedną ulicę w Marsylii, gdzie Niemcy na całej długości zainstalowali miotacze ognia, zakładając, że jak tylko wjadą w nią wojska aliantów, to po naciśnięciu guzika wszystko, co na niej się znajdzie, spłonie. Oczywiście pułkownik natychmiast zadzwonił do Marsylii, aby sprawdzono tę wiadomość. Gdy okazało się, że była prawdziwa, Felkowi i jego kolegom pozwolono ściągnąć niemiecki mundur i odłączono ich od reszty jeńców. Dostali czekolady, papierosy i pomarańcze, wszystko co tylko Francuzi mieli w kantynach. Pułkownik spytał ich, czy chcą zostać w wojsku francuskim czy też może dołączyć do wojska polskiego we Włoszech. Początkowo nie wiedzieli, co robić, ale jak zwykle w takich momentach zdecydował przypadek. Przyjechał bowiem do obozu w poszukiwaniu Polaków przedstawiciel Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii. Z tej okazji zwołano na apel cały obóz i ustawiono wszystkich jeńców we czwórki. Wtedy przybyły urzędnik niespodziewanie zawołał do zebranych po polsku: „Polacy, trzy kroki wystąp!”. Cała trójka w tym czasie stała już wraz z żołnierzami francuskimi. Nagle zobaczyli, że spośród tych mniej więcej 5000 niemieckich żołnierzy wystąpiło około 1000 mężczyzn. Byli to chłopcy nie tylko ze Śląska, ale i z poznańskiego, z Pomorza, Pojezierza i Mazur. Zaskoczenie było ogromne. Tylu Polaków! Uwierzyć nie mogli własnym oczom. To było wprost nie do wiary. Tylu Polaków i prawie nikt nic o nich nie wiedział. A co najważniejsze, to oni sami nawzajem też niewiele o sobie wiedzieli.

Oczywiście zaraz padły następne komendy w języku polskim i wszystkich ustawiono w osobnym skrzydle, informując ich równocześnie, że oto do ich dyspozy-

⁴⁹ „Ręce do gry! Rzucić broń!”

cji oddaje się odpowiednią liczbę chlebów, masła i dwa ciężarowe auta winogron. Oczywiście nikt nikogo o nic nie oskarżał. Dowódcy nawet słowem nie wspomnieli o ich służbie w wojsku niemieckim. Rozumiano, że służba w Wehrmachcie Polaka – niewolnika i żołnierza w jednej osobie – to nie była sprawa wolnej woli, ale konieczność, o ile chciało się zachować dla siebie i najbliższych zwykłą szansę przeżycia. I tak oto niespodziewanie odnaleźli na południu Francji całą rzeszę rodaków. Po raz pierwszy od lat poczuli się ponownie wolni. Stojąc w gronie im podobnych, nie czuli się osamotnieni. Pojawiła się nadzieja powrotu do normalności. Gdy więc następowała likwidacja obozu, zdecydowali we trójkę, że wraz z innymi Polakami, tym razem już z własnej woli, wstąpią do wojska polskiego we Włoszech. Jego szeregi jawiły się im jako zręby odbudowywanego polskiego domu, jako realna i skuteczna próba przewyciężenia doskwierającego Ślązakom sieroctwa.

Francuski pułkownik dał im na drogę list polecający do kapitana amerykańskiego okrętu desantowego w porcie Saint-Raphaël i dodatkowo wyekwipował na drogę. Do Włoch ruszyli droga morską. W konwoju szło pięć okrętów. Trasa prowadziła między Sycylią a Korsyką. Był koniec sierpnia 1944 roku. Po krótkim incydencie z niemieckim U-Bootem, nocą weszli do Zatoki Neapolitańskiej. Jej piękno, światła portu, ciepło sierpniowej nocy, wszystko to sprawiało, że uczucia młodych mężczyzn wypełniało przemożne pragnienie życia. Niestety, okrutny los sprawił, że w takich okolicznościach i w takim czasie musieli występować w roli żołnierzy. Ciesząc się życiem i pięknem otaczającej ich przyrody, chłonęli łączywie każdy okruszek jej istnienia, złaknieni jej dobrotliwej obecności.

Po krótkich formalnościach jeszcze tego samego dnia dostarczeni zostali do neapolitańskiej placówki wojskowej II Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Władysława Andersa. Po krótkim powitaniu i złożonej relacji z przebytej żołnierskiej drogi, przydzieleni zostali do oddziałów stacjonujących w Tarenzie nad zatoką Tarencką. Po dokładnym spisaniu danych Felek dostał się do III Dywizji Strzelców Karpackich I Brygady, I Batalionu Moździerz, i natychmiast odesłany został na front. W grudniu 1944 roku był już w Predappio – w miejscowości, gdzie urodził się Benito Mussolini. To było już po zdobyciu Monte Cassino. Ze swoim batalionem zdobywał kolejno Rimini i następnie Castel Bolognese pod Bolonią, gdzie został ranny w nogę. To był dość prozaiczny wypadek. Po zmianie oddziałów hinduskich na linii frontu dostali się raz pod ostrzał artylerii niemieckiej. Pamiętał, że leżał na polu w brudzie ziemniaczanej i nawet nie poczuł, kiedy dostał odłamkiem w udo. Kryjąc głowę w zagłębieniu, myślał tylko o tym, aby przetrwać. Istniejące napięcie nerwowe było najlepszą formą znieczulenia. Dopiero, gdy ciekąca krew oblepiła mu mundur, zwrócił na nią uwagę. Poszukując rany, palcami wyczuł tkwiący w ciele odłamek żelaza. Na szczęście nie znajdował się zbyt głęboko. Nie podnosząc się z ziemi, Felek rozerwał mundur, namacał odłamek i wyrwał go z nogi. Potem spokojnie założył opatrunek i po skończonym ostrzale, utykając, wrócił na swój posterunek przy moździerzu. Kapral chciał go odesłać do szpitala, ale przy moździerzach nie trzeba było dużo chodzić, poza tym sam był przeszkolonym sanitariuszem, więc odmówił. Po miesiącu, nie opuszczając batalionu, wrócił do pełnego zdrowia.

Pod Castel Bolognese wydarzył mu się jeszcze jeden wypadek. Otóż jego móżdżierz zainstalowany został w polu pod osłoną wysokich na pięć metrów stogów słomy. W ich bezpośrednim sąsiedztwie ustawione zostały pociski po 300 sztuk w pryzmie. A ponieważ ostrzał prowadzili dość daleki, to każdy pocisk na ognie uzbrajali w dodatkową porcję prochu. Robiło się to w ten sposób, że u jego podstawy instalowało się w plastikowym pojemniku dodatkowy ładunek. Pociski dzięki temu zyskiwały na zasięgu. Pewnego słonecznego dnia, gdy Felek grał ze swoim kapralem Rejem w szachy, jeden z zabłąkanych pocisków niemieckich trafił w słomę. Oboje spadli z krzesel, a na pobliski stos móżdżierzy opadły resztki płonącej słomy. Lada moment mogły zapalić się pojedyncze dodatkowe pojemniki z prochem. Jedynie Rej nie stracił zimnej krwi. Chwycił leżący na ziemi koc i krzyknął: „Felek, trzymaj!”. I zanim chłopak zdążył pomyśleć, oboje nakrywali kocem płonąca słomę na stercie pocisków. A trzeba dodać, że pociski były już odbezpieczone. W duchu obaj widzieli się w progach niebieskiej bramy. Nie puszczać z rąk koca, głowy kryli w ramionach, licząc na cud ocalenia. Jakież było ich zdziwienie, kiedy z każdą sekundą mijającego czasu oczekiwany wybuch nie następował. Z niedowierzaniem, a równocześnie z obawą i niewiarą w cud ocalenia, z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca powracali z wolna do świata żywych, walcząc z pojawiającą się natrętnie myślą, że to już ostatni haust świeżego powietrza. Próba ucieczki w takiej sytuacji byłaby, naturalnie, formą samobójstwa. Pozostając z kolei na miejscu, godzili się na pewną śmierć przez rozerwanie na strzępy. Znikomy promień nadziei nie był żadną nadzieją. Ich decyzja o gaszeniu płonącej słomy na stojących w pryzmie pociskach wynikała przede wszystkim z braku czasu na jakąkolwiek refleksję, a po wtóre z braku innego sposobu działania i ocalenia. Tkwili więc przy tych pociskach, licząc sekundy, jak pojedyncze krople deszczu, ofiarowane im przez Boga w ostatnich chwilach życia. Każda z nich, w każdej chwili, mogła być ostatecznym pożegnaniem.

Z niedowierzaniem i niewiarą, gotowi natychmiast ponownie przykryć kocem tę całą kupę żelastwa, po kilkunastu minutach odsłaniali z wolna płonące przed chwilą resztki słomy. Przybyły po pewnym czasie starszy sierżant z niedowierzaniem słuchał ich relacji. Naturalną koleją rzeczy obaj podani zostali też w raporcie do odznaczenia Krzyżem Walecznych. Ale, niestety, nigdy nie dowiedzieli się, co spowodowało, że odznaczenie otrzymał tylko kapral Rej. Czy były to powody biurokratyczne, a może fakt oddelegowania w tym czasie Felka do szkoły podoficerskiej, trudno orzec. Dość na tym, że po raz pierwszy po latach odezwała się w nim jego bolesna struna śląska i zaczęła go dręczyć uporczywa myśl, że zadecydować o wszystkim mogło jego pochodzenie i przymusowa służba w wojsku niemieckim. Kolega z Krakowa Krzyż Walecznych otrzymał, a on, mimo zgłoszenia przez przełożonego, w odznaczeniu został pominięty. Długie lata bolała go ta niesprawiedliwość, która w zależności od miejsca urodzenia żołnierza stosowała odmienne miary w ocenie zasług i poniesionych ofiar. Z czasem jego emocje i namiętności opadły. Ból i gorycz doświadczeń starał się równoważyć radością istnienia. W pierwszych powojennych latach, będąc jeszcze na obczyźnie, tłumaczył to sobie tym, że wojna, wyzwalając drzemiące w człowieku najgorsze i najlepsze cechy oraz

instynkty, związane z cierpieniem i walką o przetrwanie, jest przede wszystkim czasem zaniku wartości moralnych. Stałe obcowanie ze śmiercią drugiego człowieka sprawia, że jej uczestnicy stają się nieczuli na krzywdę najbliższych.

Z czasem też uświadomił sobie, że jego szkoła w sierocińcu w znikomym stopniu uwrażliwiła go na problematykę narodową i patriotyczną, nie wskazywała wybranych wzorów zachowań patriotycznych. Jego związek uczuciowy i intelektualny z Polską, wzorem minionych pokoleń Ślązaków, był przede wszystkim uwarunkowany osobą przedwcześnie zmarłego ojca i jego doświadczeń życiowych, a także wyznawanych przez niego wartości. Wolny od tragicznej historiozofii narodowej, młody żołnierz Andersa utożsamiał się ze Śląskiem, to znaczy ze swoimi braćmi, tradycją ojca-powstańca, a także ulicami swojego miasta. Polska jawiła mu się zaledwie jako symbol i zlepek tego wszystkiego, co było mu najdroższe z lat dzieciństwa. On i jego koledzy, w znakomitej większości wolni od tragicznych powikłań narodowych, uformowani zostali przede wszystkim na gruncie wspomnień o zmaganiach powstańczych swoich najbliższych. Obraz walki, jaką toczyli ojcowie, nie uwzględniał możliwości podziału na lepszych i gorszych. Tym większe też było tam, na włoskiej ziemi, poczucie goryczy, że w wojsku podział ten nagle objawił mu się w tak nieoczekiwanej chwili.

Koniec wojny zastał całą trójkę w okolicach Bolonii, po zdobyciu której oddziały wojska polskiego zostały rozparcelowane po różnych zakątkach Włoch, w tym odesłane m. in. do położonego nad morzem Pesaro. Mieszkali w nadmorskich willech byłych faszystowskich dostojników włoskich i pilnowali jeńców niemieckich. Ci ostatni dziwili się, że pilnujący ich Polacy biegle mówią po niemiecku. W związku z tym bali się ich jak ognia, nawet wtedy gdy prowadzono ich na plażę. Wydawane po niemiecku komendy były bezdyskusyjnie wykonywane. Gdy próbowali, zdziwieni, między sobą coś komentować lub wyrażać zdumienie, wystarczyło jedno fuknięcie: „Ruhe!”⁵⁰ i zapadała cisza.

W Pesaro oddział stacjonował przeszło rok. Był to dobry czas dla polskich żołnierzy. Niestety, przyszedł rozkaz, że jednostka ma przenieść się do Anglii. Jego batalion przeniesiono do Cambridge. Tam przebywał do kwietnia 1947 roku. Żołnierze mieszkali w namiotach. Od czasu do czasu dorabiali sobie u miejscowych rolników. Naganiiali zajęce w czasie polowania, uczyli się angielskiego, a w soboty zapraszani byli przez miejscowe panny i wdowy na organizowane przez nie potańcówki. W zasadzie każdy dzień mieli zajęty. Po latach Feliks z sentymentem wspominał zwłaszcza dwa kluby: Klub Starych Panien i Klub Młodych Panien. Kluby te konkurowały ze sobą w walce o względy polskich żołnierzy. Przyrządzane przez nie poczęstunki należały do najsmaczniejszych i wszystko było za darmo. Zazwyczaj panny dobrze sytuowane przyjeżdżały po chłopaków samochodami i zapraszały wyłącznie kawalerów. Żonaci zostawali, niestety, w obozie. W czasie zabawy i w trakcie tańców nauka angielskiego szła najlepiej. W efekcie wielu Polaków tak dokładnie poznało język wyspiarek, że w ostateczności pozostali tam na zawsze. Chociaż sprawy męsko-damskie nie były takie proste. Jeśli na przykład któryś z żołnierzy chciał bliżej i dokładniej „poznać” walory panny, to w pierw-

⁵⁰ „Cisza!”

szej kolejności panienka zabierała mu jego książeczkę wojskową. To był moment kapitulacji zarówno jednej, jak i drugiej strony. Od tej chwili chłopak był skreślony niejako z ewidencji kawalerów wojskowych, lecz w zamian mógł liczyć na określone względy swojej wybranki. Książeczka wojskowa była w zasadzie dość skutecznym zabezpieczeniem przed próbą ucieczki i podjętymi wobec płci pięknej zobowiązaniami. Feliks pamiętał, że w chwili wyjazdu do Polski, w ostatnim momencie zatrzymano wychodzący z portu statek i na ląd musiało zejść aż pięciu chłopaków. Nazwiska i numery ich książeczek wojskowych, podane przez Angielki, były wystarczającymi dowodami podjętych przez nich zobowiązań matrymonialnych. Zgromadzeni na statku żołnierze żegnali ich ze śmiechem, dziewczyny witały ich z płaczem, a oni z poczuciem klęski schodzili z pochylonymi głowami po chybliwym trapie na ląd swojej nowej ojczyzny. Wtedy nie wiedzieli jeszcze, że to właśnie oni wygrali lepszy los.

Będąc jeszcze w Cambridge, Feliks początkowo marzył o tym, aby po wojnie pojechać do Australii, ale wtedy niespodziewanie spotkał się ze swoimi braćmi. Cała trójka była w armii Andersa, a żaden z nich o tym nie wiedział. Gdy w 1941 roku Felek powołany został do Wehrmachtu, to oni jeszcze uczyli się na piekarzy. Sądził więc, że pozostali w Polsce. Tymczasem obaj pod koniec 1944 roku, tuż przed wyzwoleniem, zostali przez Niemców wcieleni do wojska i wywiezieni na zachodni front. Tam też dostali się do angielskiej niewoli i zgłosili chęć wstąpienia do armii polskiej. W ten sposób po latach przypadkowo spotkali się w Anglii w mundurach wojska polskiego.

W kwietniu 1947 roku Anglicy już bardzo mocno naciskali na polskich żołnierzy, aby ci zdecydowali się, dokąd chcą jechać: do Australii, Kanady czy Argentyny. Tymczasem prawie połowa z jego plutonu chciała wracać do Polski. Na powrót do kraju nie zgłosił się natomiast żaden Polak, który przeszedł gehennę łagrów sowieckich. Ci znali już system komunistyczny. Pozostali wyrażali chęć powrotu pomimo towarzyszących im obaw. Felek należał do grona tych do końca niezdecydowanych. Chciał jechać do Australii, ale w tym czasie nie przychodziły stamtąd do jednostek wojskowych żadne zaproszenia. Mógł wyjechać do Kanady lub Argentyny, ale tam nie chciał. Postanowił więc wrócić do kraju.

Jego najmłodszy brat Herbert poznał dziewczynę i zamieszkał początkowo w Anglii. Felek umówił się z braćmi, że po przyjeździe do kraju da znać, jaka jest sytuacja, tak aby ewentualnie ich ostrzec. W razie niebezpieczeństwa to oni mieli go ściągnąć z powrotem do Anglii. Tymczasem złośliwy los szykował mu szczególnie bogatą dawkę goryczy. Wracał do kraju na pokładzie brytyjskiego statku z nadzieją na lepsze czasy i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Pelen otuchy i energii, chciał aktywnie uczestniczyć w odbudowie swojej wywalczonej ojczyzny. W Gdańsku, niestety, spotkał go pierwszy bardzo przykry zawód. W porcie nikt na powracających żołnierzy nie czekał i nikt ich nie witał. Przyzwyczajony od lat do orkiestr wojskowych, do wdzięczności okazywanej przez cudzoziemców, oczekiwał podobnych zachowań od rodaków w chwili powrotu do kraju po latach ciężkich zmagania frontowych. Tymczasem wszystkimi zmysłami niemal natychmiast odczuł, że rodzinny ląd był mu niemal wrogi. Nie tyle z rozpaczy, ile z niewiary

w to, co jego i kolegów spotkało, poszedł do pierwszej napotkanej knajpy napić się wódki. Ona jedna okazała się autentyczna i nieśmiertelna. Gorzko jednak smakował mu ten pierwszy sierocy toast, wypity za angielskie funty. Dominowała myśl, że to nie jest jego kraj, że to nie jest jego ojczyzna. Czuł się obco wśród ludzi, którzy mówili językiem jego dzieciństwa. Nikt mu tego nie mówił wprost, ale najbliższy czas potwierdził z całą brutalnością prawdę tego odkrycia.

W Katowicach na peronie wysiadł sam. Ubrany w brytyjski mundur, ze zdobytymi na piersiach odznaczeniami i medalem wojska polskiego, szedł tymi samymi schodami, tym samym przejściem do hali dworca, którym przed laty w szpalerze niemieckich oprawców, w kajdankach na rękach, pędzony był jako więzień. Satisfakcja zwycięskiego powrotu mieszała się z goryczą osamotnienia. Ludzie spoglądali na niego ukradkiem i mijali go w pośpiechu, niemal nie dostrzegając. I wtedy w hali starego dworca z całą ostrością, przypominając sobie przeżyte w nim upokorzenia, uzmysłowił sobie to, że wrócił do jakiegoś nieznanego mu sierocińca, którego regulamin dnia i nocy nie był mu znany. Przekleństwo razów, jakie otrzymał biegnąc do więziennego wagonu w 1941 roku, w murach tej dworcowej hali, zapiekło ponownie w kwietniu 1947 roku. Duch nieznanego mu czerwonego nacjonalizmu zdawał się sączyć swój śmiertelny jad w tych wszystkich, którzy na tym dworcu zmuszeni byli się pojawić. Znane mu Gestapo przyjęło oblicze Urzędu Bezpieczeństwa. Nikt nie miał odwagi nawet zapytać go, skąd wraca, czy nie spotkał przypadkiem syna, brata lub ojca. Spoglądał dookoła z niedowierzaniem. Znał tu prawie każdy kąt, każde niemal odbicie słonecznego promienia – i co z tego! Dusił się, w ciągu zaledwie kilku chwil wrócił niemal ponownie w koszmar okupacyjnej rzeczywistości. Po dwóch tygodniach z Bombaju brat przysłał mu widokówkę, na której napisał: „Tankujemy paliwo i obieramy kurs na Australię. Kilka godzin po Twoim wyjeździe z Glasgow przyszły zaproszenia z Australii. Pozdrawiam, Janek”.

Początkowo przez kilka miesięcy nie mógł dostać pracy. Zamieszkał u wujka na Placu Miarki. Pierwszą pracę otrzymał w Fabryce Armatur przy ul. Świerczewskiego. Przez długi czas mu nie płacono. Dostawał jedynie prowiant: mąkę, kaszę i chleb. Pracował jako magazynier i nie ukrywał swojego krytycznego stosunku do komunizmu. Denerwował go przede wszystkim panujący bałagan, kumoterstwo i przekupstwo, a także paraliżujący ludzką inicjatywę strach. Próbował z tym walczyć. Nauczony wyrażać to, co myśli, mówił wprost o tym, co mu się nie podobało. Jego błąd polegał na tym, że nie docenił potęgi donosu i prowokacji.

Jednego dnia, było to w lutym 1948 roku, kierownik polecił mu pójść na dworzec, na tzw. wolne tory, ponieważ zapowiedziany został wagon łusek armatnich. Były one wykonane z kolorowego metalu, a fabryka przerabiała go na armaturę. Miał pilnować wyładunku, aby ktoś z zewnątrz czegoś nie ukradł. Mróz tego dnia był prawie dwudziestostopniowy. Po kilku godzinach stania na dworze był przemarznięty do kości. I wtedy podszedł do niego jakiś człowiek z prośbą, czy może sobie zabrać parę łusek. Tłumaczył, że potrzebne mu są do wyrobu ozdobnego okucia przy zakończeniu kuchennej łopatki węglowej. Wartość i znaczenie jednej łuski, w porównaniu z marnotrawstwem panującym na terenie fabryki, były

niczym. Pozwolił zatem zabrać jedynie jedną łuskę spod wagonu, gdzie leżało ich kilkadziesiąt, i kazał mu odejść. Obdarowany z wdzięczności poczęstował go kieliszkiem wódki i poszedł. Za niecałe pół godziny nagle niespodziewanie zjawił się ubowiec z trzema kolejnymi facetami i oświadczył, że dał tym trzem, każdemu z osobna, po worku łusek. „Nic podobnego. Dałem tylko jedną łuskę, ale nie tym. Ich widzę pierwszy raz” – odparł podenerwowany, ale banda łobuzów z całą stanowczością twierdziła, że pozwolił im zabrać łuski, każdemu po pełnym worku. No i tak został aresztowany i oskarżony o współudział w kradzieży.

Początkowo siedział w więzieniu śledczym od lutego do lipca 1948 roku w Mysłowicach. Przez cały czas pobytu za kratkami przesłuchujący go oficer chciał, aby przyznał się do współudziału w kradzieży. On tymczasem nie podpisał żadnego zeznania. Wreszcie odbyła się rozprawa w sądzie wojewódzkim w Katowicach. Został oskarżony z artykułu 286, w świetle którego zarzucona została mu celowa działalność na szkodę ustroju socjalistycznego. Konsekwentnie do końca procesu nie poczuwał się i nie przyznawał do jakiegokolwiek winy. Argumenty obrony podnoszące jego zasługi wojenne, odniesione rany i zdobyte odznaczenia, a także nieskazitelną postawę w ciągu pierwszego roku pracy oraz fakt bezpodstawnych oskarżeń, nie były w ogóle przez sąd brane pod uwagę. Opinia prokuratora, że jako dywersant siłą chciał przeszkodzić w odbudowie kraju i zniszczyć tym samym zaufanie do władzy ludowej, była przyjęta jako pewnik. Wyrok, jaki otrzymał, opiewał jeszcze na półtora roku więzienia. W sumie zatem siedział dwa lata i trzy miesiące. Ośmiu miesięcy aresztu nie zaliczono mu na poczet kary. „Tak potraktowała mnie” – mówił z wyrzutem – „po latach niewoli i walki o wolność ta tak zwana nowa ludowa ojczyzna”.

Czasami myślał o tym, co go może łączyć z jego prześladowcami? Jakie obszary ducha i jaka skala wartości jest im bliska i czy można byłoby na niej zbudować pomost porozumienia? Niestety, ich bezwzględność i okrucieństwo skutecznie wykluczały wszelkie tego rodzaju opcje. Dręczyła go zatem przede wszystkim bezradność i niemożność sensownego przeciwstawienia się tym wszystkim, którzy kierowali jego losem, decydowali o jego istnieniu, jego życiu lub śmierci. Po rozprawie i ogłoszeniu wyroku zawieziono go do więzienia w Strzelcach Opolskich. Była to wtedy ze wszech miar wyjątkowa placówka więzienna. Służbę w niej w większości pełnili młodzi chłopcy, jego rówieśnicy, i nie kto inny, jak właśnie jeden z nich, prowadząc go po schodach do celi, powiedział mu, że takich jak on dywersantów to należałoby jak najszybciej rozstrzelać. I wtedy coś w nim ostatecznie pękło.

Po latach, gdy pomyślał, że te łobuzy nadal mieszkają w wygodnych poniemieckich willach, które służbowo otrzymali w latach czterdziestych, to długo nie mógł się uspokoić. Dręczyła go przede wszystkim refleksja, że wielu z nich przez całe późniejsze dziesięciolecie odcinało kupony ze swej brudnej i w gruncie rzeczy antypolskiej działalności, zwłaszcza że w czasie odsiadki tej tzw. kary, zmuszony był wraz z innymi więźniami przebudowywać i remontować te ich domy. Z uporem też zawsze podkreślał, że w mieszkaniach tych, podobnie jak i w obu gospodarstwach niemieckich, spoczywają jego wypracowane i niezapłacone należności.

Podobnie miała się sprawa z jego późniejszą pracą w Jaworznie, w tamtejszym tzw. obozie pracy, gdzie przewieziono go jesienią 1948 roku. Tam także wraz z innymi więźniami zmuszony był pod przymusem i za darmo budować tamtejsze osiedle mieszkaniowe. Warunki, w jakich przyszło mu żyć i pracować, sposób, w jaki straż traktowała więźniów, a także to, jak więźniowie byli żywieni, porównywał wyłącznie z łagrami stalinowskimi.

Z więzienia wyszedł w maju 1951 roku. Był bez mieszkania i szansy na jakąkolwiek stabilizację, zupełnie jak po ukończeniu szkoły podstawowej w 1938 roku. Zrozpaczony zaistniałą sytuacją, udał się ponownie do wujka mieszkającego przy Placu Miarki w Katowicach. Na szczęście jedna z jego córek wyszła za mąż za dyrektora MHD⁵¹ i za jej wstawiennictwem Feliks dostał posadę kierowcy. Bez jej pomocy wszelkie próby podjęcia zatrudnienia byłyby skazane na niepowodzenie. Napiętnowany więzieniem, budził strach i niechęć. Przyjęcie go do pracy było dowodem cywilnej odwagi. Pracując w MHD, poznał swoją późniejszą żonę. Przez długie lata nie mógł dostać mieszkania. Za każdym razem, gdy tylko miał już przydział w ręce, mieszkanie otrzymywał ktoś inny. Podenerwowany napisał w tej sprawie do redakcji „Trybuny Robotniczej”, a było to już po październiku 1956 roku. Pismo trafiło do rąk Jerzego Ziętki. Ten wezwał go do siebie i wtedy Feliks opowiedział mu o swoich losach wojennych, w tym także o tym, jak i kiedy wrócił do Polski i jakie spotkały go tu krzywdy, których nikt mu nie nagroził. Widać było, że Ziętek zdenerwował się, ale zapytał, ile lat czeka na mieszkanie. Gdy zorientował się w sytuacji, chwycił za telefon i w ciągu tygodnia znalazło się dwupokojowe mieszkanie w budujących się Tychach. Feliks zamieszkał w nim w 1960 roku.

Doczekał się dwóch synów. Oboje, nauczeni smutnymi doświadczeniami ojca, mieszkają za granicą. Jeden z nich jest inżynierem mechanikiem i mieszka na stałe w Kanadzie, a drugi, technik budowlany, wyjechał w ślad za nim w latach dwięćdziesiątych wraz z żoną i dziećmi. W Polsce pozostał Feliks z żoną. Wśród jego życiowych pamiątek legitymacja I Baonu Strzelców Karpackich należy do najdroższych. Na samym jej środku nadal widoczny jest czytelny podpis generała brygady Bronisława Ducha⁵².

Nosił ją zawsze na sercu i jeśli zdarzało mu się iść ulicami Katowic, wśród przejeżdżających pojazdów i nieznanych przechodniów, czuł, jak z jednej strony bruk sącył mu gorzyc sierocych wspomnień, a małeńka legitymacja pobrzmiwała jak pęknięta struna, której dźwięk w latach wojny przypominał mu znaną z lat dzieciństwa melodię śląską. Łamały się wtedy jego słowa i zdania zbudowane w kolorach czerni, słowa niemieckiego więźnia i niewolnika, więźnia – żołnierza, i pojawiały się kolory pośrednie, wyrastające z tradycji ojca powstańca i sióstr z bogucickiego sierocińca. Czuł je zawsze instynktownie wszystkimi swoimi zmysłami, a doskwierający ból istnienia w takich momentach nie paraliżował. Nie akceptował spotykającej go nieprawości i draństwa, ale też nigdy nie zdecydował się na bezwarunkową kapitulację. Nie zawsze towarzyszyło mu uczucie nadziei. Jego wiara w tymczasowość istniejącej rzeczywistości miała swój bliżej nieokreślony

⁵¹ Miejski Handel Detaliczny – państwowa sieć przedsiębiorstw utworzona w Polsce w 1950 roku.

⁵² Bolesław Bronisław Duch (1896–1980) – generał Dywizji Wojska Polskiego.

rodowód, którego genezy nie umiałby jednoznacznie wskazać. Czasami instynktownie niemal wiedział i już. Być może kierował się przekazaną mu w dzieciństwie przez siostry zakonne busolą dobra i zła, a może decydowała o wszystkim pamięć o ojcu. Ważne, że szczerze opowiedział mi o wszystkim, z czym przyszło mu walczyć i zmagać się w trakcie jego burzliwego losu. Osamotniony i pozbawiony wsparcia, po wojnie zmuszony był definiować i wyznaczać sobie najważniejsze cele w opozycji do otaczającej go rzeczywistości. Miarą tragizmu Ślązaków, walczących o Polskę w szeregach III Dywizji Strzelców Karpackich, był bowiem fakt, że nie tylko na wszelkie sposoby pomijano ich i szykanowano, ale i czyniono wszystko, aby wielu z nich nigdy nie powróciło do kraju.



JÓZEF SZYMICZEK

wachmistrz wojsk łączności

1. Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka

Z Gliwic do Dywizji Pancерnej generała Maczka¹

Lata młodości

Gliwice

Do dziewiątego roku życia mieszkaliśmy w Gliwicach przy ulicy Barbary 46², z początku w jednym pokoju i kuchni, a po jakimś czasie na tym samym trzecim piętrze w większym, dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią. Była też komórka i dosyć obszerny korytarz. Okna wychodziły na podwórze i na ulicę, a w podwórzu każdy lokator miał jedno pomieszczenie gospodarcze, gdzie przechowywało się drzewo oraz hodowało króliki lub kury. Okna na stronę ulicy dawały możliwość obserwacji rozległego kompleksu warsztatów naprawy taboru kolejowego, który rozciągał się wzdłuż całej ulicy Barbary aż pod Sośnicę i odgradzony był wysokim murem betonowym. Drugi skraj tego kompleksu kończył się daleko przy ulicy Chorzowskiej. W tych warsztatach pracował mój ojciec jako werkmistrz³. W czasie I wojny światowej, w której transporty wojskowe w większości opierały

¹ Józef Szymiczek urodził się 26 XII 1912, zmarł 13 VIII 2000 roku. Rękopis wspomnień, dokumenty i fotografie udostępnił jego syn Stanisław Szymiczek. Za konsultację historyczną dziękujemy prof. dr. hab. Ryszardowi Kaczmarkowi.

² Wówczas Barbarastrasse, obecnie ul. Bł. Czesława.

³ Werkmistrz – majster.

się na komunikacji kolejowej, Niemcy traktowali warsztaty jako główną bazę naprawczą. Nie tylko naprawiano tam tabor, ale również budowano sprzęt przewoźowy, między innymi tak zwane luxtorpedy⁴. Były to małe zestawy wagonów osobowych o napędzie silników spalinowych.

Załoga pracująca w czasie wojny, aczkolwiek ponad miarę eksploatowana, była zwolniona z obowiązku pójścia na front. Na tym też skorzystał mój ojciec, który – choć szkolony przed wojną w wojsku w Opolu – bardziej był potrzebny w warsztatach. Pamiętam ojca wracającego z pracy, w teczce przynosił kawałki drzewa z odciętych desek naprawianych wagonów. Sytuacja żywnościowa w czasie pierwszej wojny światowej była dosyć ciężka. Ojciec robił młynki do mielenia ziarna i bębny do mieszania jęczmienia. Bęben stawiało się na blachę, wsypywało się do niego jęczmień i w trakcie nagrzewania obracało korbą połączoną z mieszaczem. To przeważnie była moja i moich braci robota. Na innego rodzaju młynkach miełiło się owies, żyto oraz pszenicę i dzięki temu matka miała z czego piec. Z mielonego owsa robiła smaczne makaroniki i ciastka, z palonego jęczmienia mieliśmy kawę zbożową. Nasuwa się pytanie, skąd to ziarno? Tutaj muszę wyjaśnić, że ojciec pochodził z Grabówki koło Lubomii (w rybnickim). Gospodarzył tam wujek Karol i dziadek Antoni. Byli rolnikami i pracowali w kopalniach Pszów i Wodzisław. Zwykle na wieś jeździł ojciec, a czasami przyjeżdżały do nas też ciotki. Przywoziło się stamtąd (oraz z Nieboczów i Pstrążnej) chleb wiejski własnego wypieku, były to duże, okrągłe bochenki. Od krewnych dostawaliśmy też owoce oraz mięso i wędliny z własnego uboju. Ojciec z kolei rewanżował się różnego rodzaju wyrobami ślusarsko-kowalskimi (młynki, narzędzia). Taka wymiana wspomagała naszą rodzinę, a była to rodzina niemała: trzech braci po pierwszej matce Wiktorii, która pod koniec I wojny światowej (w 1918 roku) zmarła na chorobę płuc. Ojciec, na prośbę matki, ożenił się z ciotką Weroniką, która miała syna Ryszarda i była samotna. Najstarszym moim bratem był Franek (urodzony w Opolu), później ja (urodzony w Biskupicach), zaś najmłodszym Karol (urodzony w Gliwicach). Oczywiście dołączył do nas Ryszard młodszy ode mnie o dwa miesiące.

Mając sześć lat, zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej przy ulicy Hutniczej. Moim wychowawcą był nauczyciel o nazwisku Brotkopf. Był on oficerem rezerwy w armii niemieckiej. Mimo, że byłem mały i dopiero zacząłem poznawać cały ten świat, pamiętam jego ironiczne uwagi dotyczące Polski. A był to okres burzliwych demonstracji robotników i krwawej strzelaniny w mieście. Policja strzelała zarówno do polskich, jak i niemieckich robotników należących do organizacji Spartakus⁵. W tym czasie ojciec wysłał mnie i starszego brata na naukę religii, którą prowadził polski nauczyciel (w szkole nr XI przy ul. Ziemowita). Tam też poznałem Franciszka Galbierza, z którym później wspólnie działaliśmy w Katowicach.

⁴Luxtorpeda – popularna nazwa wagonów spalinowych.

⁵Związek Spartakusa, najpierw od 1916 roku grupa radykalnych niemieckich socjaldemokratów marksistowskich na czele z Różą Luksemburg i Karlem Liebknechtem, w 1918 roku przekształcona w osobną organizację (Związek Spartakusa). Organizacja dążyła do wywołania rewolucji proletariackiej w Niemczech, w styczniu 1919 roku weszła w skład Komunistycznej Partii Niemiec.

Nastaly dziwne czasy dla całej rodziny. Śmierć matki zacząłem odczuwać dopiero później, gdy dorastałem. Na Wszystkich Świętych ojciec zrobił z grubszego drutu uchwyt do świec. Z pracy przyniósł stearynę, którą rozpuszczał w garnku na blasze i wlewał do mokrych rurk. Później wyciskał patykiem odpowiednio grubym gotowe świece, po uprzednim wpuszczeniu do rurki sznurka (knota). Matka pochowana była na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Chcąc wbić świece w grób, musieliśmy najpierw usunąć grubą warstwę śniegu. Takiego Święta Zmarłych w późniejszych latach nie pamiętam.

Z drugą matką ojciec miał córkę Jadwigę, która zmarła w trzecim miesiącu po urodzeniu. Po małą trumienkę musiał iść do miasta najstarszy brat Franciszek, bo ojca w tym czasie często nie było w domu. Dopiero później zrozumieliśmy, że związany był z Polską Organizacją Wojskową⁶ i pracował w obwodowej Komisji Plebiscytowej⁷. Raz wrócił późno w nocy w poszarpanym płaszczu. Okazało się, że był na zebraniu obywateli w Łabędach. Wraz z innymi organizatorami agitowali wśród ludności, aby głosowała w plebiscycie za Polską. Po wiecu poszli na dworzec w Łabędach i chcieli pociągiem dojechać do Gliwic. Przed dworcem zostali napadnięci przez bojówkę niemiecką, która obrzuciła ich granatami. Na szczęście skończyło się tylko na poszarpanym płaszczu. Niemcy zrzeszeni byli w tajnych organizacjach bojowych. Mieli swój wywiad oraz ukryte magazyny broni i amunicji. Wojska koalicyjne, które stacjonowały na terenie Górnego Śląska (zwłaszcza Francuzi sprzyjający Polakom) urządały obławy na ukryte magazyny niemieckie. W czasie jednej z takich akcji widzieliśmy żołnierzy francuskich na parkanie odgradzającym warsztaty kolejowe. Wzywali mieszkańców sąsiednich domów do zamykania okien i zabraniali patrzeć przez szyby. W okresie plebiscytu mieszkał u nas francuski kapitan. Na ścianach płotów i domów nalepione były afisze w językach polskim i niemieckim. Ojciec przywoził do domu stosy ulotek nawołujących do głosowania za Polską. Ulotki te podzielił między mnie a starszego brata. Poinformował nas odpowiednio, jak się mamy zachować. O godzinie 14. obaj staliśmy przed bramami wyjściowymi zakładów (każdy przy innej) i wręczaliśmy ulotki robotnikom wychodzącym z pracy.

Zbliżał się dzień wybuchu III powstania śląskiego. Była piękna słoneczna niedziela. Najmłodszy Karol i Ryszard byli u babci w Biskupicach. Ja, starszy brat Franek i druga matka mieliśmy jak najwcześniej rano także pojechać tramwajem do Biskupic. Wstaliśmy więc wcześniej i udaliśmy się na przystanek Elżbiety (wtedy tak nazywany) przy ul. Chorzowskiej. Czekaliśmy dość długo wśród sporej grupy ludzi, ale tramwaje nie wyjechały z remizy. Nagle równocześnie zaczęły wyc syreny fabryczne i od razu usłyszeliśmy ostrą strzelaninę z karabinów maszynowych. Wszyscy się rozbiegli, matka schowała się w bramie najbliższego domu, Franek na własną rękę zawrócił do domu i ja także chciałem się tam dostać jak najszybciej.

⁶ Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, główna polska siła zbrojna w powstaniach śląskich utworzona w 1919 roku.

⁷ Zapewne chodzi o Polski Komitet Plebiscytowy na Powiat Gliwicki. W 1920 roku powstał Polski Komisariat Plebiscytowy w Bytomiu, prowadzący kampanię propagandową na rzecz głosowania za przyłączeniem Górnego Śląska do Polski. Komitet posiadał swoje przedstawicielstwa we wszystkich powiatach oraz w większości miast i gmin wiejskich na terenie plebiscytowym.

W międzyczasie z ulicy Okrzei (z tamtejszej szkoły) wyjeżdżały auta ciężarowe z żołnierzami francuskimi. Niektórzy stali na stopniach obok szoferki, wszyscy w ostrym pogotowiu z bronią gotową do strzału. Strzelanina wzmagą się. Chcąc wrócić do domu, musiałem przedostać się przez długi przęsłowy most. Za przednimi, betonowymi wypustami mostu chowali się jacyś uzbrojeni mężczyźni. To były niemieckie bojówki Stosstrupp⁸. Most przekakiwałem sam od przęsła do przęsła, a ściślej od słupa do słupa. Kule z karabinów maszynowych odpryskiwały jak woda z prysznica. Patrząc w dół ukradkiem, widziałem posuwającą się tyralierę powstańców. Wreszcie znalazłem się za mostem. Trzeba było zbiec długimi schodami i już zaczynały się z prawej strony mniejsze budynki fabryczne. Ogień szedł również po nich. Wylatywały szyby ze świetlików i okien. Skręciłem w prawo i po około stu metrach minąłem główny wjazd do warsztatów. Za bramą już była ulica Barbary. Biegłem prawą stroną od domu do domu, zatrzymując się we wnękach bram lub drzwi. Jakaś kobieta w średnim wieku wyszła z bramy i ostrzegła mnie, abym schował się w sieni. Powiedziałem jej, że śpieszę się do domu. Ulica była pusta, a na środku gdzieś widoczne były plamy krwi. To rykoszety raniły zdezorientowanych mieszkańców dzielnicy. Wreszcie znalazłem się w domu. Franek już dawno wrócił. Ojciec, podniecony, zabrał mnie ze sobą na strych. Tam z okna obserwowaliśmy, jak tyraliera powstańców przeszukuje poszczególne budynki i hale fabryczne. Widziałem nawet jedną kobietę z karabinem. Po jakimś czasie strzelanina nareszcie ucichła i ludzie powychodzili z ukrycia. Na ulicy co parę kroków stały posterunki powstańców z karabinami.

W naszym domu mieszkali Polacy i Niemcy. Trzeba przyznać, że nie było antagonizmów, tylko wzajemna tolerancja. Dlatego zaskoczony zostałem takim widokiem: gdzieś na drugim piętrze na korytarzu dwie Niemki (zadne i porządne kobiety) na kolanach błagały mojego ojca, ażeby nie pozwolił, by powstańcy zrobili im krzywdę. W południe przyszła moja druga matka i zaczęła gotować dużo kawy zbożowej, którą brat Franek nosił na punkt opatrunkowy w budynkach przy głównej bramie wjazdowej do warsztatów. Jeszcze przedtem poszliśmy z bratem aż na Plac Piastów⁹, tam wojska francuskie zrobiły kordon ochronny rozgraniczający powstańców. Odbływały się rozmowy dowódców powstańczych z oficerami francuskimi. Ze względu na znaną przychylność wojsk francuskich dla spraw polskich, powstańcy wycofali się ze śródmieścia. Gliwice zostały jednak otoczone pierścieniem oddziałów powstańczych aż do wygaśnięcia III powstania.

Właściciel naszego i sąsiedniego domu nazywał się Remiorz. Był on porządnym i solidnym człowiekiem. Chociaż był Niemcem, darzył szacunkiem mego ojca. Tuż po wycofaniu się powstańców na obrzeża miasta poprosił ojca na rozmowę i powiedział mu, że Niemcy posądzają ojca o zastrzelenie jednego członka Stosstrupp za ogrodzeniem na terenie warsztatów. Radził mu, ażeby nasza rodzina nie spała w nocy we własnym mieszkaniu, lecz przeniosła się w inne miejsce. Poszliśmy więc z bratem do znajomych mieszkających w oficynie (rodziny Klamków),

⁸ Stosstrupp – potoczna nazwa bojówek niemieckich na Górnym Śląsku. Nazwa pochodzi od utworzonych podczas I wojny światowej oddziałów szturmowych.

⁹ Wtedy noszący nazwę Germaniaplatz.

a ojciec z matką spali jak zwykle w pokoju od strony ulicy. W nocy wystrzelono cztery kule z karabinu do naszych frontowych okien. Kule utkwiły o pół metra w ścianie nad łózkami rodziców. Ojciec na drugi dzień wydrapał kule z tynku i przechowywał aż do czasów po II wojnie światowej, kiedy to wnuk je wyszperał i zgubił.

Wkrótce ojciec wyjechał potajemnie na dwa tygodnie do Krakowa, do batalionu kolejowego¹⁰ na przeszkolenie. Powstanie trwało w rejonie Góry św. Anny, a w Gliwicach życie toczyło się w miarę normalnie. Po powrocie ojca, w pewną niedzielę, rodzina sąsiadów (Skibowie) i nasza poszła niby na przechadzkę do Sośnicy. Przepuszczono nas przez pierścień rowów strzeleckich i umocnione stanowisko wojsk powstańczych. Ojciec był tajnym komendantem na terenie warsztatów kolejowych. Wśród pracowników tych warsztatów istniała tajna organizacja POW, która miała swoje zadania do wykonania. W związku z tym ojciec musiał przekazywać informacje i meldunki. Czasami angażował do tego starszego brata Franka i mnie. Meldunki kazał zaszyć w kurtce brata lub mojej (o czym nie wiedziałem) i razem z bratem wysłał nas do Sośnicy, do wujka po króliki. Wujka w rzeczywistości w Sośnicy nie mieliśmy. Przez linię umocnień przepuszczano nas po wymienieniu nazwiska rzekomego wujka. Ten wujek oczywiście przekazywał meldunki do właściwych adresatów. Między Gliwicami a Sośnicą były dwa stawy koło cegielni. W pogodne dni chodziliśmy tam się kąpać. Raz poszedłem z młodszym bratem Karolem. Kiedy on kąpał się z innymi dziećmi, a ja pilnowałem ubrań, zagrzmiwały nagle karabiny maszynowe z pobliskich już pozycji powstańczych. Powstał popłoch, wszyscy uciekali, a ja szukałem Karola. W pośpiechu ubrałem się, wziąłem rzeczy Karola i wreszcie znalazłszy go, zaciągnąłem pod mostek, ubrałem i zawlokłem do domu.

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie z dnia 3 maja 1921 roku. W godzinach popołudniowych wrócił z pracy nasz sąsiad Paweł Skiba, który był maszynistą kolejowym. Przyszedł do nas i w dużym pokoju frontowym zdjął koszulę i pokazał ojcu, jak wyglądały jego plecy i piersi po bestialskim pobiciu przez zaczajoną bojówkę niemiecką. Jakie były motywy tej napaści? W dniu wybuchu III powstania Skiba, jako maszynista lub kierownik parowozu, prowadził z Sośnicy do Gliwic na dworzec osobowy pociąg towarowy o krytych wagonach. W Gliwicach pociąg stanął, wagony się otworzyły i wyskoczyli z nich powstańcy, którzy opanowali dworzec. Później rodzina Skibów przeniosła się z nami do Katowic. Z dwóch synów starszy został lekarzem w Czechowicach-Dziedzicach, a młodszy zginął w 1939 roku jako podporucznik.

O okresie gliwickim można by jeszcze dużo napisać, ale ograniczę się do kilku zdarzeń. Pierwsze dotyczy ojca i jego pracy agitacyjnej przed plebiscytem. Pewnego razu uczestniczył w zebraniu przedwyborczym w Szobiszowicach¹¹ i nawet wchodził w skład prezydium, któremu przewodniczył ksiądz Potempa¹². Na sali

¹⁰ II batalion kolejowy w Krakowie, który od sierpnia 1921 roku wszedł w skład 1. Pułku Wojsk Kolejowych, przekształconego w 1924 roku w 1. Pułk Saperów Kolejowych.

¹¹ Obecnie dzielnica Gliwic.

¹² Zapewne chodzi o księdza Wiktora Potempę, który we wrześniu 1920 roku postrzelił niemieckiego bojówkarza.

byli Polacy i Niemcy. Kiedy ksiądz przemawiał, broniąc sprawy polskiej (stał za stołem na scenie), jakiś uzbrojony bojówkarz niemiecki chwycił księdza za nogę, chcąc go ściągnąć ze sceny. Ksiądz, przygotowany na ataki ze strony niemieckiej, wyciągnął pistolet i, nie namyślając się wiele, zastrzelił napastnika. Na sali powstało ogromne zamieszanie i zaalarmowane zostały wojska koalicyjne. Francuzi aresztowali całe polskie prezydium i samochodami odwieźli na komendę, ale wkrótce po cichu wszystkich wypuścili.

W czasie I wojny światowej w warsztatach wagonowych Niemcy czasami zatrudniali jeńców wojennych. Byli tam Anglicy, Francuzi i Rosjanie. Ojciec mój zaprzyjaźnił się z Anglikami, a szczególnie z Jimmym Barretem, pochodzącym z Doncaster w hrabstwie Yorkshire. Od niego nauczył się języka angielskiego. Przyjaźń ta przetrwała II wojnę światową, a po jej zakończeniu nawet odwiedziłem Jimmiego w Anglii. Ta znajomość bardzo się przydała w czasie pobytu wojsk koalicyjnych na Śląsku. Przemysł ciężki przeważnie kontrolowali sprzyjający Niemcom Anglicy i w kontaktach z nimi trzeba było korzystać z tłumacza niemieckiego, który przedstawiał prośby i petycje strony polskiej. Pułkownik angielski, gdy dowiedział się o przyjaźni ojca z Barretem, a także z innymi jeńcami angielskimi pracującymi w warsztatach, zezwolił na bezpośredni dostęp. Odtąd mój ojciec, reprezentujący polską część załogi warsztatów wagonowych w powstałych wówczas radach robotniczych, skutecznie mógł załatwiać (z korzyścią dla strony polskiej) różnego rodzaju sprawy.

Po ustaleniu granicznego podziału Górnego Śląska Gliwice przyznano Niemcom. Polacy mieszkający w tym mieście przygotowywali się więc do przeniesienia na stronę polską. Zresztą takie były ustalenia przedstawicieli stron walczących z delegatami Komisji Miedzysojuszniczej. Z kolei z części Górnego Śląska przyznanej Polsce tamtejsi Niemcy przygotowywali się do przeniesienia na stronę niemiecką. Rozpoczął się wielki ruch migracyjny. Organizowano transporty kolejowe dla przewozu mienia ruchomego. Wreszcie trzeba było załatwić sprawy szkolne. Kończyłem trzecią klasę szkoły podstawowej. Pamiętam jak dziś: wychowawca klasy (zgodnie z dyrektywami odgórnymi) zwrócił się do uczniów z pytaniem, który z nich wyjeżdża na polską stronę Górnego Śląska. Wstała ponad połowa klasy, wyrażając przy tym niesamowity entuzjazm. Trudno określić dokładnie, ale myślę, że było to przeszło 60 procent uczniów. Na drugi dzień nauczyciel przygotował dla wyjeżdżających do Polski świadectwa ukończenia trzeciej klasy, ale noty z poszczególnych przedmiotów nam nie wstawił i powiedział, że stopnie możemy sobie sami wpisać. Był to jedyny sposób wyrażenia niezadowolenia z naszej postawy. A było wśród nas wielu wyróżniających się później kolegów, jak na przykład Paweł Kandziora¹³. W 1939 roku, tuż przed wybuchem II wojny światowej, zdobył we Francji medale na akademickich mistrzostwach świata w szermierce. Byli wśród nas bracia Bednorzowie, krewni biskupa Herber-

¹³ Paweł Kandziora (1913–1942), reprezentant klubu AZS Kraków, akademicki mistrz Polski we florecie w 1938 roku, a w 1939 roku we florecie i szabli. W 1939 roku brał udział w akademickich mistrzostwach świata w Monte Carlo, gdzie razem z kolegami zdobył złoty medal za zwycięstwo drużynowe w szabli. Zginął w 1942 roku w KL Auschwitz.

ta, który był starszy od nas i też mieszkał w naszej dzielnicy. Wielu nazwisk już nie pamiętam, ale pamiętam jeszcze ich twarze.

Skończył się pewien burzliwy okres mojej młodości. Chociaż najeżony był różnymi niebezpiecznymi zdarzeniami, to nigdy nie zapomnę, jak słońce wówczas pięknie świeciło. Rozpowszechniona była wtedy piosenka *Słońko jasne*. Wszyscy Polacy nosili ją nie tylko w pamięci, ale i w sercu. Zawsze będę pamiętał stukanie pociągów, gwizdy lokomotyw i syreny fabryczne. Ta atmosfera towarzyszyła mi od rana do wieczora. Wydaje mi się, że te wszystkie emocje z plebiscytu i powstań śląskich spowodowały, iż zbyt wcześnie dojrzałem, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie musieli niczym się przejmować i martwić. Pożegnaliśmy się z Gliwicami, ale ojciec zawsze mówił: „Chłopcy, przyjdzie jeszcze czas, gdy Gliwice wrócą do Polski, a my nad grobem matki staniemy w polskich mundurach”. Jego przewidywania spełniły się po wielu latach.

Katowice

Przenieśliśmy się wreszcie do Katowic. Zajęliśmy mieszkanie przy ulicy Kochanowskiego 13, też na trzecim piętrze. Poprzedni lokator (Niemiec) wyprowadził się na stronę niemiecką, a pamiątkę po nim znaleźliśmy na piecu kaflowym. W zawiniątku leżały tam różne odznaki jakiejś niemieckiej organizacji. Szybko zapoznaliśmy się z terenem i okolicą oraz odnaleźliśmy swoich kolegów z Gliwic. Byli już tu Kandziorowie, Walkowiacy, Famulowie, Kubicowie, Skibowie, Kempowie i Franciszek Galbierz. Z uwagi na licznych krewnych pozostawionych za kordonem dostaliśmy tzw. karty cyrkulacyjne upoważniające do odwiedzin terenów niemieckich. Z początku ojciec także pracował w kolejnictwie, ale szybko zatrudniono go w organizującej się polskiej administracji, a ściślej w sądownictwie. Ojciec miał bardzo ładny charakter polskiego pisma, mimo że uczęszczał do szkoły niemieckiej, a jedynie po polsku uczył się religii i dodatkowo w czasie plebiscytu brał udział w kursach języka polskiego. Mój dziadek Antoni z Grabówki przez całe życie mówił wyłącznie po polsku, po niemiecku rozumiał, ale nawet do przedstawicieli władz odpowiadał zawsze po polsku. Jeszcze przed I wojną światową chodził na pielgrzymki w okolice Krakowa. Wisiły u niego stare obrazy religijne z datami z pierwszych lat XX wieku. Wszystkie ciotki i wujkowie naukę religii odbywali w języku polskim. A dziadek, kiedy był młody, chodził do polskiej szkoły podstawowej, która w tamtych czasach jeszcze była tolerowana. Język niemiecki wykładany był wtedy tylko przez jedną godzinę w tygodniu.

Szkolnictwo polskie na terenach polskiego Śląska nie od razu było dobrze zorganizowane. Ściągano kadry nauczycielskie (przeważnie z Galicji). Po dwóch czy trzech miesiącach zaczął się dla nas rok szkolny już w polskiej szkole. Cała czwórka rodzeństwa chodziła odtąd do szkoły podstawowej przy ulicy Jagiellońskiej: ja i Ryszard do czwartej klasy, Franek do piątej, a najmłodszy Karol do pierwszej.

Ojciec rychło zaczął działalność społeczną w Związku Powstańców Śląskich w Grupie Uchodźczej Gliwicko-Toszeckiej. My (bracia) zaczęliśmy od razu wstępować do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, które miało kilka gniazd. Naczelnikiem naszego gniazda był sympatyczny kupiec Kasprzak¹⁴ z ulicy Mikołow-

¹⁴ Zapewne chodzi o Kazimierza Kasprzaka, organizatora wielu gniazd sokolich na Śląsku.

skiej. Gniazdo podzielone było na stronę męską i żeńską oraz młodych i starszych druhów. Ćwiczenia gimnastyczne odbywały się w sali gimnastycznej Szkoły Wydziałowej przy ulicy Szkolnej. W tej samej sali gimnastycznej ćwiczenia miały niemieckie organizacje młodzieżowe Turnverein „Vorwärts”. Spotykaliśmy się z nimi przed zajęciami lub po nich. W tym czasie istniała jeszcze wielka nienawiść wzajemna, wyrosła w czasie agitacji plebiscytowej i w okresie powstań. Zdarzało się, że kilku młodych druhów wcześniej przybyłych na ćwiczenia było napastowanych przez niemiecką młodzież. Niemcy zaczepiali przeważnie pojedynczych druhów. Dlatego umawialiśmy się na tylnym podwórzu koło wysypiska śmieci i tam zaopatrywaliśmy się w kamienie do obrony. Starsi druhowie tworzyli odpowiednią osłonę i często dochodziło do krwawych rozpraw. Później jakoś się to unormowało, ale z początku po ćwiczeniach maszerowaliśmy w zwartym szyku czwórkowym ulicami miasta. Każdy z dumą nosił w klapie marynarki okrągły blaszany orzełek piastowski. To były początki. Później, o ile rodziców było na to stać, nosiliśmy rogatywki szkolne. Pióra każdy musiał sobie sam zorganizować, przeważnie z indyków. Nosiło się je na biało-czerwonej kokardzie, przyczepionej z lewej strony do czapki. Sokolice chodziły w pięknych czerwonych chustkach na głowie, w białych bluzkach i granatowych spodniach. Niektórzy starsi druhowie (przeważnie z kierownictwa) mieli całe mundury koloru khaki, ale koszule były czerwone, a marynarki mieli narzucone tylko na jedno ramię.

Ćwiczenia w Sokole to nie była żadna zabawa. Stawało się w szeregu i trzeba było słuchać instruktora, który nie tolerował żadnej swawoli. Dyscyplina była iście wojskowa, a każdy przyjmował reguły z honorem. Ćwiczyliśmy na przyrzędach, na drabinkach, a później coraz częściej wprowadzano elementy lekkoatletyczne. Niektórzy starsi druhowie byli tak umięśnieni, że przypominali rzymskich gladiatorów. Zawsze ćwiczeniom towarzyszył marsz ze śpiewem naokoło sali. A śpiewało się przede wszystkim patriotyczne pieśni narodowe. Najbardziej popularne były: *Marsz, marsz Polonia, Do bytomskich strzelców, Hej, z góry, z góry, Hej, bracia Sokoły*.

W Katowicach przygotowywano się do uroczystego przywitania wkraczającego wojska polskiego, strojono bramy triumfalne. Ja widziałem pierwszych polskich żołnierzy w Parku Kościuszki, na ich czele jechali konno oficerowie. Jednak główny wjazd nastąpił od strony Szopienic. Oczywiście wojska koalicyjne ewakuowano przed wkroczeniem wojsk polskich. Nie pamiętam już, kiedy zmieniono walutę na marki polskie, pamiętam natomiast galopującą inflację, kiedy to płacono się milionami marek. Życie gospodarcze nie było ustabilizowane. Dopiero teraz dało się odczuć skutki I wojny światowej. Ogromne kolejki ustawiały się po cukier, a przy poszczególnych zakładach powstawały konsumy.

Nareszcie chodziliśmy regularnie do polskiej szkoły. Moją pierwszą nauczycielką polską była pani Maria Michalska. Była to już nie najmłodsza kobieta, bardzo sympatyczna, pełna energii i chęci dokonania czegoś pożytecznego. Była prawdziwą przedstawicielką polskiego patriotyzmu i romantyzmu, potrafiła nam w krótkim czasie wpoić zamiłowanie do polskich pieśni narodowych, co ułatwiało zrozumienie historii ojczyzny. W naszej szkole uczyło wielu nauczycieli, którzy

mieli osiągnięcia także w innych dziedzinach. Na przykład: Stefan Kisieliński¹⁵, reprezentacyjny bramkarz polski w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, czy też Mieczysław Gładysz¹⁶ (mój ostatni wychowawca w VIII klasie), który później został dyrektorem Muzeum Górnos Śląskiego w Bytomiu. Ciekawym czynnikiem integrującym było pochodzenie uczniów, nie tylko z Górnego Śląska, ale także z Galicji, Podhala i Poznańskiego. Wśród Ślązaków było dużo miejscowych i uchodźców, a czasami też uczniów niezdeklarowanych narodowościowo.

Życie stabilizowało się pod każdym względem, ale nasza rodzina miała coraz większe potrzeby, a praca w sądownictwie wcale nie dawała ojcu wystarczających dochodów. Starszy brat chciał zapisać się do Gimnazjum Humanistycznego przy ulicy Mickiewicza. Był pedantem, bardzo systematycznym w nauce i chociaż w przedmiotach matematycznych nie celował – dopiął swego. Zdał maturę i poszedł na studia filozoficzne do Krakowa, gdzie skończył historię i germanistykę. Jeszcze przed wojną wydał, jako rozszerzoną pracę maderską, książkę pt. *Walka o Śląsk Cieszyński*¹⁷. Było to syntetyczne opracowanie tematu podówczas bardzo aktualnego z uwagi na sytuację polityczną. Razem z braćmi udzielaliśmy się społecznie w szkole. Chodziliśmy na zloty, zabawy i pochody, utworzono nawet małą orkiestrę bębenkowo-piszczalkową, w której i ja grałem. Również zapisałem się do Gimnazjum przy ulicy Mickiewicza, ale uczyłem się tylko półtora roku i musiałem zrezygnować z kilku powodów. Jednym z nich był wychowawca klasy, który niesłusznie zaliczył mnie do uczestników pewnej awantury rozgrywającej się pod nieobecność profesora. Ta historia, a także kłopoty finansowe mojej rodziny spowodowały, że ojciec podjął decyzję o zakończeniu mojej nauki w gimnazjum. Wróciłem do szkoły podstawowej, ukończyłem ósmą klasę, a potem zacząłem pracować w kancelarii adwokackiej Dziecioła i Kazimierczaka. Przez 18 miesięcy zatrudnienia w tej kancelarii nauczyłem się wielu ciekawych rzeczy z dziedziny postępowania procesowego, techniki stosowania prawa i „kręcenia paragrafami”. Miało to duży wpływ na ukształtowanie moich poglądów na życie oraz pozwoliło spojrzeć realnie na stosunki społeczne, jak: bieda, bogactwo, walka o dobra materialne oraz umiejętne wykorzystywanie technik prawnych nie zawsze w słusznej sprawie. Wielu znajomych z tamtej kancelarii znalazło się później na dobrych stanowiskach w bankach, przemyśle i innych instytucjach gospodarczo-handlowych.

W końcu dzięki znajomościom ojca dostałem posadę w kolejnictwie, jako że praca w tej branży uważana była za stabilną i dobrze płatną. Zarabiał się nieźle i zapewniony był awans, jeśli pracownik się dokszałcał i przeszedł praktykę w ruchu kolejowym. Ja pracowałem w biurze stacyjnym, ekspedycji towarowej, węglowej, odprawie pociągów, telegrafii depeszowej, pociągowej i kasie biletowej. Zapisalem się też na zaoczne dwuletnie kursy wieczorowe organizowane przez Dyрекcję Kolei Państwowych. Ukończenie tych kursów dawało mi tzw. małą

¹⁵ Stefan Kisieliński (1901–1951), piłkarz klubu Polonia Warszawa, w reprezentacji Polski piłki nożnej występował w latach 1926–1928, ukończył studia historyczne i w latach trzydziestych był nauczycielem w gimnazjum w Katowicach.

¹⁶ Mieczysław Gładysz (1903–1984), etnograf, po II wojnie światowej dyrektor muzeów w Gliwicach i Bytomiu, kierownik Zakładu Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN.

¹⁷ F. Szymiczek, *Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914–1920*, Katowice 1938.

maturę oraz prawo do dalszej nauki w kolejnictwie (np. wstęp do szkoły adiunktów do Gdańska). Nauka była dla mnie dość dużym wysiłkiem, gdyż w dzień pracowałem na stacji Katowice Ligota (w biurze stacyjnym i jako telegrafista), a od godziny 16 do 21 chodziłem na kursy. Mimo to wśród kandydatów do egzaminu z telegrafu w ruchu pociągów miałem najlepszy wynik. Docenił mnie także kierownik jazdy Jan Buchta, który kontrolował stację podczas największego ruchu pociągów. Katowice Ligota były stacją pierwszej klasy i pociągi osobowe oraz towarowe odchodziły prawie co minutę.

W życiu rodzinnym nic ciekawego się nie zdarzyło. Karol praktykował u malarza, Ryszard pracował na stacji Chebzie, Franek studiował w Krakowie, a ojciec był już sekretarzem sądowym i dalej udzielał się w Związku Powstańców Śląskich, w Związku Podoficerów Rezerwy, a także w Bractwie Kurkowym, Klubie Obywatelskim oraz w Stowarzyszeniu Mężów Katolickich. Wśród kolegów ojca było wielu właścicieli restauracji, którym załatwiał sprawy sądowo-administracyjne, za co był mile widziany w ich lokalach. Ja od momentu pójścia do gimnazjum musiałem zerwać z Sokołem, gdyż uczniowie gimnazjum nie mogli należeć do żadnych organizacji. Przy Związku Powstańców Śląskich powstał jednak oddział młodzieży męskiej i żeńskiej – tam szkoliliśmy się sportowo i wojskowo. Urządzaliśmy obozy i zabawy oraz braliśmy udział w uroczystościach państwowych. Nasz oddział liczył przeszło 100 osób, a ćwiczenia odbywały się dwa razy w tygodniu.

Akurat po ukończeniu kursów kolejowych nastąpił wielki kryzys gospodarczy w całej Europie. Wszędzie rosło bezrobocie, dlatego wprowadzono tzw. „świętówki”, czyli jeden dzień w tygodniu wolny niepłatny, a potem po dwa dni w tygodniu, aż wreszcie zaczęto zwalniać, gdzie się dało. Najpierw zwalniano kawalerów mieszkających przy rodzicach i w ten sposób zwolniono w 1933 roku mnie i Ryszarda. Najmłodszy brat był jeszcze uczniem malarskim, a najstarszy kończył studia w Krakowie. Do mnie los się uśmiechnął o tyle, że dostałem powołanie do odbycia dwuletniej służby wojskowej, a z pracy wypłacono mi około 600 zł odszkodowania. Część tej odprawy pożyczyłem studiującemu bratu, który był w dramatycznej sytuacji finansowej.

W wojsku

3 listopada 1933 roku zameldowałem się w 5. Batalionie Telegraficznym w Krakowie w celu odbycia służby wojskowej. Tutaj rozpoczął się nowy okres mego życia, który z przerwami trwał 10 lat, licząc udział w II wojnie światowej. Zacząłem jako rekrut od zaprzysiężenia 10 grudnia, w marcu następnego roku dostałem się do szkoły podoficerskiej, a po jej ukończeniu zostałem przeniesiony jako instruktor do kadry 5. Kompanii Szkolnej Łączności. Szkoliłem podoficerów łączności dla piechoty, saperów, artylerii i kawalerii. Pierwszy turnus tej szkoły wypadł dość korzystnie dla mnie, bo z mojej drużyny w pierwszej dziesiątce najlepszych znalazło się aż pięciu moich uczniów. Prymusem został mój uczeń Kotarba z Krakowa, inni moi podopieczni ulokowali się na trzeciej, czwartej, piątej i siódmej pozycji. Ja natomiast, mimo tak dobrych wyników, musiałem odpokutować aż trzykrotny areszt. Ale nie tylko ja, bo codziennie do raportu karnego stawało najmniej trzech

lub czterech instruktorów. Dowódca kapitan Czerkaski (były oficer armii austriackiej) był surowy i bezpardonowy, a nasza kompania była obiektem drwin i ironicznych uwag ze strony innych. Kiedy bowiem inne kompanie były już po obiedzie, kadra szkolna musiała jeszcze za karę maszerować po dziedzińcu i śpiewać, a także padać na ziemię na komendę: „lotnik, kryj się”.

W jesieni rozpoczął się drugi turnus i przyszli na szkolenie kawalerzyści i artylerzyści. Na wiosnę zaproponowano instruktorom przeniesienie do Warszawy do nowopowstającego szwadronu łączności przy 2. Dywizji Kawalerii. Warunkiem była umiejętność jazdy konnej, którą potwierdziła większość kandydatów, choć tak naprawdę niewielu z nas miało do czynienia z końmi. W marcu 1935 roku zameldowaliśmy się w nowej jednostce. Byliśmy zadowoleni, bo w Warszawie mieszkańcy z większą sympatią odnosili się do wojska niż w Krakowie. Kadra oficerska skompletowana była z podoficerów zawodowych z różnych jednostek. Żołnierze rozmieszczeni zostali w dwóch dużych salach na pierwszym piętrze i parterze. Mnie wyznaczono na komendanta sali. Młody rocznik pochodził przeważnie z województw krakowskiego i śląskiego i wszyscy już byli wyszkoleni w jeździe konnej. Stary rocznik pochodził z Wilna, Grodna i Warszawy i oni byli opóźnieni w służbie wojskowej ze względu na liczne wyroki sądowe. Widocznie jednostki, które ich przysłały, chciały się pozbyć tego trudnego elementu. Konie trzymaliśmy w starych stajniach po szwadronie honorowym prezydenta Rzeczypospolitej. Gdzieś po dwóch tygodniach instruktorzy zaczęli już ostrą jazdę konną. Ja spadłem tylko jeden raz na ujeżdżalni, na skutek niewłaściwego trzymania się kolanami podczas jazdy bez strzemion. Inni koledzy spadali głównie przy pokonywaniu przeszkód. Zaczęły się też ćwiczenia z nowym sprzętem – były to taczanki, z których rozwijało się linie telefoniczne. Koła miały ogumowanie i specjalne urządzenia do manipulacji bębni. Już w maju 1935 roku byliśmy na zgrupowaniu w Ciechanowie, a w sierpniu wyjechaliśmy całą Dywizją Kawalerii na manewry stałe, a potem ruchome. Objechaliśmy województwo łódzkie, radomskie, sandomierskie, lubelskie i część łwowskiego, co było bardzo wyczerpujące, bo często całe noce spędzaliśmy na koniu. Zakończeniem manewrów była defilada przed marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem¹⁸ na polach pod Zgierzem. Nie widziałem nigdy tyle wojska, co tam. Oprócz naszej Dywizji Kawalerii brało udział kilka dywizji piechoty oraz Samodzielna Brygada Kawalerii z Poznania. W okolicznych wioskach w studniach nie było już wody, a kwatery szukało się przez całą noc. Wreszcie załadowaliśmy się w Łodzi na pociągi transportowe i wróciliśmy do Warszawy.

Wypada mi tutaj wspomnieć jedno historyczne zdarzenie, w którym brałem udział. Była piękna niedziela majowa, dostałem przepustkę i z dwoma kolegami poszliśmy do Parku Liseckiego¹⁹. Po powrocie do koszar dowiedzieliśmy się, że obowiązuje żałoba narodowa, bo zmarł marszałek Józef Piłsudski. Na drugi dzień zostałem wyznaczony w skład delegacji szwadronu, która udała się dwoma motocyklami z przyczepą do Belwederu dla złożenia hołdu zmarłemu. Przed budyn-

¹⁸ Edward Śmigły-Rydz (1886–1941) od 1935 roku był Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

¹⁹ Chodzi zapewne o Park Praski w Warszawie, którego główna aleja nosi imię Kazimierza Liseckiego.

kiem stała długa kolejka, którą ominęliśmy i wjechaliśmy na dziedziniec pałacu. Wtedy nas filmowano. Przy wejściu wpisaliśmy się do księgi kondolencyjnej i weszliśmy do głównego holu, gdzie stała trumna okryta kirem, a wokół niej warta honorowa, rodzina i dużo oficjeli. Nasz szwadron został wyróżniony dzięki dowódcy kapitanowi Brodzikowskiemu²⁰, który był ulubieńcem dowódcy Dywizji generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, bliskiego współpracownika Piłsudskiego.

Pod koniec września 1935 roku zostaliśmy zwolnieni do cywila i powróciliśmy do domów. Ogólnie rzecz biorąc, byłem zadowolony z odbycia służby wojskowej. Przeszedłem egzamin hartu, wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Poznałem wielu przyjaciół, a znajomości te były najtrwalsze i każdy kolega z wojska spotkany po wielu latach był mi nadal bardzo bliski. Nawet w pracy zawodowej podobnych przyjaciół nie znalazłem. Zmęźniałem w wojsku, dużo się nauczyłem i ukształtowałem swój charakter. Kryzys gospodarczy powoli dobiegał końca, ale byłem bezrobotny, podobnie jak moi koledzy z wojska. Najbliższym przyjacielem był Eryk Grygiel, który mieszkał w Ligocie. Spotykaliśmy się niemal codziennie i pewnego razu pomogliśmy bratu Karolowi pomalować dwa mieszkania i zarobiliśmy parę złotych jako pomocnicy malarscy. Postanowiliśmy jednak zabiegać o stałą pracę i zwróciliśmy się do Wspólnoty Interesów Górniczo-Hutniczych w Katowicach²¹, motywując prośbę pierwszeństwem zatrudniania mężczyzn po odbyciu służby wojskowej. Koledze Grygielowi udało się szybciej załatwić pracę w administracji nieruchomości, mieszczącej się w tym samym budynku co Dyrekcja Kopalni Katowice. Zatrudniony został w księgowości, gdzie było dużo zadłużeń w płatnościach czynszowych oraz bałagan, który celowo robili odchodzący Niemcy. Dyrektorem był inżynier Antoni Misiak ze Lwowa; pracowało też sporo byłych wojskowych. Nadal przeważali jednak Ślązacy. Wkrótce kolega Grygiel załatwił mi posadę pracownika tymczasowego z nowym angażem co dwa miesiące. Pracowałem na takich niskich warunkach przez dziewięć miesięcy. Ale dzięki nadgodzinom i pracy w niedzielę zarobek przekraczał zasadniczą stawkę 90 zł miesięcznie. Po tym czasie został uwzględniony mój wniosek o przyjęcie na etat i otrzymałem stanowisko w grupie A. Po trzech latach miałem już grupę B i przysługiwały mi dwie tony węgla. Na prace dorywcze udało się w międzyczasie wciągnąć brata Ryszarda i jednego z kolegów. Przez cały czas mieliśmy płatne nadgodziny, co jednak odbijało się na zdrowiu. Zacząłem nosić okulary, a w 1938 roku zachorowałem na dyfteryt²². Po tej chorobie byłem bardzo wycieńczony, ale sport i turystyka pozwoliły mi dojść do równowagi. Natomiast Ryszard zachorował na zapalenie płuc i musiał przerwać pracę.

Pracując we Wspólnocie zauważyliśmy, że niemieccy urzędnicy szczególnie ściągają zaległe należności z polskich lokatorów, a ulgowo traktują Niemców zajmujących wille na przedmieściach Katowic. Ja starałem się działać odwrotnie

²⁰ Zapewne chodzi o Zbigniewa Brodzikowskiego (1907–1978), wówczas kapitana, potem podpułkownika.

²¹ Wspólnota Interesów Górniczo-Hutniczych, koncern górniczo-hutniczy z mieszanym kapitałem niemieckim i amerykańskim utworzony w 1929 roku i przejęty przez państwo polskie w 1936 roku.

²² Dawna nazwa choroby zakaźnej – błonicy.

i pomagałem rozkładać na raty opłaty polskim robotnikom. Zdobyłem sobie zaufanie mieszkańców Bogucic oraz Zawodzia i dzięki temu dowiadywałem się o zebraniach organizacji hitlerowskich²³ w niektórych domach mieszkalnych podległych naszej administracji. Tuż przed wojną zmuszony byłem poinformować o tym dyrektora Misiaka, z pominięciem kierownika działu, który sprzyjał Niemcom.

Poza pracą zawodową zaangażowany byłem w pracę społeczną i ćwiczenia w Oddziałach Młodzieży Powstańczej. Dwa razy w tygodniu spotykaliśmy się w sali gimnastycznej lub na boisku, organizowaliśmy obozy szkoleniowe, zawody sportowe i strzeleckie, ćwiczenia nocne oraz wojskowe razem ze Związkiem Powstańców Śląskich. Wyjeżdżaliśmy poza Katowice na zloty w Wiśle, a kajakami płynęliśmy z Goczałkowic do Starego Bierunia. Ostatni obóz dla instruktorów odbył się w czerwcu 1939 roku w Buczkowicach pod Bielskiem, gdzie prowadziłem szkolenie wojskowe. W całym tym ruchu moimi stałymi współtowarzyszami byli: Eryk Grygiel, Franciszek Galbierz, Paweł Kandziora, Paweł Pieczka, Walter Pacha, Eugeniusz Szeliga, Gerard Rzepka oraz wielu innych. Awansowaliśmy do władz okręgu katowickiego Oddziałów Młodzieży Powstańczej i byliśmy na zmianę komendantami, sekretarzami itp. Tuż przed wojną przygotowywaliśmy się do eliminacji powiatowych w lekkiej atletyce. Zawody miały odbyć się 3 września 1939 roku, zakupiliśmy różne nagrody i wszystko było związane na ostatni guzik.

Wrzesień 1939 roku

Brat Karol odbywał czynną służbę wojskową w 73. Pułku Piechoty w Katowicach i dosłużył się stopnia kaprała. Brat Franek kontynuował pracę naukową w Instytucie Śląskim, Ryszard był bez pracy, a ojciec nadal był zatrudniony w Sądzie Okręgowym jako sekretarz i działał w Związku Powstańców Śląskich. Sytuacja polityczna była już napięta. Członkowie niemieckich organizacji wojskowych afiszowali się w białych pończochach²⁴. Coraz częstsze były ich zbiórki i wymarsze do lasów pszczyńskich lub na Zadole, nad Przemszę i w inne miejsca. Oddziały Młodzieży Powstańczej deptały im po piętach. Także inne organizacje polskie aktywizowały swoją działalność. Przy komendzie głównej Związku Powstańców Śląskich formowano ochotnicze bataliony obrony, które pilnowały granic, zaczęto też budować schrony przeciwlotnicze. Dużo mężczyzn powoływano do armii już od wiosny. 23 sierpnia 1939 roku poszedłem normalnie do pracy. Brakowało tam już wielu kolegów. Zamiast zwykłej pracy dyrektor nakazał wszystkim pójść do piwnicy i pakować akta do przygotowanych dużych drewnianych skrzyń. Około godziny 14 zwolnił nas na obiad, po którym mieliśmy wrócić do pracy. Wiedziałem już, że w domu będzie czekać na mnie wezwanie do jednostki. Matka wraz z obia-

²³ Przed wybuchem II wojny światowej w Polsce działała legalna nazistowska partia polityczna (Partia Młodziemiecka), która największe wpływy miała wśród członków mniejszości niemieckiej w województwie śląskim.

²⁴ Białe pończochy były, obok białej koszuli z czarnym krawatem, krótkich czarnych spodni i opaski na ramieniu z napisem JdP, częścią mundurów noszonych przez członków Partii Młodziemieckiej (Jungdeutsche Partei).

dem dała mi mały druczek z rozkazem stawienia się w ciągu dwóch godzin w jednostce wojskowej – Kompanii Telegraficznej 55. Dywizji Rezerwowej, Grupa Operacyjna Śląsk, Armia Kraków. Zabrałem moją małą apteczkę turystyczną, latarkę elektryczną, przybory do golenia oraz parę fotografii rodzinnych. Z koszar 73. Pułku Piechoty przeniesiono nas zaraz do Brynowa, umundurowanie otrzymaliśmy w Fabryce Mydła²⁵, a ze sprzętem telefonicznym na furmankach staliśmy na boisku KS „Rozwój”. W dużej restauracji obok rozlokowaliśmy się na noc. Przez parę dni uzupełnialiśmy sprzęt i formowaliśmy drużyny, plutony itp. Dużo kolegów poszło na noc spać do swoich domów, ja też jedną noc spędziłem u siebie. Nie było żadnego z braci, a ojciec przypadkiem zjawił się i poszliśmy na piwo do „Ede-nu” (lokalu w naszym budynku). Rozmowa była inna niż zwykle, bo wiedzieliśmy, że ten moment jest przełomowy. Pożegnaliśmy się – jak się okazało – aż na osiem lat. Zaciemnionymi ulicami poszedłem do jednostki, a po drodze spotkałem serdeczną koleżankę Marysię Koźlińską, która dała mi na pamiątkę srebrny medalion z łańcuszkiem. Przez wiele lat go nosiłem, zgubiłem gdzieś w końcu 1943 roku.

Jednostka brata Karola od dłuższego czasu pilnowała rejonu granicznego koło Knuruwa, toczyli tam liczne potyczki z Niemcami. Moja jednostka wymaszerowała do Tychów i zajęła budynki browaru. Zainstalowaliśmy centralę telefoniczną, a drużyny i patrole budowały linie polowe dla oddziałów ukrytych w lasach. Moja drużyna obsługiwała centralę. Gdy 1 września 1939 roku rozpoczęła się wojna, w Tychach pojawili się pierwsi ewakuowani z Gierałtowic, Kochłowic i Nowej Wsi. Były też grupy uzbrojonych powstańców śląskich, które walczyły na granicy. Sporadycznie latały samoloty niemieckie. Po południu moja drużyna przekazała centralę innej i wymaszerowała do Bierunia Starego, skąd dołączyliśmy do centrali urzędu pocztowego i stamtąd przez całą noc budowaliśmy linię polową do Kobióra, docelowo do urzędu gminnego. Kobiór był atakowany 1 września przez niemieckie czołgi i piechotę. Atak odparty został przez 12. Pułk Piechoty²⁶, dotarli też żołnierze z rozbitych jednostek z Rybnika oraz Strzelców Podhalańskich²⁷. Budowę linii ukończyliśmy dopiero nad ranem. Kilku telefonistów usadowiono na przedpolach, ja z resztą drużyny ulokowałem się w wielkiej stodole na skrzyżowaniu dróg do Gostyni. Już od trzech dni prawie nie spałem i teraz na sianie udało mi się przespać parę godzin. Koledzy byli zdziwieni, że mogłem spać wśród gradu pocisków i ustawicznej strzelaniny. Przed południem dostałem rozkaz ściągnięcia jednego telefonisty z przedpola i pojechałem na rowerze szosą prowadzącą do Gostyni. Telefonista wyszedł mi naprzeciw, był bardzo zmęczony całonocną obsługą telefonu na pozycjach piechoty. Na skrzyżowaniu dróg Kobiór – Pszczyna – Gostynia oraz drogi leśnej na Stary Bieruń stał oficer, który alarmował, że od Pszczyny atakują czołgi. Nacisnąłem pedały i przejechałem przed zamaskowanym stanowiskiem naszych działek przeciwpancernych, które szykowały się do walki.

²⁵ Chodzi zapewne o fabrykę chemiczną Ericha A. Kołontay’a na Brynowie (obecnie dzielnica Katowic).

²⁶ 12. Pułk Piechoty wchodzący w skład krakowskiej 6. Dywizji Piechoty, jeden z pododdziałów tego pułku walczył w okolicach Pszczyny.

²⁷ Chodzi o oddziały 21. Dywizji Piechoty Górskiej.

Na kwaterze otrzymałem rozkaz, aby z większością drużyny oraz wozem sprzętowym udać się tą samą drogą, którą przybyliśmy, czyli do Starego Bierunia, i poprawić słyszalność linii budowanej w nocy. Przy wjeździe na drogę leśną było tłoczno, w panice przemieszczały się wozy amunicyjne, tabory różnych jednostek i jeńcy niemieccy. W tym czasie nasza artyleria rozpoczęła ostrzał, co płoszyło konie, a furmanki grzęzły na piaszczystej drodze i tworzył się zator. W pewnym momencie, o parę kroków za naszym wozem, ukazał się jeden konny artylerzysta z czterema końmi w pełnym galopie. Krzyknąłem, żeby mi oddał jednego. Rozplątał więc wodze, a ja złapałem konia za pysk, mocno trzymałem i osadzałem, bojąc się, że mnie strati. Wysunąłem lewą stopę do przodu, ażeby mieć lepsze oparcie, niestety koń był rozgorączkowany i ploszył go huk naszej artylerii, wtedy nadepnął mi na wysuniętą stopę, w której odczułem jakiś zgrzyt. Koń jednak był opanowany, wsiałem na niego i pogalopowałem za wozem, choć lewa stopa zwisała mi bezwładnie.

Kolumna coraz równiej szła ku Staremu Bieruniowi. I tak dojechaliśmy do głównej szosy prowadzącej do Oświęcimia. Poszczególne wozy udały się do swoich jednostek. Kilkunastu kanonierów konnych opanowało się do tego stopnia, że postanowili wrócić do swoich stanowisk. Oddałem im mojego konia, a sam usiałem na skraju szosy i zdjąłem buta z lewej nogi. Reszta drużyny odmaszerowała do zgrupowania kompanii, aby kontynuować zadania konserwacji linii. Siedziałem i obserwowałem ruch na drogach. Zauważyłem nadjeżdżający samochód osobowy, zatrzymałem go i poprosiłem cywilnego kierowcę, aby mnie zawiózł do najbliższego punktu opatrunkowego. Po drodze na różnych skrzyżowaniach oficerowie kierujący ruchem pytali się nas, czy widzieliśmy Niemców. Gdy samochód dostał się w potok pojazdów, nie było szansy odwrotu i musieliśmy jechać naprzód. W ten sposób 2 września wieczorem znalazłem się w szpitalu wojennym w Krakowie.

Kraków już od 1 września był mocno bombardowany. Szpital wojenny (przed wojną wojskowy)²⁸ znajdował się dość blisko linii kolejowej, obiektów wojskowych i magazynów. Dlatego bomby padały bardzo blisko, wydawało się, że zaraz trafią w mury szpitalne. Sala dla lekko rannych (Oddział IV) mieściła się na parterze. Było to duże pomieszczenie, w którym przebywało kilkadziesiąt osób. Zrobiono mi prowizoryczny opatrunek i zaopatrzone w kije, abym mógł się poruszać. Na sali znajdowali się już ranni z tego samego odcinka działań: Pszczyzny, Kobióra i okolicy. Co jakiś czas były naloty, a po każdym pojawiali się nowi ranni czekający na noszach swojej kolejki. Słysząc było jęki, niektórzy umierali nie doczekawszy się pomocy. Na salę przychodzili od czasu do czasu kapelani, spełniając posługi religijne. 4 września zakomunikowano nam, że kto tylko czuje się na siłach, niech zejdzie przed szpital, gdzie czeka kolumna autobusów. Zabrałem mój chlebak, do którego przytroczyłem lewy but, i na kulach wdrapałem się do autobusu. Jechaliśmy w kierunku Tarnowa. Pogoda była piękna, co szczególnie sprzyjało lotnictwu niemieckiemu. Po drodze spotykaliśmy kolumny naszego wojska. W Tarnowie ulokowano nas w opróżnionym domu starców żydowskich, ja znalaz-

²⁸ Ówczesny Wojskowy Szpital Okręgowy w Krakowie, dzisiaj przy ul. Wrocławskiej.

złem się w małym pokoju z pięcioma innymi osobami. Obok mnie leżał dentysta z Pszczyny, który miał poważniejsze rany i cierpiał bardziej. Mnie nareszcie zbada-no dokładnie i nałożono gips na lewą stopę.

Tarnów również był mocno bombardowany. Co chwilę schodziliśmy do piwnicy, a rano przed szpitalem stanęły furmanki z ciężko rannymi. Nam zaproponowano, że kto może, niech uda się do niedalekiego szpitala wojskowego²⁹. W małych grupach, częściowo już zaznajomionych ze szpitalem w Krakowie, udaliśmy się do nowoczesnego szpitala wojskowego, który był już prawie pusty. Szukaliśmy sobie miejsca w różnych salach, gdzie pełno było pokrwawionej bielizny, a czasami leżało parę ciężko rannych, dogorywających pacjentów. W szpitalu było tylko jeszcze dwóch lekarzy. Gdzieś na trzecim piętrze była sala, w której znajdowało się kilku lekko rannych i tam się ulokowaliśmy. W czasie nalotów ześlizgiwaliśmy się po poręczach do schronów. Po ostatnim powiedziano nam, że przed szpitalem stoi kolumna aut sanitarnych, która nas odwiezie na dworzec w celu dalszej ewakuacji na wschód. Na dworcu kolejowym, którego hala już była zniszczona, wśród gruzów i szkła czekaliśmy najpierw na peronach, ale potem dowlekliśmy się do pociągów ewakuacyjnych, stojących w pewnym oddaleniu. W naszej paczce ze szpitala w Krakowie byli: starszy ułan (ranny w piersi), starszy szeregowy (przestrzał lewej nogi), no i ja. Ulokowaliśmy się w wagonie pulmanowskim w jednym przedziale. Pod wieczór pociąg zaczął powoli ruszać. Trzeba dodać, że Tarnów był dużym węzłem kolejowym, przez który przechodziły liczne transporty wojskowe. Podczas oczekiwania byliśmy świadkami silnej i skutecznej obrony przeciwlotniczej, odpierającej ataki samolotów niemieckich. Wtedy spotkałem dwóch kolegów: Stachowskiego z Bogucic (kaprała) oraz Kowalczyka z Batalionu Telegraficznego w Krakowie. Porozmawialiśmy i przekazaliśmy sobie informacje, kto gdzie walczył i kogo ze znajomych spotkał.

Pociąg jechał powoli, co chwilę się zatrzymując. Koło mnie usiadła młoda piętnastoletnia dziewczyna. Ze zmęczenia oparła głowę o moje ramię i zasnęła. W ciągu dnia codziennie byliśmy świadkami nalotów, ostrzałów z karabinów maszynowych i samolotów myśliwskich. Odżywialiśmy się głównie owocami, które znajdowaliśmy w czasie postojów. Brak było wody, ale za to stały na różnych stacjach wagony towarowe z transportami napojów alkoholowych. Przez okna podano nam kilkanaście butelek wódki i spirytusu, ale używaliśmy ich tylko do oczyszczenia twarzy i nóg, nikt tego nie konsumował. Raz, gdy pociąg stał dość długo, z trudem o kulach zeszliśmy z nasypu do jakiegoś gospodarstwa. Była tam studnia, ale na jej dnie nie było wody. Na jakiejś większej stacji przenieśliśmy się do innego pociągu, bo nasz miał skończyć bieg. I znowu jechaliśmy przez kilka dni. Jednego razu transport stał na wysokim nasypie, a w dali widać było tunel, przez który galopem przejeżdżała nasza artyleria. Zajmowała stanowiska, otwierała ogień, a z drugiej strony strzelała artyleria niemiecka. Znaleźliśmy się w środku pola walki. Innym razem przejeżdżaliśmy przez piękną wioskę z malowniczymi murowanymi domami, która cała ogarnięta była ogniem, a dalej przez płonącą stację kolejową. Dojechaliśmy do stacji Tarnobrzeg akurat w chwili nalotu. Pociąg stanął,

²⁹ Szpital Wojskowy w Tarnowie przy obecnej ul. Piłsudskiego.

ludzie wyskakiwali i chowali się w lejach po poprzednich bombardowaniach. Zrobiłem tak samo, a gdy pociąg ruszył, nie zdążyłem do niego dobiec i zostałem sam. Doszedłem do jakiejś drogi, którą ciągnęli ewakuujący. Spotkałem nawet znajomych z Katowic, właścicieli sklepu spożywczego z ulicy Plebiscytowej, z których synem chodziłem do szkoły. Jakaś furmanka, widząc kaprała-inwalidę, zaoferowała mi miejsce. I tak jechaliśmy lasami do stacji Rozwadów, gdzie nad ranem stanął pociąg ewakuacyjny, który ruszył do Rawy Ruskiej. Byliśmy już niedaleko celu, gdy linię zablokowały silne naloty bombowców. Zeszliśmy z nasypów kolejowych do jakiejś drogi, którą przejeżdżał samochód ciężarowy z saperami. Zabrali mnie aż pod Jarosław i wysadzili na miejscu zgrupowania 6. Batalionu Telegraficznego³⁰. Zgłosiłem się tam, ale Batalion był gotów do wymarszu i wsadzono mnie do samochodu wojskowego, który jechał do Żółkwi. Tam zgłosiłem się do koszar jakiejś jednostki. Właśnie szykowano barykady do obrony, obecni byli między innymi policjanci ze Śląska, którzy już tu dotarli. Podchorąży lekarz dał mi furmankę i kazał łżej rannych odstawić do Kamionki Strumiłowej. Zanim tam dotarliśmy, spaliliśmy w koszarach konnych, gdzie było czynne radio. Tam po raz ostatni słyszałem komunikaty i program nadawany przez Polskie Radio z Wilna. W Kamionce ulokowano nas w ukraińskim domu kultury, gdzie powstał szpital tymczasowy. Byliśmy pierwszymi pacjentami, a pielęgniarkami były członkinie Ochotniczej Szkoły Sanitariuszek. Zaoferowałem im pomoc i spisywałem personalia przybywających rannych. W południe było nas już pięćdziesięciu. Zwrócono się do mnie, abym poszedł do komendanta miasta i dowiedział się, jaka jest sytuacja. Przyjął mnie major, który wyjaśnił, że sytuacja jest bardzo poważna, a do otoczonego Lwowa prowadzi tylko jedna droga. Poradził, żeby łżej ranni, jeśli nie chcą dostać się do niewoli, opuścili szpital tymczasowy i radzili sobie na własną rękę. Wróciłem do szpitala, gdzie siostry zapewniały mnie, że na pewno nie będzie bombardowań, bo w Kamionce jest duża kolonia niemiecka. Prawie w tej samej chwili mury zatrzęsły się od wybuchu bomb, zaczęli napływać ranni, a dwaj lekarze mieli pełne ręce roboty. Także siostry opatrywały nawet bardzo skomplikowane rany, asystowałem jednej prawie przez trzy godziny. Wreszcie z moimi kolegami z dotychczasowej ewakuacji postanowiliśmy opuścić szpital i wyruszyć dalej. Wyszliśmy na ulicę, gdzie stały puste furmanki wojskowe. Oficer na koniu pozwolił nam ulokować się na jednej z nich i tak dojechaliśmy do Buska, gdzie wysiedliśmy z kolegą Staszkiem. W Busku nie było żywej duszy, tylko na ulicach leżały ulotki niemieckie wzywające do poddania się. Chodziliśmy od domu do domu, pukaliśmy i wreszcie otwarło nam starsze małżeństwo. Pani była siostrą Wincentego Witosa. Nakarmili nas, dali czystą zmianę bielizny i kazali się wyspać. Po południu ruszyliśmy dalej. I znowu sprzyjało nam szczęście. Na horyzoncie pojawiła się samotna furmanka wojskowa z sześcioma umundurowanymi żołnierzami z Dywizjonu Pociągów Pancernych z Niepołomic³¹, a więc z jednostki Staszka. Ruszyliśmy z nimi do Złoczowa, a po drodze zatrzymaliśmy się na nocleg w jednej wsi. Gospodarz Ukrainiec przyjął nas

³⁰ 6. Batalion Telegraficzny stacjonował przed wybuchem wojny w Jarosławiu.

³¹ Chodzi o 2. Dywizjon Pociągów Pancernych, którego pododdziały brały udział w walkach na Górnym Śląsku w składzie 6. Dywizji Piechoty.

przyjaźnie, a gdy zaoferowaliśmy mu przenośną kuźnię polową, która była już niepotrzebna i znajdowała się na furmance, upiekł nam olbrzymią gęś.

Na drugi dzień dotarliśmy do Złoczowa. Miasto okolone było wzgórzami. Koncentrowały się tam jednostki wojskowe. Gdy dojeżdżaliśmy do skraju miasta, rozpoczął się ogromny nalot samolotów niemieckich, ale silna artyleria odparła atak. Zameldowaliśmy się w komendzie garnizonu. Kazali nam jechać do Tarnopola. Droga była w tym czasie już mało ruchliwa i pod wieczór byliśmy na rogatkach miasta. Stacjonowało tam dość dużo wojska. Zgłosiłem swoje usługi, bo choć nogę miałem w gipsie, mogłem obsługiwać centralę. Zjedliśmy wojskową supkę i znowu z całą kolumną wozów ruszyliśmy w drogę. Garnizon opuszczał miasto i kierował się do granicy rumuńskiej na Trembowłę, ale wkrótce zostaliśmy zawróceni i wróciliśmy do Tarnopola, gdzie ulokowaliśmy się w małych domkach u gościnnych gospodarzy i spaliśmy twardo aż do wczesnego przedpołudnia. Rano usłyszałem rozmowę gospodyni z sąsiadkami, że w mieście są Rosjanie³² i rozbrajają nasze wojsko. Wstaliśmy szybko i z pielęgniarką oraz kilkoma rannymi udaliśmy się do szpitala wojskowego. Po drodze spotkał nas radziecki oficer, który obiecał załatwić transport dla rannych. Musiałem mu oddać mój mały rewolwer. Doszliśmy do rynku, gdzie na polskie samochody ładowano broń, a wokół stali oficerowie polscy i radzieccy wojskowi. W grupach toczyły się żywe dyskusje, ludzie byli rozgorączkowani. Ze Staszkiem stanęliśmy na chodniku przy narożnym budynku. Wszędzie przechodziły patrole radzieckie. Nagle rozległy się strzały z karabinów maszynowych, powstała panika. Schowaliśmy się w bramie, a potem na półpiętrze. Wreszcie ponadgodzinna kanonada ustała i ruszyliśmy w kierunku szpitala. Po drodze znowu musieliśmy się kryć przed strzelaniną, aż wreszcie dotarliśmy do celu. Krążyły różne plotki, że z kościoła strzelali polscy oficerowie i że wielu odebrało sobie życie.

Do szpitala dotarliśmy 17 września i wtedy kierował nim jeszcze polski lekarz, ale wkrótce Rosjanie wyznaczili swojego oficera, a polski został zastępcą. Później następowały kolejne zmiany, a polskich oficerów wywożono. W szpitalu rozdzielono mnie ze Staszkiem, bo jego stan się pogorszył. Trafiłem do sali, gdzie znajdowało się czterdzieści osób. Spotkałem tu kilku znajomych, m.in. kolegę z katowickiego gimnazjum. Na prawo ode mnie leżał Janek Murek, z którego starszym bratem kolegowałem się. Janek miał zdać tylko jeden semestr i byłby lekarzem weterynarii.

Przez całe dwa tygodnie bez przerwy w mieście słychać było strzały. Nikt nie znał ich przyczyny, ale w mieście obowiązywał stan wojenny i pielęgniarki otrzymały od komendanta rozkaz odebrania rannym wszelkiej broni, jaka jeszcze była w ich posiadaniu. Postawiono 24-godzinne ultimatum i grożono represjami. Pamiętam, jak pielęgniarki z naszej sali wyniosły dużą tacę pełną rewolwerów. Byliśmy traktowani jak jeńcy wojenni, co dwa dni kazano nam wypełniać ankiety personalne. Niektórzy za każdym razem zmieniali dane, co spowodowało później ich wywiezienie. Na salę przychodzili do nas radzieccy oficerowie polityczni i prowadzili z nami pogadanki i dyskusje. Czas leciał, jedzenie było dobre, ponad-

³² Chodzi o oddziały sowieckiej Armii Czerwonej.

to uruchomiono kantinę, gdzie można było kupić dobre rzeczy ze starych zapasów. Janek kupił nawet pięciokilową puszkę pysznej szynki eksportowej i po cichu konsumowaliśmy ją. Janek (jako oficer) dostał dużą wypłatę i bał się trzymać taką sumę przy sobie, dlatego zrobił schowek, a mnie dał kilkaset złotych, które później bardzo się przydały. Kierownictwo szpitala dowiedziawszy się, że Janek jest po studiach medycznych, zaangażowało go do prowadzenia laboratorium. Ja zostałem pomocnikiem Janka. Upływał już miesiąc mojego pobytu w szpitalu. Zdjęto mi gips, ale noga była jeszcze słaba. W końcu komisja uznała mnie za wyleczonego i z innymi wypisywanymi zebrano nas w holu. Przyszedł też Janek w płaszczu bez gwiazdek, ale kazano mu zawrócić. Niestety, później zginął w Katyniu³³.

Rosyjskie samochody ciężarowe zawiozły nas na przedmieścia Tarnopola do koszar artyleryjskich. Ulokowano nas w dużych szopach, gdzie przed wojną musiały stać działa. Rano zaprowadzono wszystkich do koszar i oddzielono oficerów, podoficerów i szeregowców. Potem oficerowie radzieccy zaczęli nas przesłuchiwać. Głównie pytano o pochodzenie, dane osobowe oraz udział w działaniach wojennych. Potem przewieziono nas do Złoczowa i ulokowano w klasach jakiejś szkoły. Tam spędziliśmy noc, a rano dołączyli do nas kolejni żołnierze i było nas już około 120 osób. Sformowano kolumnę marszową i poszliśmy w kierunku Brodów, eskortowani przez radzieckich żołnierzy z długimi karabinami i osadzonymi na nich bagnetami. W niektórych większych miejscowościach, przez które przechodziliśmy, ludność ukraińska wygrażała nam, a nawet rzucała kamieniami, ale też pojedyncze osoby (zwłaszcza kobiety) ukradkiem dawały nam owoce albo chleb. Od chwili wyjścia ze szpitala regularne jedzenie się skończyło, ja miałem jeszcze zapasy w chlebaku, ale noga coraz bardziej mi dokuczała i w końcu skapitulowałem i usiadłem. Pokazałem eskortującemu mnie żołnierzowi nogę i powiedziałem, że nie mogę iść. Zapaliłem papierosa i poczęstowałem go. Był to człowiek około 50 lat, dość wyrozumiały. Usiadł koło mnie, a po chwili nadjechały radzieckie czołgi. Żołnierz zatrzymał jeden z nich, wdrapaliśmy się na niego i dojechaliśmy do koszar.

Obóz polskich jeńców mieścił się w koszarach przedwojennego 22. Pułku Ułanów Podkarpackich. Zgrupowano tam około 20 tysięcy naszych żołnierzy. Codziennie wysyłano ich batalionami na różne roboty ziemne. Jedzenia prawie nie było. Przyjeżdżała raz dziennie kuchnia polowa serwująca cienką kaszę, ale nigdy nie starczało jej dla wszystkich, a jeden chleb dzielono na ośmiu ludzi. Codziennie robiono nowe spisy i trzymano nas po kilka godzin na zbiórkach batalionów, które utworzono w obozie. Ja i moi koledzy ze szpitala (Staszek z Piotrkowa i Franciszek Zabawski ze Starego Sącza) ulokowaliśmy się w przechowalni siodłał. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Zrobiliśmy składkę i przez drewniany parkan namówiliśmy kobiety z okolicznych domostw do ugotowania nam jakiegoś jedzenia. Przyniosły nam dwa wiadra zupy z kartoflami na kościach. W parkanie były też dziury i czasami sami chodziliśmy po prowiant. O dalszych ucieczkach na początku nie było mowy, bo wokół byli nieprzyjaźnie nastawieni Ukraińcy oraz strażni-

³³ Podporucznik rezerwy Jan Alojzy Murek był oficerem 3. Pułku Ułanów, jako jeden z jeńców obozu sowieckiego w Starobielsku został zamordowany w Charkowie w kwietniu 1940 roku.

cy w cywilnych ubraniach z czerwonymi opaskami, a także patrole żołnierzy radzieckich, które zaczęły pilnie strzec parkanu. Wielu jednak planowało ucieczkę, bo stale chodziły słuchy, że nasz batalion ma wyruszyć w głąb Związku Radzieckiego, tak jak już niektóre wymaszerowały. Dlatego ze Staszkiem i Frankiem obmyślaliśmy sposób wydostania się z obozu. Pewnego dnia wzięliśmy wiadra do prania bielizny i zbliżyliśmy się do parkanu sąsiadującego z leśną gęstwiną. Od strony wewnętrznej też rosły rzadkie i niezbyt wysokie drzewa sosnowe. Wszyscy trzej tam się ulokowaliśmy, schowaliśmy się w dziurach i jeden drugiego obserwował. Za parkanem dojrzałem rów przeciwdeszczowy i kiedy przeszedł patrol, szybko przeczłagaliśmy się do tego rowu, a potem dalej do gęstego lasu. Kluczyliśmy dość długo, aż wreszcie trafiliśmy na leśną drogę, którą dotarliśmy do wioski. Na skraju lasu spotkaliśmy kobietę – Polkę, która udzieliła nam cennych informacji i obiecała wieczorem przysłać po nas sprytnego czternastoletniego chłopca. Tak też się stało. Chłopiec zaprowadził nas do polskiej chaty, gdzie mogliśmy się najeść i wypać oraz zamienić mundury na cywilne ubrania. Ukrywaliśmy się jeszcze przez trzy dni, a potem powoli wychodziliśmy do wsi, a nawet z pewną panną udałem się do małej herbaciarni w mieście. Była to Maria Hauptmanówna, której matka była Polką, ale dziadek Ukraińcem. Dowiedzieliśmy się, że wkrótce ma przejeżdżać pierwszy pociąg do Lwowa. Przygotowaliśmy się odpowiednio i z rana byliśmy na stacji. Pociąg był przepełniony polskimi żołnierzami i jechał ze Związku Radzieckiego do granicy z Generalnym Gubernatorstwem przez Lwów. Jeńcy z zachodnich regionów Polski, na podstawie porozumienia z Niemcami, mieli jechać do domów (jak ich zapewniano). W rzeczywistości trafiali do niemieckiej niewoli. O wejściu do przedziałów nie było mowy, wspięliśmy się więc do budek, jakie były przed wagonami. Ale liczni cywile z bronią i opaskami zmusili nas do zejścia. Dopiero gdy pociąg ruszył, wskoczyliśmy na drabinki jednego z wagonów i tak dojechaliliśmy do Lwowa.

Lwów i droga na zachód

We Lwowie od razu udaliśmy się do krewnych Marysi³⁴ mieszkających na Zboiskach. Było to młode małżeństwo, które dobrze sobie radziło nawet w tych trudnych czasach. Przez kilka dni spaliśmy u nich, staliśmy w długich kolejkach po czarny chleb i staraliśmy się o prowiant. Od razu drugiego dnia ze Staszkiem poszliśmy na rekonesans do miasta, gdzie spotkaliśmy różnych znajomych. Nie mając żadnych dokumentów osobistych, zgłosiłem się do Komitetu Śląskiego³⁵, gdzie wydano mi tymczasowe zaświadczenie tożsamości. Oczywiście miałem świadków z Katowic, których wielu spotkałem wokół budynku Komitetu. Lwów był przepełniony uchodźcami z całej Polski zachodniej i centralnej. Nie było mieszkania, gdzie na podłodze nie spaliby ewakuowani. Chodząc po mieście nie spostrześliśmy, że minęła godzina osiemnasta, co oznaczało, że nie mieliśmy już szansy

³⁴ Autor wspomnień nie podaje nazwiska Marysi, ale zapewne adres otrzymał od wspomnianej wcześniej Marii Hauptmanówny.

³⁵ Chodzi zapewne o Śląski Komitet Uchodźczy we Lwowie, na czele którego stał marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny.

na powrót do kwatery przed godziną policyjną. Weszliśmy do jakiejś kamienicy (blisko kościoła Bernardynów), zapukaliśmy do mieszkania na parterze i tam przenocowaliśmy. Następnego dnia dowiedziałem się, że we Lwowie jest przedstawicielstwo Wspólnoty Interesów – koncernu, w którym pracowałem. Było to blisko, przy ulicy Rutkowskiego. Poszedłem tam i zapytałem, czy mógłbym coś skorzystać z tytułu pracy i niepobrania pensji przed wybuchem wojny. Takiej możliwości nie było, ale zaoferowano mi pobyt kwaterunkowy w Brzuchowicach pod Lwowem. Ewakuowano tam pracowników firmy, kilkuset mieszkało w domkach letniskowych. Zgodziłem się na to chętnie. Sytuację naszej trójki i tak trzeba było rozstrzygnąć. Staszek od początku mówił, że będzie wracał do Piotrkowa, a Franek (ojciec licznej gromadki dzieci) także marzył o swoich górach. Ja natomiast chciałem dostać się do armii we Francji. Najpierw wyszykowaliśmy Franka do drogi. Powiększyliśmy mu bandaż na rękę, nauczyliśmy go różnych forteli, którymi miał wzbudzać litość i zaufanie. Ode mnie otrzymał też trochę pieniędzy, po czym poszedł do punktu reewakuacyjnego. Staszek załatwiał swoje sprawy, a ja pojechałem do Brzuchowic. Tam znalazłem miejsce w jednym domku, gdzie był już zakwaterowany między innymi Bolek Kempa, którego znałem. Zacząłem się rozglądać za osobami, mającymi takie same zamiary jak ja, i wkrótce znalazłem kilku chętnych do przekroczenia granicy. Każdy na własną rękę zbierał informacje. Prawie codziennie jeździłem do Lwowa i tam spotykałem wielu przedwojennych znajomych oraz przyjaciół ojca. Najlepszą przysługę oddał mi sekretarz sądowy. Zapoznał mnie z zaufanym, zakonspirowanym oficerem, który wrócił z Francji jako wysłannik tajnych służb. Werbował przede wszystkim ludzi wyszkolonych technicznie. Krążyłem intensywnie po Lwowie, szukając uczestników wyprawy do granicy. Chętny był mgr Koraszewski³⁶, który jednak musiał załatwić jeszcze sprawy rodzinne. Kilka razy odwiedziłem klasztor Bernardynów, gdzie komendantem grupy około 800 powstańców śląskich był porucznik Rudolf Niemczyk³⁷. Radził mi czekać, aż wróci z Węgier jego zaufany agent. Nie posłuchałem go jednak i gdy wyruszałem na granicę, poszedłem się pożegnać. Na zachód trafił dopiero po kilku latach z armią Andersa.

Ślązacy kręcili się przeważnie wokół ulicy Rutkowskiego, klasztoru Bernardynów oraz w Kawiarni Wiedeńskiej. Chodziło się też często do restauracji Fuksa, gdzie można było dobrze zjeść. Pyszne były tam pasztety. Spotykałem wielu znajomych, ale najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa spotkania: z Kilianem Niśkiewiczem³⁸ oraz moim kolegą z Gliwic Pawłem Kandziorą. Niśkiewicz złożył mi kondolencje z powodu śmierci brata Karola. Jak twierdził, w czasie bitwy 73. Pułku

³⁶ Zapewne chodzi o doktora Jacka Koraszewskiego (1908–1969), przed wojną pracownika, a po wojnie dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

³⁷ Rudolf Niemczyk (1894–1964), powstaniec śląski, działacz sportowy (w latach 1923–1924 prezes Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Katowicach), walczył we wrześniu 1939 roku w Katowicach w Batalionach Obrony Narodowej, później żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w latach 1942–1946.

³⁸ Prawdopodobnie chodzi o Kiliana Niśkiewicza (1902–1989) z Rybnika, działacza plebiscytowego i powstańca śląskiego, w czasie II wojny światowej za działalność konspiracyjną więzionego na Pawiaku i w niemieckich obozach koncentracyjnych: najpierw na Majdanku, a potem w Mauthausen-Gusen, skąd został uwolniony po wkroczeniu wojsk amerykańskich.

Piechoty pod Wyrami wszyscy z batalionu brata polegli. Szczęśliwie nie była to prawda, bo (jak się później okazało) brat był tylko lekko poturbowany, a ranny został dopiero pod Tomaszowem Lubelskim i tam dostał się do niewoli. Pawła Kandziorę spotkałem przypadkowo. Jak się okazało, miesiąc przed wojną wyjechał do Francji na akademickie mistrzostwa świata i zdobył tam złoty medal w szabli oraz srebrny i brązowy we florecie i szpadzie. 1 września, wracając do kraju, przekroczył granicę rumuńską. Przez Lwów usiłował dostać się do Krakowa, a potem do Katowic, ale Katowice już były odcięte, a Kraków się ewakuował. Wrócił więc do Lwowa i sypiał gdzieś w schronisku magistrackim. Pokazywał mi zdobyte medale i cały czas mówił o matce, do której był bardzo przywiązany. Namawiałem go, aby wyruszył ze mną, ale on uparł się, by wrócić do Katowic do matki. Udało mu się przedostać do domu i szybko zaangażował się w działalność konspiracyjną, za którą został aresztowany i wysłany do Oświęcimia, gdzie zginął w 1942 roku.

Pod koniec listopada wyruszyłem z umówioną grupą do Stanisławowa. Było nas pięciu: Jacek Skrzydło, Dziemba, Krzempek, Maciejewski i ja. Ze Stanisławowa mieliśmy autobusem jechać dalej na południe i postępować według wytycznych otrzymanych od lwowskiego zakonspirowanego oficera. Jednak sytuacja się zmieniła i skomplikowała, bo w Słotwinie po półgodzinnym postoju do autobusu wsiadł starszy mężczyzna w futrzanej czapce i rozpiętej kurtce, pod którą widać było mundur. Był to komendant miejscowej milicji. Każdemu sprawdzał dokumenty, w końcu całej naszej piątce kazał wysiadać z autobusu i pod eskortą zaprowadził nas na posterunek. Byliśmy dość długo pojedynczo przesłuchiwani. Dali nam kolację (odpłatnie), a na drugi dzień furmanką (za którą też musieliśmy zapłacić) przetransportowano nas do powiatowego posterunku. Tam komendant dyskutował z nami na różne tematy, też społeczno-polityczne. Był ideowym komunistą, który przed wojną siedział w Berezie. Stamtąd przewieziono nas do Nadwórnej. Widzieliśmy, jak ulicą milicja prowadzi różnych mężczyzn. Prawdopodobnie cały rejon podgórski pełen był takich uciekinierów jak my, pragnących przekroczyć granicę. Teraz przesłuchiwano nas w dużej sali, a głównym przesłuchującym był powiatowy komendant. Z tyłu na ławach siedziało dużo przysłuchujących się milicjantów. Jak się później dowiedziałem, wśród nich byli Polacy związani z podziemiem, zbierający informacje o chętnych do ucieczki. Na końcu przesłuchano też komendanta ze Słotwiny, który nas zatrzymał. Wreszcie całej piątce zakomunikowano, że mamy jak najszybciej opuścić teren przygraniczny. Poinformowano nas, że jesteśmy już teraz notowani jako podejrzani o chęć przekroczenia granicy i w razie ponownego złapania grozi nam osiem lat zsyłki na Syberię. Mnie tylko zabrano kalendarzyk kieszonkowy z różnymi notatkami i adresami, częściowo zrozumiałymi jedynie dla mnie. Zrezygnowani skierowaliśmy się na stację kolejową, ale nie było żadnych pociągów osobowych, a towarowy miał przyjechać dopiero za osiem godzin. Kiedy przechodziliśmy przez ulicę, Maciejewskiego zaczęła kobieta w średnim wieku i poprosiła, żeby wszedł z nią do bramy, gdzie da mu chleb. Razem z nim poszedł Jacek Skrzydło. Za chwilę wrócił i zrelacjonował rozmowę. Kobieta okazała się żoną listonosza Strzyżewskiego (wylegitymowała się) i zaprosiła ich do domu, który był niedaleko. Skrzydło siedział tam dość

długo, aż w końcu, gdy się ściemniło, przyszedł po nas i oznajmił, że możemy spotkać się tam z przewodnikiem, który zmierza na Węgry. W mieszkaniu gospodarz ugościł nas, a po jakimś czasie przyszedł miejscowy proboszcz, który był aktywnym działaczem miejscowego podziemia. Ponieważ przewodnik nie nadchodził, gospodarze zaprowadzili nas do małego pokoju na strychu, gdzie mieliśmy zanoćować. Przewodnik pojawił się drugiego dnia, spisał nasze dane i kazał cierpliwie czekać, aż skompletuje się większa grupa (przeszło 70 osób). Czekaliśmy dziesięć dni, a rodzina Strzyżewskich nas ukrywała.

Wreszcie 4 grudnia 1939 roku ruszyliśmy w drogę zgodnie z instrukcją miejscowej konspiracji. Organizacją ekspedycji zajmował się pan Berezowski, którego syn Zygmunt też ruszał z nami. O godzinie 19.00 wyznaczono zbiórkę koło kapliczki przydrożnej, dwa kilometry za Nadwórną, w kierunku na Bitków. Nie wolno nam było zabierać żadnych bagaży (tylko tyle, co zmieści się w kieszeniach), mieliśmy położyć się na ziemi, nie rozmawiać i czekać na samochód, a gdy przyjedzie – wskakiwać. Jacek szedł na zbiórkę z panią Strzyżewską, Dziemba z jej córką, Maciejewski z młodszym synem, Krzempek ze Strzyżewskim, a ja sam. Wszyscy w odpowiednich odstępach. Było bardzo ciemno, ja ledwo widziałem kontury poprzedzającej mnie dwójki. Gdy doszliśmy do kaplicy, odprowadzający szybko zawrócili, a my położyliśmy się na ziemi. Na szczęście nie było jeszcze śniegu i po jakiejś godzinie oczekiwania nadjechał samochód. Zgasił reflektory i wtedy z ziemi zerwało się około 30 „cieni” i ruszyło w jego kierunku. Z samochodu wyszedł Berezowski i powiedział, że to jest próba, a za chwilę przyjedzie nasz właściwy transport. Znowu położyliśmy się na ziemię i czekaliśmy. Wreszcie przyjechał samochód ciężarowy (otwarty). Wskoczyliśmy i ułożyliśmy się jeden na drugim, aby nie było nikogo widać. Po drodze mijaliśmy pojedyncze domy. Z jednego wyskoczyli jacyś uzbrojeni ludzie, wołali za nami, a nawet strzelali, ale samochód pędził szybko i bezpiecznie dojechał do Bitkowa. Góry wokół nas były coraz wyższe, choć miejscowość rozłożyła się w dolinie. Nagle przed auto wyskoczył mężczyzna i zawołał: „zdrada”. Nakazał zsiąść z samochodu i dalej iść pieszo szczytami gór w grupach, żeby połączyć się z innymi, już znajdującymi się w Bitkowie. Była już noc, wędrowaliśmy raz w górę, raz w dół, aż wreszcie na jednym płaskim szczycie kazano nam usiąść i czekać. Gdy zjawiała się druga grupa uciekinierów, zaczęliśmy schodzić w dół i spotkaliśmy przywódcę, który zapytał, czy są tu Ślężacy (chodziło o naszą piątkę). Ustalono porządek kolumny, rozdano broń i podzielono nas na grupy pięcioosobowe, wyznaczając dowódców. Mnie przydzielono pięciu młodych chłopców (w tym dwóch braci Cichockich). Nakazano bezwzględną dyscyplinę i z cichym okrzykiem „Niech żyje Polska” ruszyliśmy szlakiem niedźwiedzia.

„Szlak niedźwiedzia” nie był przesadną nazwą. Omijaliśmy bowiem drogi, osady i wszystkie miejsca, gdzie można było kogoś spotkać. Z przodu szli najlepiej zorientowani w terenie, którzy mieli lornetki. Przechodziliśmy jarami i wąwozami, w ciemnym i gęstym borze, wkrótce nasze oczy przywykły do ciemności. Nad ranem zrobiliśmy pierwszy odpoczynek, a potem zaczęliśmy się wspinać w górę. Widoki o wschodzie słońca były piękne, co poprawiało nam samopoczucie i dawało otuchy. Mijaliśmy kolejne wzniesienia, wchodziliśmy na szczyty, a potem

z nich długo schodziliśmy. Druga noc była już mniej nerwowa, wszyscy byli bardziej zahartowani i po krótkim odpoczynku maszerowaliśmy dalej. Jedzenie szybko się skończyło, wodę piliśmy ze strumieni. Trzeci dzień był najbardziej męczący. Po pokonaniu wzniesienia Maksymiec dotarliśmy do ostatniej przeszkody – góry Sywuli (1836 m n.p.m.). Wejście na nią dla niektórych było już bardzo trudne. Kapitana artylerii, który był rekonwalescentem (rany odniósł w czasie walk na wybrzeżu), musieliśmy wnosić na górę. Jedyna kobieta, żona inżyniera Zubrzyckiego z Rudy Śląskiej (idąca z mężem), też miała chwile słabości. Wreszcie zobaczyliśmy szczyt Sywuli, a na nim poruszającą się pod wpływem wiatru makietę żołnierza z karabinem. Dla zamaskowania się na śniegu (którego w górach było już coraz więcej) założyliśmy białe prześcieradła, a kto nie miał takiej ochrony, oblepiał się śniegiem. Schodziliśmy coraz stromiej, przed nami były tylko niskie krzaki. Zaczynało się zmierzchać, wszyscy byli już bardzo zmęczeni i coraz bardziej zdenerwowani. Zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu na dalsze polecenia prowadzących, którzy studiowali mapę turystyczną. W końcu weszliśmy na wąską dróżkę i gęsiego schodziliśmy w dół. Skończyła się gruba warstwa śniegu i coraz łatwiej można było maszerować. Wreszcie dowódca ogłosił, że jesteśmy już na Węgrzech. A więc udało się!

W wąwozie, między wysokimi świerkami, rozbiliśmy obozowisko. Nazbieraliśmy suchych gałęzi spod drzew i za chwilę płonęło kilkanaście ognisk, przy których suszyliśmy ubrania i ogrzewaliśmy się. Zapaliłem jednego z ostatnich trzech papierosów, a w kieszeni miałem ostatnie 15 złotych polskich. Tak nam upłynęła noc. Nad ranem zeszliśmy w dół rzeki. Dowódca kazał oddać broń, schował ją do worka i gdzieś ukrył, wiedział bowiem, że będzie tędy wracał. Około południa spotkaliśmy budkę strażniczą z kilkoma żołnierzami węgierskimi. Powitali nas bez żadnych zbędnych pytań i poczęstowali żółtym, kukurydzianym chlebem. Jakaż była nasza radość! Szliśmy dalej wzdłuż rzeki, aż dotarliśmy do szosy. Mimo zmęczenia ustawiliśmy się w kolumnę czwórkową i dalej maszerowaliśmy jak wojsko, śpiewając po kolei wszystko, co się w wojsku śpiewało. Pod wieczór dotarliśmy do jakiejś wioski i pierwszy spokojny nocleg spędziliśmy na słomie w wiejskiej chacie. Każdy spał jak zabity, to była najlepsza noc od lat. Na drugi dzień z rana znowu marsz. Około południa doszliśmy do jakiejś większej miejscowości, gdzie była restauracja. Tam już czekała na nas żandarmeria wojskowa. Dostaliśmy prawdziwy obiad, a potem rozpoczęły się przesłuchiwania. Ponieważ znałem język niemiecki, wzięto mnie za tłumacza i tak porozumiewaliśmy się z Węgrami. Następnie w eskorcie miejscowych żandarmów odprowadzono nas do pobliskiej stacji kolei wąskotorowej. Potem przesiedliśmy się na zwykłą kolej i dojechaliśmy do Budapesztu, a tam tramwajem do twierdzy w Peszcie. Stara, austriacka twierdza zapełniona już była Polakami. Zgodnie z obowiązującymi wtedy przepisami potraktowano nas jako nielegalnie przekraczających granicę i musieliśmy odsiedzieć trzy dni. Drugiego dnia policja węgierska zrobiła nam zdjęcia i przeszliśmy do dokładnej identyfikacji w obecności komisji polsko-węgierskiej. Polską stronę reprezentował przedstawiciel naszego konsulatu w Budapeszcie. Na 73 osoby większość ujawniła swoje dane, uznano nas za cywilów i skierowano do miasteczka Eger, gdzie mieścić się obóz, którego komendantem był inżynier

Długoszewski. Mieszkaliśmy najpierw w dużej sali dawnej twierdzy, a potem niektórzy z nas przeniesieni zostali do prywatnych domów. Ja dostałem się z pięcioma kolegami do domu właścicielki restauracji, która dobrze nas żywiła, a magistrat płacił jej za nasze utrzymanie. Codziennie o godzinie 9 musieliśmy meldować się w komendzie obozu. Tam też dochodziła poczta i mogliśmy pisać listy. Na mojej kwaterze mieszkali: syn naszego organizatora z Nadwórnej Zygmunt Berezowski, zawodowy sierżant piechoty o imieniu Bartosz, były mistrz bokserski wojska polskiego, student z Krakowa Tadek (dostał się później do Brygady Karpackiej), a także wywiadowca Pałaszewski, który wracał jeszcze kilka razy do Polski na zlecenie Polskiej Misji Wojskowej. Po powrocie z jednej z takich wypraw dostał odpowiednie wynagrodzenie, za które kupił baryłkę najlepszego wina tokaj, nosił ją na plecach i stawiał wszystkim.

Trzy razy do Eger przyjeżdżali przedstawiciele komisji Komitetu Pomocy Uchodźcom Polskim z przewodniczącym Stanisławem Ligoń³⁹. Dwa razy wypłacono nam po 10 pengó, a raz 15 pengó⁴⁰. Musiało nam to starczyć na znaczki pocztowe, fryzjera i trochę papierosów. W koszarach w twierdzy znajdował się obóz internowanych oficerów polskich, gdzie przebywało kilkaset osób już od września 1939 roku. Obok starszych oficerów sanacyjnych, odnoszących się z rezerwą, a nawet wrogo do generała Władysława Sikorskiego, byli też młodszy, którzy prowadzili dla nas tajne wykłady z języka francuskiego, silników samochodowych oraz terenoznawstwa. Lekarze wojskowi udzielali porad, a także prowadzili badania lekarskie i kwalifikację do armii polskiej na zachodzie. W twierdzy dostałem płaszcz wojskowy, nosiłem czapkę narciarską, buty saperki, spodnie cywilne, marynarkę sportową (kupioną jeszcze na handlu we Lwowie) oraz rękawice (każdą inną), a na nogi zamiast skarpet zakładałem onuce. Ponieważ miałem tylko jedną koszulę, to gdy ją prałem, stałem koło pieca i czekałem, aż się wysuszy albo wkładałem marynarkę. Czas wypełniały mi wykłady, korespondencja z rodziną w kraju, a sporadycznie różne rozrywki. Raz znajomy policjant węgierski (z pochodzenia Słowak) zaprosił mnie na zabawę ludową, gdzie Węgrzy bawili się z takim temperamentem, że miejscowi policjanci musieli interweniować. Innym razem, po wypłacie zapomogi, poszliśmy za namową kolegi do jakiejś winiarni. Nasz „wodzirej” kazał podać litr wina grzanego oraz trzy butelki zimnego, ponadto śledziki i słoninę z papryką. Skutki były fatalne, zaczęliśmy wszystko widzieć w trzech wymiarach, ale trzymaliśmy się razem i jakoś dotarliśmy na kwaterę. Wgramoliłem się na swoje górne łóżko i zasnąłem. Było to 24 grudnia 1939 roku, tak spędziłem moją pierwszą Wigilię za granicą. Kolejna nasza „impreza” odbyła się w piwniczce węgierskiego chłopca, który tak gościnnie częstował nas winem, że wyszliśmy z piwniczki na czworakach. Pamiętam jeszcze jedno „ciche” spotkanie na zapleczu lokalu naszej „mamy” (tak nazywaliśmy gospodynię, u której mieszkaliśmy), kiedy żegnaliśmy kilku kolegów odjeżdżających na drugi dzień do Budapesztu i dalej do Jugosławii.

³⁹ Stanisław Ligoń (1879–1954) – malarz, ilustrator, działacz społeczno-polityczny na Górnym Śląsku, w czasie II wojny światowej organizator struktur emigracyjnych na Węgrzech oraz członek Komitetu Pomocy dla Uchodźców Polskich.

⁴⁰ Obowiązująca wtedy waluta węgierska.

W marcu 1940 roku zbliżał się i mój termin wyjazdu. Po wczesnych świątach wielkanocnych pożegnałem się listownie (odpowiednim układem treści) z rodziną w kraju i już końcem marca byłem w Budapeszcie. Stamtąd (po jednym noclegu) przewieziono nas samochodami na boczny tor stacji, gdzie stały już wagony dla „turystów Sikorskiego”. Wagony doczepiano do planowych pociągów, jadących na południe Węgier. Wylądowaliśmy w miejscowości Babócsa⁴¹, gdzie zakwaterowano nas w wiejskich chałupach. Każdy dostał dużą kopertę, w której były jego dokumenty wojskowe i pieniądze jugosłowiańskie (dinary). Było ich dużo, ale potem przekonaliśmy się, że nie miały wielkiej wartości. Dwa dni po przybyciu zebrano nas (120 osób) i wymaszerowaliśmy o godzinie 23 w kierunku granicy. Najpierw poszliśmy lasem nad rzekę Drawę, gdzie czekali przewoźnicy, którzy przeprawiali po 11 osób jednorazowo na drugi brzeg, gdzie spotykaliśmy się przy starym młynie. Posterunki jugosłowiańskie wskazywały nam kierunek. W młynie doczekaliśmy do rana, potem trzeba było przejść odcinek około dwóch kilometrów do kolejki wąskotorowej i za półtorej godziny byliśmy w Zagrzebiu. Tam zatrzymaliśmy się na trzy dni, mogliśmy nawet zwiedzać miasto. Zdążyłem dwa razy pójść do kina i kupić sobie słodką bułkę. W trzecim dniu samochodami ciężarowymi przewieziono nas w okolice dworca kolejowego, gdzie na bocznych torach stały specjalne wagony. Wsiadliśmy, a wagony (jak poprzednio) dołączono do pociągu dalekobieżnego jadącego na południe. W nocy niewiele było widać, ale nad ranem mogliśmy już podziwiać widoki górskie, bo cała trasa wiodła terenami górzystymi. W południe drugiego dnia dojechaliśmy do Splitu, gdzie jakiś pułkownik z miejscowej placówki poinformował nas, że statek do Francji będzie dopiero za dwa tygodnie. Rozlokowano nas w 11 miejscach noclegowych, z których każdy miał swojego komendanta. Nie wolno nam było samodzielnie poruszać się po mieście, bo moglibyśmy spotkać niemieckich turystów. Korespondencja mogła być wysyłana, ale tylko po ocenzurowaniu przez miejscową komendę.

Dostałem się do pensjonatu „Split” nad samym morzem. Duży budynek stał w środku ogrodu w przepięknej okolicy. Po drugiej stronie drogi (prowadzącej wzdłuż wybrzeża) rozciągał się teren górzysty. Były już pierwsze dni kwietnia i słońce przygrzewało. Codziennie kąpaliśmy się lub wysiadaliśmy na przeciwległych wzgórzach. Nasz pensjonat oddalony był o kilka kilometrów od centrum Splitu i mieliśmy spokój, ale inni koledzy (mieszkający bliżej centrum) zetknęli się w umywalni z niemieckimi turystami. Z kolei jeden z naszych wywiadowców zidentyfikował szpiegów niemieckich, o których powiadomił władze jugosłowiańskie. Przed opuszczeniem Splitu otrzymaliśmy instrukcję, że możemy wysłać do kraju ostatnią pocztówkę ze związką i ukrytą treścią, bez żadnych danych o wyjeździe. Ja swoją zaadresowałem nie do rodziców, ale do znajomych (Kalusów). Kiedy oddawałem kartkę komendantowi okazało się, że przed wojną był prezesem Katowickiego Klubu Łyżwiarского⁴² i znał Erwina oraz jego siostrę, uprawiających łyżwiarstwo figurowe. Dopisał więc swoje pozdrowienia. Jak się później dowiedziałem, rodzice kartkę otrzymali.

⁴¹ Wieś na południu Węgier, obecnie przy granicy z Chorwacją.

⁴² Chodzi zapewne o Śląskie Towarzystwo Łyżwiarское Katowice.

Wreszcie przypłynął grecki statek „Patris”, który miał zabrać około 600 osób. Do portu szliśmy pojedynczo lub dwójkami, każdego osobiście sprawdzał i zęgnął dowódca placówki. Wypływając wieczorem, obserwowaliśmy oddalające się oświetlone nabrzeże z drzewami palmowymi. Statek przeciskał się przez różne zatoki, kluczył pomiędzy skałami i małymi wysepkami, aż wreszcie wypłynął na pełne morze. Poszliśmy spać i wtedy rozszalał się nagły sztorm. Z kilkoma kolegami znajdowaliśmy się w kajucie dziobowej, co niestety spowodowało chorobę morską (wymioty i bóle żołądka). W końcu z przemęczenia usnęliśmy, a rano morze się uspokoiło i słońce zaczęło pięknie świecić. Poszliśmy do ogólnej umywalni, a starszy Grek z obsługi statku odebrał od nas odcinki kart żywieniowych i przyniósł śniadanie. Po sztormowej nocy o jedzeniu nie było mowy, wypiliśmy tylko trochę herbaty i wyszliśmy na świeże powietrze posiedzieć na ławkach i odetchnąć. Statek płynął blisko włoskiego brzegu, po lewej stronie widzieliśmy Sycylię z wulkanem Etna. Pogoda była wspaniała, długo obserwowaliśmy krajobraz, aż wreszcie znów znaleźliśmy się na otwartym morzu i tylko gdzieniegdzie mijaliśmy jakieś wysepki. Na środku okrętu spora grupa intensywnie grała w karty. Zacząłem się rozglądać za znajomymi. Jeszcze na Węgrzech nawiązałem kontakt listowny z Jurkiem Klimondą, podchorążym z Pewli Małej. Jego węgierski adres dostałem od Marysi Ignacówny, z którą obaj sympatyzowaliśmy przed wojną. Wiedziałem, że również oczekuje przerzutu na zachód i teraz, obserwując grających, zdawało mi się, że jednym z nich jest właśnie Jurek. Zanim zdążyłem zapytać, on sam krzyknął: „Józek, to ty?”. Zaczęły się opowiadania o Marysi, która w kraju od razu zaangażowała się w konspirację i pomoc poszkodowanym rodzinom. Jak się okazało, także mojej rodzinie dostarczała potrzebne lekarstwa. Na statku spędziliśmy jeszcze jedną noc. Długo siedziałem na zewnątrz, bo bałem się kołysania w kajucie na dziobie, ale w końcu z pokładu przegonili mnie marynarze.

W wojsku polskim na zachodzie (Francja – Wielka Brytania – Francja)

Do Marsylii statek dopłynął w południe i najpierw długo kluczył między różnymi jednostkami pod różnymi banderami. Wreszcie przybił do jednego z nabrzeży, gdzie stali oficerowie polscy we francuskich mundurach. Orkiestra wojskowa zagrała polski hymn, a my mieliśmy łzy w oczach. Po tylu trudach, przygodach, ukrywaniu się, ciągłej konspiracji będziemy mogli znów, jak równi z równymi, zmierzyć się z wrogiem i nie dzielić losu jeńców wojennych. Kolumna autobusów zawiozła nas krętymi serpentynami w góry, niedaleko Marsylii, do pierwszego polskiego obozu etapowego. Od razu zauważyliśmy nasze flagi i żołnierzy w polskich mundurach. Panował duży ruch. Jakieś jednostki maszerowały, inne miały zbiórkę. Pobraliśmy manierki, menażki i chlebaki, po czym rozlokowaliśmy się w barakach. Następnie dwie komisje (polska i francuska) identyfikowały nasze stopnie wojskowe, staż i kwalifikacje. Po południu odbył się mecz piłki nożnej polskiej drużyny z żołnierzami armii angielskiej. Nasi wygrali, ale w zespole było sporo przedwojennych pierwszoligowych graczy. Pod wieczór kupiliśmy z Jurkiem w kantine butelkę wina za 4 franki i powędrowaliśmy na wzgórze. Z daleka widać było wybuchy i ataki niemieckich bombowców.

W obozie spotkałem dużo znajomych z czynnej służby, m.in. Mietka Kaliszewskiego z Krakowa. Posegregowano nas według specjalności wojskowej i po dwóch dniach pociągiem odjechalśmy do Bretanii. Jeszcze nie w mundurach, ale już w kompaniach, dotarliśmy do stacji zbornej wojska polskiego w Bressuire. Nie robiła ona dobrego wrażenia. Spaliśmy na strychach różnych szop, codziennie do jedzenia było tylko mięso królicze. Braliśmy udział w różnych marszach i ćwiczeniach. Spotkałem wtedy mojego ostatniego kierownika księgowości Jana Makosza, który pracował jako wywiadowca. Ofiarował mi swoje stare skarpetki, bo moje całkowicie się podarły. Po kilku dniach pociągiem pojechaliśmy do największego polskiego obozu Coëtquidan. Był już początek maja 1940 roku. W obozie działały szkoły oficerskie i podoficerskie oraz różne kursy. Przydzielono nas do kompanii zapasowej łączności, spaliśmy w dużych barakach, na piętrowych łóżkach. Nareszcie dostaliśmy mundury, buty i skarpetki wojskowe, drelichowe ubrania ćwiczebne i okrągłe czapki o różnych kolorach. Codziennie (szczególnie w nocy) następowały niemieckie naloty. Chowaliśmy się w specjalnych dołach. 10 maja 1940 roku rozpoczęła się ofensywa niemiecka na Francję. W kantine zainstalowane były głośniki radiowe. Z każdej jednostki dwie osoby chodziły słuchać komunikatów, aby je później przekazać kolegom. Także zgłosiłem się do tego zadania, a wieści nie były wesołe.

Po jałowych marszach i ćwiczeniach ze starymi karabinami wyłoniono z naszej kompanii zapasowej cały pluton podoficerów łączności. Samochodami zawieziono nas do Wersalu do Centrum Szkolenia Łączności. Mieliśmy tam zapoznać się ze sprzętem łączności francuskiej, a potem otrzymać przydziały do którejś z polskich dywizji. Wiedzieliśmy jednak, że 1. i 2. dywizja są już na pierwszej linii frontu, 3. i 4. formują się w Coëtquidan. W Wersalu natomiast formowała się 10. Brygada Kawalerii Pancernej. Front był już w północnowschodniej Francji, codziennie były naloty. W słynnym parku wersalskim uciekaliśmy do leków po bombach. W Wersalu spotkaliśmy dużo znajomych oficerów i podoficerów łączności. Dowiedziałem się też, którzy ze znanych mi służą już w Dywizjach Brygady Podhalańskiej w Norwegii. Był tam porucznik Adolf Kempny (prezes Oddziałów Młodzieży Powstańczej na Górnym Śląsku), który szukał mnie w Coëtquidan. Od jednego podchorążego dostałem adres Stanisława Mastalerza, byłego sekretarza Związku Powstańców Śląskich. Pracował w sztabie polskim w Paryżu. Napisałem do niego list z pytaniem o kolegę Franciszka Galbierza z Katowic. W odpowiedzi napisał do mnie sam Galbierz, który przyjechał do Paryża jako kurier i po przeszkoleniu miał wracać przez Włochy do kraju. Prosił mnie, abym choć na jeden dzień przyjechał do Paryża. Dostałem przepustkę, ale jechać już nie mogłem. W Wersalu postawiono nas w stan alarmowy. Nareszcie dostaliśmy prawdziwe i porządne mundury koloru khaki, uzbrojenie i wyposażenie. Kończyliśmy zapoznanie się ze sprzętem, choć instruktorzy francuscy byli beznadziejni. Nasz pluton włączony miał być do 10. Brygady Kawalerii Pancernej, ale sama Brygada dopiero w ostatniej chwili otrzymała sprzęt (czołgi, samochody). Wobec tego z całego plutonu podoficerów wyłoniono część, a reszta pozostała na drugi rzut. Pierwszą grupę przydzielono od razu do małej kompanii, która na drugi dzień już odmaszerowała w pole wraz z częścią Brygady Pancernej, biorącej udział w wal-

kach, a potem, otoczona, przebijała się z generałem Maczkiem przez linie niemieckie do Marsylii.

Takiego bałaganu organizacyjnego nikt się nie spodziewał. Francuzi zawiedli na całej linii. Następnego dnia najbliższa okolica była zamglona z powodu dymów maskujących znad Sekwany. Reszta plutonu, w której i ja się znalazłem, dostała sześć samochodów ciężarowych typu Camion, pokrytych brezentem. Uzbrojono nas w karabiny maszynowe i pod dowództwem porucznika Wodarskiego wyjechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim, jako osłona ewakuacji innych jednostek z Rządu Polskiego. Teren, po którym się poruszaliśmy, był już przeważnie próżnią operacyjną. Francuzi się wycofali, a wróg dopiero się zbliżał. W końcu samochody załadowaliśmy na pociąg i jeździliśmy w różnych kierunkach. W jednym dniu byliśmy dwukrotnie na tej samej stacji. Później maszerowaliśmy pieszo, potem znowu jechaliśmy samochodami. W Bordeaux spaliliśmy pod samochodami. Stale były bombardowania, a my szukaliśmy statków. Około 20 czerwca byliśmy w porcie Le Verdon. Tam w lasku przy nabrzeżach czekaliśmy przez trzy dni na statki angielskie. Rano budziły nas walki powietrzne myśliwców. Byliśmy z dala od wałów nadbrzeżnych i urzędów portowych. Żołnierze francuscy byli zadowoleni, że Philippe Pétain podpisał rozejm (kapitulację) z Niemcami. Myśmy przeklinali Francuzów, bo nas znowu zawiedli. Trzeciego dnia z dala od brzegu stanął angielski statek handlowy, dziesięcioletni „Delius”. Dwiema łodziami (po 80 osób) zaczęliśmy żeglugę między brzegiem i statkiem (odległość około 500 metrów). Byliśmy ukryci w lasku przybrzeżnym, potem grupami wykonaliśmy skok przez otwartą przestrzeń i dotarliśmy do łodzi. Podczas oczekiwania byliśmy kilkakrotnie bombardowani. Sześć polskich myśliwców przez prawie cały dzień robiło osłonę w powietrzu, ale raz, gdy musieli odlecieć (chyba po paliwo), przyleciał jeden pojedynczy sztukas niemiecki i rzucił cztery bomby na statek, ale padły obok, wywołując fontanny wody. Właśnie wtedy wróciła łódź i moja grupa miała do niej wejść. W ostatniej chwili wręczono nam po bochenku chleba, bo Anglicy uprzedzili, że nie mają żadnego jedzenia. Nasz dowódca porucznik Wodarski (bardzo rozgarnięty i bojowy) już wcześniej nam o tym mówił i namawiał, by w czasie oczekiwania postarać się o wyżywienie. I tak dwóch kolegów załatwiło beczkę czerwonego wina, trzech innych beczkę sardynek, ja zaś ćwierć worka naturalnej kawy, a dla siebie miałem pełno kostek bulionów. Na statku dostałem od marynarzy wrzątek, do tego wrzucałem suchary i miałem rosół gotowy. Podróż miała trwać kilka dni. Na pokładzie była zbieranina różnych jednostek, ludzie ewakuowanych nawet z Belgii oraz bardzo dużo grup polskich oficerów, którzy nie mieli przydziału. Nasz pluton był jedyną zwartą, zdyscyplinowaną i dobrze uzbrojoną jednostką, złożoną z samych podoficerów, dlatego pełniliśmy funkcje porządkowe. Statek miał cztery działa przeciwlotnicze z obsługą. Myśmy wzmocnili obsługę kilkoma karabinami maszynowymi.

Statek był dość duży, a ponieważ nie miał żadnych towarów, lokowaliśmy się w lukach, gdzie zazwyczaj przewożono ładunki. W dolnych partiach ksiądz kapelan pułkownik Jan Szymała⁴³ odprawiał jedną mszę za drugą. Ja na górnym pokła-

⁴³ Jan Szymała (1889–1962), pułkownik, uczestnik powstań śląskich, kapelan 74. Górnośląskiego Pułku Piechoty oraz I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

dzie obserwowałem kolejne przyplływające łodzie z wojskiem. Wreszcie odpłynęliśmy w asyście dwóch małych kornet angielskiej marynarki wojennej, które miały nas osłaniać. Pływały zawsze w pewnym oddaleniu od nas i światłami sygnalizowały zagrożenie. Oddaliliśmy się od brzegów francuskich i wypłynęliśmy z Zatok Biskajskiej. Statek wziął kurs na pełne morze, aby uniknąć ataków niemieckich samolotów i łodzi podwodnych, które operowały przede wszystkim w strefie przybrzeżnej. Zanosilo się na burzę, a statek naładowany był kilkoma tysiącami wojska. Zaczęły się przechyły raz w prawo, raz w lewo. Trzeba było się trzymać, aby nie zostać zmytym z pokładu. Sine chmury z przedzierającymi się kolorami czerwieni i żółci tworzyły barwną, choć groźną dekorację, ale w końcu burzy i sztormu na szczęście nie było, mimo że fale dochodziły do wysokości kilku pięter. Na drugi dzień wystraszyła nas obsługa dział przeciwlotniczych, która (zgodnie z zasadami) przestawiła lufy. Kapitan statku poprosił żołnierzy o puszki z konserwami i kazał kucharzowi ugotować coś w rodzaju gorącej, gęstej zupy. Na pokładzie ustawili się w kolejce liczni, wygłodniaли żołnierze, ale ochotników do przyniesienia kotłów nie było. Dlatego poszedł nasz pluton i dzięki temu od razu dostaliśmy jedzenie, a w kolejce niektórzy nawet bili się menażkami. Pojawił się też problem sanitarny, bo statek miał niewiele kabin, które użyczał tylko chorym. Reszta musiała załatwiać się do ustawionych wiader albo wprost do morza. Następnego dnia pogoda się poprawiła, a nad nami czasami pojawiały się wojskowe samoloty angielskie, co było znakiem, że jesteście nadzorowani. Wreszcie po kilku dniach dobiliśmy do portu w Liverpoolu. Można było pomyśleć, że wojna za nami, ale zaraz rozległy się syreny alarmujące naloty. A więc wojna trwała! Przybiliśmy gdzieś do lewej strony nabrzeża, natomiast z prawej strony basenu portowego dobiegały jakieś odgłosy pożegnania – były to jednostki brytyjskie udające się na Bliższy Wschód. Wokół pełno było statków odpływających i przyplływających.

Zeszliśmy ze statku i po ustawieniu w kolumny pomaszzerowaliśmy w kierunku stadionu sportowego. Przemarsz w zwartym i uporządkowanym szyku przez ulice miasta przerodził się w manifestację miejscowej ludności na cześć Polaków. Rzucano nam kwiaty, papierosy i słodycze. Byliśmy jedynymi sprzymierzeńcami Anglików w toczącej się wojnie. Na stadionie czekaliśmy dość długo, aż przyszedł odpowiedni dyspozycje, a potem pociągami osobowymi pojechaliśmy do Glasgow, gdzie znowu znaleźliśmy się na dużym stadionie i tam przebywaliśmy (na trybunach) przez trzy dni. Potem przenieśliśmy się na południe od Glasgow, do Douglas Water, a potem do Crawford. Tam staliśmy obozem w górach, w ośmio-osobowych okrągłych namiotach. Wystawiliśmy posterunki z karabinami maszynowymi dla obserwacji i obrony przed niemieckimi samolotami, które nieraz nisko nad nami latały. Niemcy przygotowywali się do inwazji na Wielką Brytanię. Nasz status prawny był dopiero w trakcie regulowania, dlatego byliśmy jeszcze w mundurach francuskich, otrzymywaliśmy stosunkowo mały żołd i mieliśmy ograniczenia w poruszaniu się. Po jakimś czasie polskie władze podpisały układ wojskowy, dostaliśmy angielskie mundury i żołd taki jak Anglicy, choć bez dodatków. Obok ćwiczeń wojskowych uprawialiśmy różne sporty, pełniliśmy warty i intensywnie ćwiczyliśmy alfabet Morse'a, bo czekało nas przeszkolenie na radio-

stacjach wojskowych. W nowych mundurach mogliśmy już wybierać się na przepustki. Okolice była usiana obozami wojskowymi. Pojechałem więc na jeden dzień do Glasgow. Zwiedziłem pobieżnie miasto i poszedłem zobaczyć szkocką zabawę folklorystyczną. Innym razem wybraliśmy się do Douglas Water piechotą i spotkaliśmy samochód prowadzony przez sympatyczną pannę, która podrzuciła nas na miejsce. Zawarłem z nią umowę, że podczas mojego pobytu w Wielkiej Brytanii będzie moją siostrą. Odtąd przysyłała mi skarpety, swetry i szaliki robione własnoręcznie. Poznawaliśmy też coraz więcej Szkotów, którzy odnosili się do nas serdecznie.

Ponieważ lato powoli dobiegało końca, dla nas rozpoczynał się kolejny etap pobytu. Posegregowano nas w jednostki według specjalności wojskowej. W pierwszym rzędzie stworzono 10. Brygadę Kawalerii Pancерnej (BKP), gdy generał Maczek nareszcie przedostał się do Anglii. Zorganizowano też Brygadę Strzelców, w którą włączono resztę Brygady Podhalańskiej (w formie batalionu). Powstały oddziały szkieletowe I Korpusu oraz 16. Brygada Pancerna. Z nadmiaru oficerów utworzono oficerskie brygady kadrowe. Zaczęliśmy się rozjeżdżać. Najliczniejsza 10. BKP objęła odcinek wybrzeża północno-wschodniej Szkocji (od Montrose przez Arboath do Carnoustie), na wypadek inwazji. W niedalekim porcie Dundee stacjonowało kilka jednostek Polskiej Marynarki Wojennej. W samym Dundee utworzono liczne szkoły podchorążych i Centrum Wyszkołenia Łączności. Dowództwo 10. BKP ulokowano w miasteczku Forfar, a dowództwo I Korpusu w Bridge of Earn. Wszystkie jednostki zlokalizowane były stosunkowo blisko siebie.

Nasza służba w Wielkiej Brytanii zaczęła się w momencie, gdy rozpoczynała się bitwa o Anglię. Każdy kawałek brzegu stawał się linią frontu. Polskie jednostki, wyposażone w sprzęt i broń, nadzorowały wyznaczony odcinek. Piechota na zmianę znajdowała się w bunkrach i schronach, a artyleria gotowa była do strzału. Patrole krążyły między placówkami, a meldunki ze wszystkich odcinków płynęły drutami telefonicznymi, radiostacjami, gońcami motorowymi, a nawet gołębiami pocztowymi. Należałem teraz do Szwadronu Łączności 10. BKP z przydziałem do ośrodka łączności Brygady. Byliśmy plutonem sztabowym i zajmowaliśmy duże pomieszczenie w willi ukrytej w głębi ogrodu, gdzie znajdował się cały sztab i skąd generał Maczek kierował swoim wojskiem. Patrolowano wybrzeże, gdy w pobliżu przepływały konwoje niemieckie albo wypatrywano niemieckich łodzi podwodnych. Niedaleko nas (w części angielskiej) w nocy wylądowała taka łódź i wzięto do niewoli zaskoczoną obsługę dział. To były próby zwiadowcze. Mimo, że główny wysiłek Niemców szedł na Londyn i okolice, bombardowano także obiekty w Szkocji i Irlandii Północnej. W takie noce, przy zasłoniętych oknach, miałem nieraz służbę i przez całą noc odbierałem i nadawałem meldunki. Nad nami ciągnęły szyki niemieckich bombowców, które szły z Norwegii przez Szkocję na Belfast. Bombardowano też Glasgow i Dundee. Przy alarmach nadawałem w pierwszej kolejności do stanowisk artylerii przeciwlotniczej, potem szły meldunki z poszczególnych odcinków i przesyłano je do okręgowych dowódców angielskich. Z kolei gońcy motocyklowi naszego szwadronu wozili pocztę służbową z całego

naszego odcinka. W ośrodku łączności Brygady do południa przeważnie byli: dowódca plutonu porucznik Tadeusz Burdziński (oficer zawodowy)⁴⁴, podporucznik Tadeusz Daszkiewicz (zastępca) oraz sierżant M. Runowski. Do południa panował największy ruch, gdyż w budynku pracował cały sztab i na służbie było trzech telefonistów. Po południu dyżurowało dwóch telefonistów do obsługi centrali i odbioru telefonogramów. W początkowym okresie na każdej zmianie obecny był tłumacz, ale z czasem przestał być potrzebny. Poza pełnieniem służby w ośrodku łączności, braliśmy często udział w różnych ćwiczeniach, a także przygotowywaliśmy się do przyszłej reorganizacji, na potrzeby której szkolono w tym kierunku kadry. Oficerowie i szeregowcy wyjeżdżali do różnych angielskich centrów szkolenia specjalistycznego.

Skończyła się bitwa o Anglię. Niemcy doznali ogromnych strat w lotnictwie i na morzu, zbombardowano koncentrację ich statków i barek przygotowanych do inwazji. Angielskie i polskie lotnictwo, mimo strat, rosło w siłę. Coraz częściej bombardowano teren Niemiec. W roku 1941 w jednostkach polskich rozpoczął się wzmożony ruch. Odbywaliśmy coraz więcej ćwiczeń, np. przerzuty wojska promami, lądowanie jednostek pływających. Służby nocne nie były już takie „alarmowe”, jak w 1940 roku. Teraz Niemcy tylko od czasu do czasu przeprowadzali naloty na specjalnie wybrane cele. Anglicy formowali swoje nowe jednostki, a cała nasza energia szła na szkolenie oraz tworzenie jednostek pancernych z prawdziwego zdarzenia, z nowoczesnymi czołgami. Docierali do nas Polacy, którym udało się przedostać ze Szwecji, Francji i innych krajów, trwał też werbunek w Kanadzie i Ameryce. Ponadto, po udanych walkach na Bliskim Wschodzie, przybywali więźci do niewoli polscy Ślązacy i Wielkopolanie. Życie kulturalne ograniczało się do miejscowych kin, dancinów, odwiedzin zaprzyjaźnionych rodzin szkockich i angielskich oraz urlopowych wyjazdów do Glasgow i Edynburga. Wiadomości z kraju czerpaliśmy tylko z prasy i radia. Bardzo rzadko ktoś otrzymywał (przez Czerwony Krzyż *via* Portugalia) jakąś kartkę z kilkoma lakonicznymi słowami: „żyją lub nie”. Moja korespondencja z krajem urwała się już w Jugosławii.

Agresja na ZSRR 22 czerwca 1941 roku wywarła na nas wszystkich ogromne wrażenie. Wiedzieliśmy, że wojna nabiera rozmachu i wierzyliśmy, że także my odegramy w niej swoją rolę. Po wyjeździe Władysława Sikorskiego do Moskwy i podpisaniu porozumienia o utworzeniu polskiej armii w ZSRR w naszym sztabie zapanował większy ruch personalny. Zmieniali się funkcyjni, stale też łączyliśmy telefony ze sztabem w Londynie. Raz, na nocnej służbie, musiałem dzwonić do prywatnych kwater oficerów, którym polecono pakować walizki i wyjeżdżać do ZSRR. W lecie 1941 roku opuściliśmy na dwa miesiące Forfar i przenieśliśmy się do Cupar na czas większych ćwiczeń. W terenie reorganizowano kolejne jednostki, zatwierdzone też były plany utworzenia 1. Dywizji Pancernej z 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Wyjechaliśmy z gościnnego Forfar, którego mieszkańcy obdarzy-

⁴⁴ Tadeusz Stanisław Burdziński (1908–1970), oficer Wojska Polskiego, w czasie II wojny światowej najpierw w PSZ (dowódca plutonu łączności w 10 BKP), a po przeszkoleniu jako cichociemny przerzucony do okupowanej Polski wziął udział w powstaniu warszawskim; wzięty do niewoli pozostał po wyzwoleniu do końca życia na emigracji.

li nas przyjaźnią, co pozwoliło nam odzyskać równowagę duchową i żyć nie tylko wojną, wiadomościami z frontu oraz troską o losy rodziny w kraju.

Przeniesiono nas do hrabstw: Berwickshire, Selkirkshire i Roxburghshire, a dowództwo tymczasowo do Galashiels, a niebawem do Melrose. Porucznik Burdziński polecił do Polski jako cichociemny. Po dwóch miesiącach ja i Kasprzycki odkomenderowani zostaliśmy na kurs radiotelegrafistów w Galashiels, a potem do Melrose na dalsze szkolenie – do plutonu radiotelegraficznego. Z dawniejszego dowództwa 10. BKP utworzono nowe dowództwo 1. Dywizji Pancernej, do którego napływali nowi, wyżsi oficerowie. Stale organizowano szkolenia i kursy wyjazdowe dla oficerów, podoficerów i żołnierzy, stale też napływał nowy sprzęt: motorowy, techniczny i radiowy. Batalion Łączności zorganizowany był następująco: 1. Szwadron, który liczył przeszło 300 osób i przeszło 100 pojazdów (z motocyklami włącznie), 2. Szwadron obsługiwał grupę artylerii (4 pułki), 3. Szwadron należał do 3. Brygady Piechoty Zmotoryzowanej, 10. Szwadron należał do 10. Brygady Kawalerii Pancernej, a szwadron dowodzenia był po prostu parkiem remontowym. Batalion Saperów miał też Pluton Łączności⁴⁵. Odbýwały się liczne ćwiczenia, od kilkudniowych do kilkutygodniowych. Oprócz ćwiczeń radiotelegraficznych (na coraz to innych typach radiostacji nadawczo-odbiorczych), każdy żołnierz szwadronu szkolony był w prowadzeniu wozu. Po ukończeniu takiego kursu, co jakiś czas odbywaliśmy jazdy szkolne w dzień i w nocy, ponadto uczono nas ładowania akumulatorów. Szwadron miał własny L.A.D. (pluton naprawy lekkiej samochodów) z odpowiednim sprzętem.

W końcu dostaliśmy duże sześciotonowe wozy A.C.V. (Army Communication Vehicle), opancerzone i wyposażone w silniejsze radiostacje. W pierwszej jeździe próbnej taki wóz, naładowany oficerami polskimi i angielskimi, wywrócił się i kilka razy przeokoziłkował po łagodnym stoku łąki, mimo że prowadził go pancerniak, długoletni taksówkarz warszawski. Szczęśliwie nie było ofiar, tylko ranni. Kiedyś i ja miałem jazdę szkoleniową jako dowódca radiostacji. Po zestrojeniu w sieci (przeszło 10 stacji) wyjechaliśmy w teren, ażeby w różnych kierunkach łączyć się na fonii oraz alfabetem Morse'a. Chodziło o uzyskanie jak najlepszego połączenia mimo oddalenia od bazy. Moim kierowcą był barczysty wilnianin już po trzymiesięcznym kursie prowadzenia wozu. Jechaliśmy parę kilometrów asfaltową szosą, serpentyną wijącą się w dół między lasem i wzgórzami. Ja pracowałem na radiostacji ze słuchawkami na uszach. Nagle poczuliśmy wstrząs i tak silne uderzenie, że odlecieliśmy kilka metrów do tyłu, potem nastąpiło drugie, jeszcze silniejsze uderzenie, i cisza. Kiedy wyskoczyłem z wozu okazało się, że zderzyliśmy się z polskim czołgiem prowadzonym przez ucznia-czołgistę, który nie panował nad pojazdem. Konstrukcja naszego wozu została naruszona, kierowca i mój pomocnik – poturbowani. Przyjechał dźwig i na dwóch tylnych kołach przetransportował wóz do bazy w Melrose. Przeszkolenie kilkunastu tysięcy żołnierzy dywizji kosztowało wiele trudu, a nieraz i ofiar. Oficerowie wyżsi, wraz z naszym Generałem Stanisławem Maczkiem, jeździli do specjalnych baz szkolenia pancernego. W ro-

⁴⁵ Fakty i nazwiska weryfikowano z opracowaniem: A. Rogoziński, *Wojska łączności i Polska 1 Dywizja Pancerna*, Milwaukee 1985.

bocznych kombinezonach musieli kręcić kluczami pod czołgami i wymieniać różne części. Nakazano też spotęgowanie ćwiczeń fizycznych. Dowódca 1. Szwadronu Łączności (kapitan Hieronim Kurek) osobiście kontrolował uchylających się od porannej gimnastyki, którą prowadzili najlepsi sportowcy, nieraz nawet tylko w stopniu starszych szeregowców. Obok ćwiczeń rozruchowych, codziennie biegaliśmy minimum dwa kilometry. Bardzo młodzi żołnierze (u nas było ich około 20) w godzinach popołudniowych mieli naukę uzupełniającą, gdyż wielu z nich wskutek wojny przerwało edukację szkolną.

Melrose położone było w pięknej okolicy górskiej wśród szumiących wód rzeki Tweed, liczyło pięć tysięcy mieszkańców. W czasach pokoju była to miejscowość wypoczynkowa. Mieliśmy tu znacznie lepsze warunki, a poza tym ruch organizacyjny, szkoleniowy oraz stały dopływ nowoczesnego sprzętu podnosiły nas na duchu dzięki czemu ardziej optymistycznie spoglądaliśmy w przyszłość. Batalion Łączności zgrupowany był w Hydro Hotelu, gdzie znajdowała się baza szkoleniowa. Jednostki przeszkolone odchodziły potem do brygad, a stale funkcjonował w hotelu Szwadron Dowodzenia Łączności oraz 1. Szwadron Łączności. Hydro Hotel był pięknym budynkiem ze wspaniałym frontonem i obszernym placem. Miał dużą salę teatralną oraz sporą jadalnię. Działalnością kulturalną kierował podporucznik Tadeusz Daszkiewicz, który wziął mnie do pomocy w organizowaniu różnych imprez. Przygotowywałem zabawy dochodowe, a z zebranych pieniędzy kupowaliśmy instrumenty muzyczne, a także przybory szkolne. Przygotowaliśmy scenę na występy artystycznych zespołów wojskowych (polskich i angielskich). Występowali w nich nieraz wybitni, przedwojenni artyści⁴⁶. Na każdą taką imprezę malowałem co najmniej sześć afiszów reklamowych. Oprócz organizowania zabaw i występów robiłem także różne dekoracje z okazji wszelkich uroczystości, na przykład raz dekorowałem całą jadalnię na „święcone jajko wielkanocne”. Przemawiał wówczas ksiądz kapelan oraz dowódca Łączności Dywizji pułkownik Jan Grajkowski. Stworzyliśmy także zespół taneczny dzięki Miss Mary Davidson (choreografce), która mieszkała niedaleko w pięknym domu „Collingwood” z dużą ćwiczeniową salą z fortepianem. Pani Davidson przed wojną była dwukrotnie w Polsce i miała oryginalne polskie stroje regionalne (góralskie i krakowskie). Podporucznik Daszkiewicz szybko nawiązał z nią kontakt i powstał mieszany zespół szkocko-polski: kilkunastu polskich żołnierzy z partnerkami Szkotkami. W pozasłużbowych godzinach zaczęliśmy próby i w krótkim czasie nasz zespół występował na scenie Hydro Hotelu, a potem też w Kelso i Galashiels podczas angielskich uroczystości oraz różnych imprez i zbiórek na cele wojenne. Tańczyliśmy nasze krakowiaki, kujawiaki i oberki, ale uczyliśmy się też tańców szkockich, szwedzkich i czeskich. Pani Davidson urządziła dla naszego zespołu „herbatki” i podwieczorki, a kilku z nas odwiedzało ją częściej, miło spędzając czas na rozmowach przy kominku. Czasem urządzaliśmy nawet seanse spirytystyczne. Korepondowałem z nią po wojnie aż do jej śmierci 9 października 1980 roku.

⁴⁶ W Melrose występowała np. *Wesoła Lwowska Fala*, zob.: J. Smoliński, *Lwowska Fala na wojennym szlaku (1939–1946)*, Warszawa 2021.

Kończył się nasz pobyt w Melrose i pojechaliśmy na wielkie manewry do Anglii w okolice Cambridge. Dowództwo stanęło za miastem New Market, słynącym z wyścigów konnych. Koni już nie było, a my mieliśmy kwatery w stajniach. Tam zastała nas informacja o tragicznej śmierci generała Sikorskiego w Gibraltarze. Przygotowywaliśmy się do manewrów międzydywizyjnych, robiono ostatnie zmiany organizacyjne i uzbrojeniowe. Odwiedzali nas liczni generałowie polscy, m.in.: Kazimierz Sosnkowski (Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych po śmierci Sikorskiego), Mieczysław Boruta-Spiechowicz i Józef Zajac. Manewry były ostre, a warunki, w których ćwiczyliśmy, bardzo trudne. Spaliśmy pod wozami, często bardzo krótko, nieraz brakowało nawet wody pitnej. Odbywały się próbne loty i zrzućy zaopatrzenia. Zdarzały się wypadki, widziałem płonący samolot, który spadł na ziemię. Zginęło w nim kilkunastu oficerów obserwatorów.

Po manewrach wróciliśmy do Szkocji. Wszystko odbywało się teraz w pośpiechu. W grudniu 1943 roku zostałem odkomenderowany na kurs taktyki łączności broni pancernej do Bovington Camp w Dorset, zaledwie parę kilometrów od wybrzeża. Był to największy angielski poligon i obóz, gdzie szkolono w różnych specjalnościach żołnierzy angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich. Rygor był ostry, spanie w chłodnych barakach, pobudka o godzinie piątej. Z naszej dywizji pojechało na kurs czterdziestu oficerów i podoficerów. Zajęcia zorganizowane były wzorowo, wykładali dobrzy fachowcy, urządzano też ćwiczenia w terenie z mapami, szyframi i kodami, a stacje kontrolne śledziły każde nasze poruszenie. Spędziliśmy tam Boże Narodzenie i Nowy Rok. Ponieważ nie zdążyłem się wyśpowiadać przed polskim księdzem, pierwszy raz spowiadałem się w języku angielskim przed miejscowym kapłanem. Po Nowym Roku organizowano zabawy i dancingi, nie brakowało też kobiet w mundurach. Na jednej z zabaw wygrałem konkurs tańca w rywalizacji kilkuset par i otrzymałem gratulacje od dowódcy mojego szwadronu. Po czterech tygodniach intensywnej nauki wróciliśmy pociągiem do Melrose. Dostałem urlop i odwiedziłem mojego kuzyna Antka (odnalezionego korespondencyjnie), który odbywał jakiś kurs koło Nottingham, potem widziałem się z nim jeszcze w Edynburgu, ale wkrótce urlopy się skończyły. Zostałem przeniesiony znowu do plutonu sztabowego, a porucznik Stanisław Grybski powierzył mi funkcję instruktora, tłumacza i gospodarza całego sprzętu plutonu. Według angielskiej instrukcji obsługi polowej telefonii nośnej przeszkoliłem kilku nowych żołnierzy, a później podchorążego z 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej zapoznałem z najnowszymi wytycznymi ośrodka łączności dotyczącymi przebiegu i kontroli telefonogramów. Na dwa tygodnie odkomenderowano mnie (jako tłumacza) na kurs dla plutonu telefonicznego prowadzony przez inspektora pocztowego z Edynburga. Sam musiałem się zapoznać z nową instalacją Fullerfon⁴⁷, którą zakładaliśmy w szeregu linii telefonicznych na szczelbu Dywizji.

W marcu 1944 roku przyszedł rozkaz naczelnego dowództwa sił alianckich zarządzający generalną mobilizację wszystkich jednostek. I choć myśleliśmy, że już wszystko dawno mamy, okazało się, że jeszcze dostaniemy sporo sprzętu. Zwłasz-

⁴⁷ Właściwie Fullerphone, telefon polowy używany podczas II wojny światowej w armii brytyjskiej.

cza ważne były części zapasowe do samochodów, dla warsztatów naprawczych oraz radiostacji i telefonistów oraz zapasy żywnościowe. Stan mobilizacji przewidywał m.in. skasowanie urlopów, cenzurowanie korespondencji oraz oddanie prawie całej komunikacji kolejowej na potrzeby wojska. Dostaliśmy dwa wozy techniczne, w których telemechanicy urządzali na stałe centrale i aparaty. Kable wyjściowe ze skrzynekami końcowymi ulokowano na dachach wozów. Ładowano siatki maskownicze, namioty, kilofy i łopaty, zapasy druków-fonogramów, karabiny maszynowe, granaty, skrzynki na amunicję, zapasowe akumulatory, płachty tożsamości: rozpoznawcze i kierunkowe (dla sygnalizacji z lotnictwem) i wiele innych rzeczy. Część pakowano do wozów technicznych (centralowych), a część do samochodów drugiego rzutu. Wtedy odwiedzili nas: najpierw marszałek Montgomery, a wkrótce po nim naczelny dowódca sił alianckich generał Dwight Eisenhower. Obie wizyty były niespodziewane. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że przydzielono nas do 21. Grupy Armii marszałka Montgomery'ego i do 1. Armii Kanadyjskiej. Zaczęliśmy odjeżdżać na południe do rejonów załadunkowych, którymi były tereny całego cypla południowo-zachodniego włącznie z portem londyńskim. Akcja ustalona była w ten sposób, że poszczególne dywizje stopniowo zbliżały się do wszystkich portów leżących na południowy zachód od Londynu. Wschodnie rejony odgrywały rolę poligonów i symulowanej koncentracji armii (z numeracją i nazwiskiem dowódcy), co było fikcją mającą wprowadzić w błąd nieprzyjaciela. My stanęliśmy pod Southampton w luksusowych domach wczasowych. Tam już niczego nie ćwiczyliśmy, pozwolono nam odpoczywać i bawić się przed wyruszeniem na front. W licznych lokalach dancingowych przebywaliśmy do późnego wieczora, a dla niejednego była to ostatnia zabawa w życiu. Przyjechała mnie pożegnać nawet pielęgniarzka May, z którą sympatyzowałem w czasie pobytu w Melrose. Wspólna kolacja w restauracji przy skalistym wybrzeżu w promieniach zachodzącego słońca stanowiła piękną i romantyczną oprawę pożegnania Wysp Brytyjskich, które nas przyciągnęły na kilka lat.

Leżałem jeszcze w ciepłym łóżku w pokoju, który zajmowałem z Edwardem Betinkiem z Lublina, był śliczny poranek 6 czerwca 1944 roku. Edward włączył radio i usłyszeliśmy komunikat o inwazji na kontynent. Pierwsze oddziały 21. Grupy Armii, do której i my należeliśmy, wylądowały. Etapami zaczęliśmy przemieszczać się do punktów załadunkowych. Wreszcie dotarliśmy do Aldershot – miasta-koszarów (na zachód od Londynu). Tam rozpoczęło się ładowanie amunicji do czołgów, odbywały się ostatnie odprawy, wyznaczano oficerów i podoficerów transportowych. Mnie także przydzielono funkcję podoficera transportowego. 27 lipca opuściliśmy Aldershot i pojechaliśmy do „Transit Camp”, obozu przejściowego w porcie londyńskim. Ludzi oddzielono od samochodów (za wyjątkiem kierowców), wozy pochowano do załadunku blisko ramp, a nas skierowano do namiotów. W dużym namiocie było nawet kino, ale w całym obozie wykopane były zygzakowate rowy, w których chowano się, gdy nadlatywały rakiety V1 czyli „ślepagraty” (jak je nazywaliśmy). Mimo dużej ilości zestrzelonych przez nasze lotnictwo pocisków, wiele docierało do Londynu i okolic. W „Transit Camp” spaliśmy tylko przez jedną noc, a na drugi dzień po południu weszliśmy na okręt, gdzie na dnie były już

załadowane samochody. Okręt odpływał powoli i jeszcze przez dwie noce przyszło nam stać u ujścia Tamizy. Zrobiono alarmy próbne, każdy dowiedział się, z jakiej łodzi ratunkowej ma korzystać, na noc położyliśmy się pod pokładem, musieliśmy chodzić z nadmuchiwanym pasem ratunkowym. 31 lipca ruszyliśmy całym konwojem, około stu okrętów z wojskiem i sprzętem. Wokół płynęły kontrtorpedowce, okręty wojenne, niszczyciele i krążowniki. Po drodze mijaliśmy wraki zatopionych okrętów oraz betonowe platformy przeciwlotnicze zamocowane w morzu jak małe fortece. Ciemno już było, gdy przepływaliśmy przez Cieśninę Kaletańską, byliśmy już w zasięgu ciężkiej artylerii niemieckiej. Miałem służbę przeciwpożarową na pokładzie, przepływaliśmy w zupełnej ciszy, nie można było zapalić papierosa ani głośno rozmawiać. Po około dwóch godzinach wpłynęliśmy na szersze wody, rano stanęliśmy całym konwojem, w powietrzu było pełno balonów zaporowych. Zaczęły podpływać duże łodzie transportowe i rozpoczął się przeładunek sprzętu, a my schodziliśmy po drabinach linowych. Wylądowaliśmy na piaszczystym brzegu, gdzie zbieraliśmy się w wyznaczonych punktach, a nasze wozy techniczne stały już w cieniu drzew. Przy szosie leżały kable telefoniczne, włączyliśmy się do sieci telefonicznej 2. Korpusu Kanadyjskiego, uruchomiliśmy centralę i rozpoczęliśmy pracę jak na ćwiczeniach. Ja uruchomiłem Fullerfon i zacząłem korespondować po angielsku z 2. Korpusem Kanadyjskim. Już w tym samym dniu z meldunków sytuacyjnych wiedzieliśmy, które jednostki są na południowo-wschodniej linii. My w *sit-repie*⁴⁸ wzmiankowani byliśmy jako odwód. Dywizja zaczęła lądowanie 29 lipca i zakończyła 4 sierpnia. Po lądowaniu była koncentracja, uzupełnianie amunicji, a saperzy przyzwyczajali się do rozbrajania min niemieckich.

Pierwsze kroki na ziemi francuskiej (2 sierpnia 1944 roku), a zarazem na kontynencie europejskim, dodały nam otuchy. Dotychczas tylko szkoliliśmy się i słuchaliśmy komunikatów, teraz nareszcie dołączaliśmy do walki. Przypomina mi się niezwykła „odprawa dla wszystkich”, na której generał Maczek kazał wymalować wielką, kolorową mapę sytuacyjną i polecił, by zobaczyli ją wszyscy żołnierze obsługi sztabu. Siedzieliśmy na trawie, a generał stał z kijem w ręku i pokazywał którędy uderzymy, kto pomoże z lewej, a kto z prawej strony. Czuliśmy, że nie ma lepszej, bardziej zespólonej i tak dobrze rozumiejącej swoje zadania dywizji, jak 1. Dywizja Pancerna skupiająca Polaków ze wszystkich rejonów kraju, a nawet z zagranicy. Wszelkie zaściankowe antagonizmy zniknęły, liczyła się tylko współpraca, wzajemne zrozumienie, pomoc i wspólny cel. Nawet stosunek żołnierzy do oficerów był bardziej rodzinny, aniżeli formalno-służbowy. Koncentrowaliśmy się w okolicy miasteczka Bayeux. Z daleka widzieliśmy tylko napisy na niektórych domach lub ruinach, ale siedzieliśmy w ogrodach, między drzewami. Na otwartej przestrzeni ogrodu były stogi siana, postanowiliśmy tam z kolegą Władkiem Kunikowskim (pochodzącym z Łodzi) przespać pierwszą noc we Francji. Śmialiśmy się z innych, którzy lokowali się pod wozami. Nie zdążyliśmy zasnąć, jak rozpętało się piekło. Samoloty niemieckie wdarły się w rejon powietrzny naszych ugrupowań i rozpoczęła się potężna kanonada artylerii przeciwlotniczej. Uciekliśmy szybko z naszego sianka pod jakiś wóz.

⁴⁸ *Sit-rep (situation report)* – raport sytuacyjny.

7 sierpnia zarządzono pogotowie marszowe. Klucząc w ciemnościach różnymi drogami, ruszyliśmy w kierunku miasta Caen, które było przez trzy dni bombardowane przez nasze lotnictwo. Przejeżdżając, widzieliśmy głębokie leje po bombach, a miasto było mocno zrujnowane. Pogoda była słoneczna, zjeżdżaliśmy w dół szosy, gdzie po obu stronach ustawiona była artyleria, od której dobiegał straszny huk. Jechałem w przedniej części naszego wozu na swoim miejscu oddzielnym od reszty. Nagle zauważyłem, że wszyscy wyskakują z wolno posuwającego się pojazdu. Zrobiłem to samo i dopadłem jednego z większych lei, gdzie schowało się już kilkunastu żołnierzy. Okazało się, że amerykańskie lotnictwo pomyłkowo zbombardowało własne jednostki. Trafili także w amunicję artyleryjską, która teraz wybuchała. Jeden duży kawał wylądował dosłownie pół metra od mojej głowy. Po jakimś czasie uspokoiło się i pojechaliśmy dalej, ale straty były niemałe. Zginął jeden oficer i siedemnastu żołnierzy z artylerii, było też wielu rannych. Jednak trzeba było dalej normalnie pracować. Zakładaliśmy skrzynki dołączeniowe w lewo i w prawo, do nich podłączały się patrole telefoniczne różnych jednostek, w tym dowództwa dywizji kanadyjskich. Zagęszczenie wojska było ogromne, napływały pierwsze meldunki z linii frontu oraz pierwsi zabici i ranni. Naokoło pojawiały się błyski dział i „koncert artyleryjski”, który towarzyszył nam już do końca działań. Miejsce postoju zmieniliśmy 9 sierpnia, przesuwając się do przodu o kilka kilometrów, następnego dnia znowu o kilka. 11 sierpnia miałem służbę nocną przy Fullerfonie, aż do rana odbierałem i nadawałem sit-repy. Część kolegów spała pod wozami, część pracowała w wozie oświetlonym światłem z akumulatorów. Meldunki dochodziły do tysiąca słów, niektóre trochę mniejsze, niektóre zaszyfrowane. Siedziałem w swojej kabinie, obok kapral z angielskiej misji łącznikowej, a przy wejściu Edward Betinek rejestrujący meldunki i odsyłający je gońcami pieszymi i motocyklowymi do poszczególnych działów sztabu. Wszyscy mieliśmy osiatkowanie maskownicze i staliśmy w zmierzwionym polu żyta. W małych przerwach gotowałem sobie na świecowym grzejniku herbatę, która mnie orzeźwiała. Wejście i okna wozu zasłonięte były kocem, ale cały trząsł się od wybuchów. 13 sierpnia znowu nastąpiła zmiana, przesunęliśmy się jakieś trzy kilometry do przodu, zmieniając kierunek natarcia z południowego na południowo-wschodni. Dwa dni później przesunęliśmy się szybko w miejsce, gdzie jeszcze przed pół godziną czołgi nasze zgniotły silną pozycję przeciwpancerną wśród drzew i krzaków otaczających łąkę, pełną pachnących kwiatów polnych. Kiedy tam przyjechaliśmy, jeńcy niemieccy zbierali swoje trupy, a my musieliśmy parę metrów od nich instalować ośrodek łączności. Z Władkiem Kunikowskim zrobiliśmy sobie parę kroków od wozu mały schron, który nakryliśmy blachą od zestrzelonego samolotu. W międzyczasie dojeżdżali inni, zrobił się ruch, na drugi dzień przybyło czterech kapelanów wojskowych (w tym jeden rabin). Ich zadaniem było m.in. spisywanie zabitych i rannych. 16 sierpnia znowu nastąpiła zmiana miejsca postoju o kilkanaście kilometrów, przekroczyliśmy rzekę Dives, a między krzakami i drzewami założyliśmy ośrodek łączności. Przed południem pojawiły się samoloty niemieckie i coś zrzuciły. Nie były to jednak bomby, lecz zasobniki z zapasami dla swoich wojsk. Nie wiedzieli, że już ich tu nie było. Pod wieczór, jakieś 150 metrów od nas

stał wóz dowodzenia nr 3, a obok niego siedział porucznik Wasilewski. W środku pracował jeszcze major i młody telegrafista. Nagle z małych chmur wyleciał niemiecki samolot i zrzucił bomby przed wóz. Zginął telegrafista i porucznik Wasilewski, a major został ranny. Śpiący pod wozem ludzie wyszli bez szwanku, tylko nieco osmaleni. Następnego dnia przyjechała służba sanitarna z beczkowozem (zainstalowano na trawie prysznic i mogliśmy się wreszcie wykąpać), a kolejnego dnia (18 sierpnia) dotarła nasza kuchnia polowa. Gdy jadłem na stojąco śniadanie, ktoś do mnie podszedł i kazał zgłosić się do dowódcy. Zameldowałem się u przełożonego, a ten poinformował mnie o specjalnym zadaniu. Miałem dostać wóz techniczny (z kierowcą Edkiem Adamskim), telemechanika, patrol naprawczy oraz ludzi do obsługi, a także instalację Fullerfon. Celem wyjazdu był wysunięty punkt dowodzenia (w odległości około kilkunastu kilometrów) dowódcy dywizji bitwy o Maczugę⁴⁹ i Chambois. Były tam już telefony artylerii oraz innych jednostek, a ja miałem zorganizować wysunięty ośrodek łączności.

Wyjechaliśmy z Władkiem Kunikowskim, moim zmiennikiem do pracy na Fullerfonie, całą załogą, a nawet gońcem zaopatrzoną w mały samochód pancerny. Wśród wawozów stały wozy dowodzenia 1. i 4. (czwarta misja łącznikowa angielska), cztery czołgi osłony, kilka aut pancernych i obsługi sztabu. Przy liniach złączonych na dwóch aparatach telefonicznych pracował patrol artylerii. Moi ludzie szybko poprzypinali wszystko do centrali i rozpoczęli budowę innej linii do głównego dowództwa dywizji. Wóz zamaskowano i wyznaczyłem ludzi do zabezpieczania go, bo niedaleko znajdowały się odcięte jednostki wroga. Teren nokoło świadczył o niedawnych walkach, tu i ówdzie leżały zniszczone działa. Wóz generała Maczka był dobrze zamaskowany i stał niedaleko nas w wąwozie. Siedziało tam wielu dowódców, słychać było rozmowy prowadzone z jednostkami na wzgórzach Ormel. Kiedy założyłem ostatnie kable na drzewie, a telemechanik Karol Makowski pomagał mi regulować aparat, zjawił się pułkownik Jan Grajkowski i polecił mi stale meldować o stanie linii. Robiłem to dość często, bo stale naprawiano jakąś linię, a jakaś ulegała uszkodzeniu wskutek działań wojennych. Oprócz sprawowania dozoru nad linią, pracowałem na Fullerfonie. Napływały długie, tasiemcowe raporty sytuacyjne, bo wokół nas wiele się działo. Jednostki niemieckie przedzierały się na północny wschód, a część naszych wojsk także była odcięta od swojego dowództwa. Przez jedną miejscowość przechodziła kolumna polska, a za jakiś czas znowu pojawiali się Niemcy. Nareszcie 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna trochę się posunęła, zbliżała do Trun i do rejonu naszego działania. My byliśmy klinem wbitym we front niemiecki. W ośrodku łączności wiedzieliśmy o tym doskonale z przekazywanych meldunków. Ta świadomość i powaga sytuacji wymagała podwójnej dyscypliny. 20 sierpnia dostaliśmy telegraficzne ostrzeżenie, że Niemcy planują zrzuty spadochroniarzy dla odblokowania zamkniętych przez wojska alianckie dróg. Nakazano wzmożoną czujność. Kto nie miał dyżuru na centrali lub przy telefonie, musiał pełnić służbę patrolową. Na zmianę z Kunikowskim pracowaliśmy na Fullerfonie. Wiadomości były coraz bardziej emocjonujące. Meldowano, że dwie niemieckie dywizje pancerne chcą od wschodu przebijać się na Maczugę. Miałem wtedy łączyć rozmowę generała Maczka z dowódcą 2. Korpu-

⁴⁹ Właśc. bitwa o wzgórze Mont Ormel, stoczona w dniach 19–21 sierpnia 1944 roku.

su⁵⁰, ale linie były zajęte. Generał Maczek słyszał polecenia zwolnienia linii dla rozmowy operacyjnej pierwszego stopnia, słyszał też głos dowódcy 2. Kanadyjskiego Korpusu generała Guya Simondsa zabraniającego przerwania połączenia. W takiej sytuacji nasz generał zarządził zwołanie wszystkich jednostek na „okólnik”. Mój telefonista wywołał po kolei kilkanaście jednostek, sprawdził obecność i zameldował generałowi, że wszyscy już są na linii. Generał Maczek rozkazał: „wykładać płachty tożsamości, a jak nie macie to białe gacie i ręczniki, z których zrobicie gwiazdy. Za 20 minut nasze lotnictwo będzie interweniować. Chcę, aby nie było strat”. I taka właśnie była atmosfera tamtych dni. Wieczorem „odwiedziło” nas lotnictwo niemieckie, ale tylko przelotem. Za to kapral przyprowadził mi jeńca – oficera brytyjskiego, który w czasie nalotu świecił latarką. Zapytałem go po angielsku, kim jest i co tu robi. Powiedział, że jest angielskim oficerem łącznikowym, zabłądził i dlatego świecił. Zaprowadziłem go pod wóz generała i zameldowałem szefowi sztabu, co zaszło. Był tam szef angielskiej misji, który poznał oficera. Wyjaśniło się nieporozumienie, ale pochwalono nas za czujność.

Emocje rosły. Słyszeliśmy uzgadnianie terminów zrzutów zaopatrzenia dla naszych jednostek odciętych w Chambois. Po południu podchorąży służący przy centrali zgłosił mi awarię. Doznałem szoku, bo nagle wszystkie linie przestały „grać”. Posłałem go, aby sprawdził obwody i dopływ prądu z akumulatorów, a on ciągle twierdził, że sprawdził i nie wie, co dalej robić. W końcu sam poszedłem do centrali i zauważyłem wypchnięty (przez jego niezdarne kolana) szeroki „grzebień” zawierający kilkadziesiąt kontaktów doprowadzających. Kiedy go docisnąłem, wszystkie linie głośno „zagrały”. Opieprzyłem go i pogroziłem rewolwerem. Był błądy, a ja mocno zdenerwowany. W największym kryzysie bitewnym, gdy wszystko było napięte do granic, a każda rozmowa telefoniczna była na wagę życia i śmierci, nie można popełniać tak rażących błędów. Szczęśliwie było to jedyne takie wydarzenie, poza tym wszyscy moi ludzie spełniali dobrze swoje zadania. Spośród załogi pamiętam wspomnianego już kilkakrotnie Władka Kunikowskiego, dalej Alojzego Janotę (z Chebzia), A. Rusakiewicza (dziennikarza), T. Wojciechowskiego (nauczyciela gimnazjalnego z Wilna), Tyszyńskiego oraz kilku innych, których nazwiska uleciały już z mojej pamięci. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z naszego położenia i tego, że jesteśmy w samym centrum dowodzenia jedną z ważniejszych, historycznych bitew II wojny światowej. Nie było czasu na refleksję, bo trzeba było sprawnie wykonywać swoje obowiązki, trochę się przespać, coś zjeść i nerwy trzymać na wodzy.

21 sierpnia 1944 roku, po dżdżystej nocy, w czasie której znowu kilka razy musieliśmy chować się przed nalotami, ranek był słoneczny. Pułkownik Grajkowski przyszedł do naszego wozu zapytać o samopoczucie, był ochrypnięty od ciągłego gadania przez radio. Czuło się atmosferę wyczekiwania, ale i rozprężenia. We wczesnych godzinach popołudniowych oficerowie powychodzili z wozu nr 1, pomogli generałowi odświeżyć się, a jego kucharz upiekł (a właściwie usmażył) gęś czy kurę zorganizowaną z pobliskich gospodarstw. Kryzys minął. Kanadyjczycy nareszcie dołączyli. Zadania dywizji zostały spełnione. Ze starego dowódcy

⁵⁰ Chodzi o II Korpus Kanadyjski 1 Armii Kanadyjskiej; w składzie Korpusu walczyła 4 Kanadyjska Dywizja Piechoty.

two przyjechało mnóstwo wozów z różnymi oficerami, korespondentami wojennymi. Przyjechała nawet kuchnia polowa naszego szwadronu, której dawno nie oglądaliśmy. Jednemu polskiemu korespondentowi pożyczyłem swoją menażkę, aby się posilił. Odwiedził nas też dowódca plutonu porucznik Grybski. Z wysuniętego punktu dowodzenia dużo wozów pojechało zobaczyć „Psie Pole” pod Maczugą⁵¹. Widziałem, jak przywieziono stamtąd porządek dowódcy korpusu SS⁵² zdobyty przez polskie wojsko.

Na tym miejscu postojemy byliśmy jeszcze przez jedną noc, a potem pojechaliśmy na kilkudniowy odpoczynek, gdzie kąpaliśmy się, porządkowaliśmy sprzęt i mundury, a dywizja uzupełniała straty. Przyjechał nawet angielski zespół rozrywkowy z ENSY⁵³, żeby zatrzeć ślady przeżyć wojennych swoimi występami baletowymi. Byłem delegowany na tę imprezę i patrzyłem na twarze żołnierzy tego dzielnego pułku, który stracił najwięcej kolegów w ostatnich dniach. Teraz oglądali zgrabne nóżki tancerek i jakoś mi to do siebie nie pasowało. Tymczasem front oddalił się nad Sekwanę. Po kilku dniach ruszyliśmy znowu naprzód. Teraz był to już pościg, bo Niemcy wycofali się daleko, zostawiając jedynie enklawy w portach. W nocy schowaliśmy się w sporym lasku na brzegu Sekwany. Nasi saperzy zbudowali tu długi most o nazwie „Warszawa”. Przejechaliśmy go zwartymi oddziałami po północy, potem minęliśmy Rouen, dalej kolejne miejscowości. W dzień tłumy ludności francuskiej wiwatowały na naszą cześć. Dzieciom rzucaliśmy czekoladki z zapasów, dorośli prosili nas o papierosy, którymi ich częstowaliśmy. Stanęliśmy dopiero pod Abbeville, gdzie nasza piechota zdobywała miasto. W drodze do Lille minęliśmy kolumnę ponad 800 jeńców niemieckich. Na jej czele szedł oddział z polską flagą, byli to nasi rodacy przymusowo wcieleni do Wehrmachtu. W Lille po raz pierwszy zanocowaliśmy w jakimś gospodarstwie ogrodniczym, a potem jechaliśmy dalej w kierunku granicy belgijskiej. Przed samą granicą rozbiliśmy obóz w rzadkim lesie. Ustawiliśmy namioty i przygotowywaliśmy się do snu, gdy zjawił się dowódca plutonu i zarządził dyżur na wysuniętym ośrodku. Przejechaliśmy parę kilometrów i znaleźliśmy się przy dowództwie w jakiejś wiosce belgijskiej. Tam kazali nam wypocząć. Nocowałem w jakiejś chałupie chłopskiej. Gospodarze już wcześniej gościli Polaków, teraz poczęstowali mnie belgijskimi trunkami, które piłem po raz pierwszy.

6 września 1944 roku nasi żołnierze wyzwolili miasto Ypres, gdzie w czasie I wojny światowej pierwszy raz użyto gazów bojowych, zginęło wtedy wielu żołnierzy, a miasto zostało całkowicie zniszczone. Teraz nasza Dywizja Pancerna zdobyła miasto błyskawicznie, bez użycia artylerii. Miejscowe kobiety, z wdzięczności, każdego żołnierza publicznie całowały na ulicy. Jedną uroczą piękność, która mnie pocałowała, poprosiłem o powtórkę. Chętnie to zrobiła ku uciesze gapiów i kolegów. W godzinach popołudniowych zatrzymaliśmy się na głównej drodze miasta wśród domów. Po prawej stronie była wytworna restauracja. Jej właściciel stał

⁵¹ Miejsce bitwy o wzgórze Mont Ormel.

⁵² Chodzi zapewne o walczącą w bitwie o Mont Ormel 2. Dywizję Pancerną SS „Das Reich”.

⁵³ Entertainments National Service Association (ENSA), organizacja założona dla zapewnienia rozrywki żołnierzom brytyjskim na frontach II wojny światowej.

przed lokalem i nawiązał ze mną rozmowę po angielsku. Ofiarował mi komplet widokówek z Ypres upamiętniających historyczne budowle. Nie zatrzymywaliśmy się jednak na dłużej, bo teraz już nie było wojny pozycyjnej, tylko coraz szybsze spychanie Niemców. 8 września przejechaliśmy przez Roeselare na postój w Tielt. Wtedy przez jeden dzień miałem posterunek na stacji kolejowej i tam obsługiwaaliśmy telefony polowe. Podjechały do nas dwa polskie czołgi, w których znajdowali się też przebywający na stażu w naszej dywizji czescy oficerowie z 1. Czechosłowackiej Brygady Pancernej.

Podczas gdy nasze oddziały zajmowały teren i oczyszczały kolejne miejscowości, my łącznościowcy opanowywaliśmy wszelkie środki komunikacji telegraficzno-telefonicznej w tej gęsto zaludnionej aglomeracji. Głównym organizatorem akcji był zastępca dowódcy łączności major Bronisław Front, który stopniowo brał mnie pod swoją bezpośrednią komendę. Zaczęło się od Gandawy, gdzie poszliśmy na główną pocztę do centrali telefonicznej. Przedstawił mi dyrektora technicznego poczty – starszego, sympatycznego pana, który miał mi podlegać, a major miał z terenu przekazywać rozkazy. Wszystkie telefony prywatne zostały wyłączone, pozostawiono tylko połączenia do straży pożarnej, policji i szpitali. Pluton telefoniczny porucznika W. Suwińskiego dołączył kilka linii polowych do różnych jednostek. Inne jednostki, stacjonujące w różnych częściach miasta, korzystały z telefonów w prywatnych domach (telefony te musiałem im uruchamiać). Miasto było jeszcze pod ostrzałem ciężkiej artylerii niemieckiej, ustawionej na platformach kolejowych. Dyżurowałem w nocy i nasłuchiwałem się wielu komend artyleryjskich w rodzaju: „seriami, pojedynczo, nękające” itp. Drugiego dnia odwiedziły nas telefonistki belgijskie, które teraz nie miały zajęć, i miło z nimi porozmawialiśmy. Z okna poczty widziałem ogromny desant powietrzny lecący na Eindhoven i Arnheim⁵⁴. Brali w nim udział też polscy spadochroniarze. Z majorem Frontem prowadziliśmy kilka akcji wysyłania telemechaników belgijskiej poczty w teren z eskortą i pomocą samochodów naszego szwadronu. Budynek poczty znajdował się w samym centrum Gandawy, a naokoło było pełno „kafejek”. To też żołd, który cały czas pobieraliśmy w walucie alianckiej (honorowanej w krajach wyzwolanych), szybko zaczął topnieć. Ubywało też papierosów angielskich, bo Belgowie ich prawie nie mieli, za to częstowali nas cygarami. Zatelefonowałem więc do Edka Betinka (który nie palił) i ten przysłał mi przy okazji kilkaset papierosów.

Po paru dniach (9 września) musiałem opuścić pocztę w Gandawie i wróciłem do plutonu, który był już w Lokeren. Nasi żołnierze „oczyszczali” brzegi licznych kanałów oraz cały lewy brzeg rzeki Skaldy, my mieliśmy trochę wolnego przed następną misją. Mieszkaliśmy w jakimś klasztorze, gdzie można było się wykąpać i wypaść. Przedpołudniem spotkałem kolegę z Katowic Teodora Słowika i poszliśmy do miejscowej kawiarni. Po drodze dołączył do nas podporucznik Fleszar⁵⁵, który był dowódcą plutonu łączności przy batalionie saperów. Trochę z nim

⁵⁴ Miejscowość Arnheim w Holandii, gdzie rozegrała się kluczowa dla ofensywy wojsk sojuszników bitwa z udziałem polskiej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

⁵⁵ Zapewne chodzi o Mieczysława Fleszara (1915–1973), naukowca specjalizującego się po wojnie w historii i metodologii nauk geograficznych.

współpracowałem w Melrose przy organizacji imprez kulturalnych i bardzo się lubiliśmy. W kawiarni na stojąco wypiliśmy kilka kieliszków wina, a przez otwarte drzwi słysząc było huk artylerii.

Kiedy alianci dotarli już do morza (w Terneuzen), nasza dywizja została przegrupowana. Chwilowo zostaliśmy przeniesieni do 30. Korpusu Brytyjskiego⁵⁶. Dywizja została przerzucona na prawy brzeg Skaldy i weszła do akcji w kierunku granicy Holandii. Bruksela była już w naszych rękach. U ujścia Skaldy ominęliśmy wyspę Walcheren, którą Kanadyjczycy mieli „oczyścić” z lądu i morza, po czym ruszyliśmy na Baarle-Nassau (na granicy Holandii i Belgii). Znowu zostałem wydzielony z wozem nr 2 i nieco zmienionym składem załogi. Byliśmy w stałej dyspozycji dowództwa, choć pozwolono nam dla wypoczynku ulokować się w eleganckim majątku blisko szosy, ale jak się okazało – nie na długo. Nowo przydzielony do nas kapral podchorąży Lowenstein (władający kilkoma językami) załatwił eleganckie pokoje dla załogi, a dla mnie i dla siebie supereleganckie. Nawet nie zdążyliśmy się dobrze rozlokować, gdy przyjechał goniec motocyklowy z rozkazem majora. Musieliśmy natychmiast jechać za nim do szosy, gdzie czekał na nas porucznik Kazimierz Kalinkiewicz i pokazał nam, gdzie mamy się kierować. Na zakręcie z samochodu wychylił się major, który kazał jechać za swoim wozem. Skończyły się zabudowania i dostaliśmy się na szosę wysadzaną drzewami liściastymi. Pociski artylerii niemieckiej padały raz z jednej, raz z drugiej strony. Skręciliśmy w lewo w małą uliczkę przed jakąś niewielką miejscowością. Stał tam mały, parterowy budynek poczty. Centrala była uszkodzona przez bombardowanie artyleryjskie, ale kable podziemne były w porządku. Ustawiliśmy wóz obok budynku i naszymi kablami połączyliśmy pocztę z centralą w wozie. Dwóch mechaników belgijskich pomogło nam uruchomić centralę. Jedna linia polowa prowadziła do dowództwa dywizji u wejścia do lasu w kierunku Turnhout, a dwie drużyny telefoniczne (kaprała J. Dziury i plutonowego J. Wiechny) pracowały w terenie i ciągnęły długą budowę do 2. Dywizji Kanadyjskiej. Wachmistrz F. Rozwadowski, który dołączył linię od dywizji do poczty, czekał w pogotowiu, aż Dziura i Wiechno skończą, a wówczas on ze swoją drużyną mieli ciągnąć do kolejnych jednostek. Major Front co chwilę pytał o postęp prac. Obie drużyny meldowały stale o kolejności wybudowanych odcinków, ale trwało to bardzo długo. Zacząłem się zastanawiać nad innym rozwiązaniem i spytałem mechaników belgijskich, czy kabel na Antwerpię jest cały (Antwerpia już była w naszych rękach). Odpowiedzieli, że tak i wtedy poprosiłem o połączenie z Antwerpią, będąc pewnym, że wszystkie poczty muszą być obsadzone przez wojsko. Istotnie zgłosiła się centrala w Antwerpii po angielsku. Poprosiłem o rozmowę z dowódcą centrali i przedstawiłem się mu jako nadzór Signal Office Polish Armoured Division⁵⁷, bo tak zawsze kazano mi się przedstawiać. Poprosiłem wprost o możliwość stałego połączenia z 2. i 3. dywizją. Oficer kazał chwilę poczekać, po czym potwierdził jedną linię, ale druga była przerwana. Poprosiłem go znowu o próbę okrężną (przez centralę rejonową). I udało się! Do-

⁵⁶ 30 Korpus Brytyjski jako jeden z dwóch korpusów wchodził w skład brytyjskiej 8. Armii; dowodził nim gen. por. Charles Norri.

⁵⁷ Biuro Sygnału Polskiej Dywizji Pancernej.

stałem dwie linie, zablokowane w Antwerpii tylko dla nas. Szybko zadzwoniłem do majora Fronta z tą informacją. Nie chciał wierzyć, więc połączyłem go z dywizjami. Za 15 minut był samochodem u nas, a wcześniej przekazał Rozwadowskiemu, że nie będzie w nocy budował linii i ma wracać do dywizji. Także Wiechno i Dziura mogli przerwać budowę. Wszyscy byli zaskoczeni, ale bardzo zadowoleni, a major gratulował mi pomysłu i inicjatywy.

Na drugi dzień (30 września) z rana dołączyliśmy do kolumny sztabu rozciągniętej już na szosie i ruszyliśmy w kierunku Turnhout, Alphen i Baarle-Nassau. Około południa znowu stanęliśmy w lesie. Dowództwo ulokowało się po lewej stronie szosy, natomiast my wzdłuż prostopadłej szerokiej drogi leśnej wraz z różnymi jednostkami sztabowymi. Po głównej szosie przejeżdżały bataliony piechoty oraz pułk dragonów (piechota szturmowa na carriersach gąsienicowych⁵⁸). Z prawej strony od naszego postoju las się przerzedzał, widzieliśmy polany i wąwozy, którymi posuwały się liczne pułki artyleryjskie. Najbliżej nas widzieliśmy jednostkę szkocką w oryginalnych furażerkach. Zajęci byliśmy porządkowaniem naszych wozów, gdy nagle nad naszymi głowami rozległa się huraganowa salwa i wszyscy rzucili się do rowów.

Granicę holenderską przekroczyliśmy 5 października za Turnhout i byliśmy już w prowincji Baarle-Nassau. Szybko jednak całe dowództwo dywizji musiało się cofnąć znowu do Turnhout, gdyż za bardzo wysunęło się do przodu i Niemcy je zlokalizowali. Wysłali snajperskie działo samobieżne, które oddało kilka strzałów. Przeważnie staliśmy w lesie, ale co chwila musieliśmy zmieniać miejsce postoju. Zrobiło się zimno. Miałem wtedy sporo nocnych służb. Stale słysząc było artylerię. Na polanie, koło holenderskiej wsi, natrafiliśmy na ogromne pobojuwisko: kilkadziesiąt zabitych krów, rozbite stanowiska niemieckie. Utkwił mi w pamięci obraz zabitego żołnierza niemieckiego z przyciśniętym do piersi karabinem maszynowym. Wyglądał niczym odlany ze spiżu. 7 września rano ruszyliśmy do przodu wzdłuż płonącej wsi. I znowu ujrzeliliśmy groźny i wielobarwny widok: zorzę poranną, palące się domy i wielkie rumowisko. Po raz drugi dotarliśmy do miejscowości Baarle-Nassau. 8 października rozlokowaliśmy się w zabudowaniach dużej farmy. Spaliśmy w stodołach i piliśmy dużo mleka. I tu zostaliśmy aż do 17 października. Z odbieranych przeze mnie meldunków, a także od przesłuchiowanych jeńców wiedzieliśmy, że Niemcy na noc zostawiali tylko dyżurne działa, a sami szli spać do domów. Zwykły ostrzał zaczynał z rana. Teren był bardzo miękki i nasze czołgi miały problem z rozwinięciem akcji. Także Kanadyjczycy z lewej strony od nas mieli ciężki teren, dużo przybrzeżnych kanałów, półwyspów i wysp. Front się zatrzymał, a Niemcy przygotowywali się do kontrataku, ale wypad naszej piechoty udaremnił te zamiary. W dzień nasze myśliwce pokazały nam widowisko – atak z powietrza na baterie niemieckie.

18 października ruszyliśmy do Weelde. Po licznych służbach i dyżurach miałem chwilę oddechu. Kwaterowałem na eleganckim strychu przyjemnej farmy flamandzkiej. Miałem radio nadające muzykę, a naprzeciwko była restauracja.

⁵⁸ 10 Pułk Dragonów, oddział piechoty zmotoryzowanej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, używał transporterów gąsienicowych Carrier.

Dyżurowałem co drugi dzień. Stale kluczyliśmy na pograniczu belgijsko-holenderskim. Wreszcie 31 października wjechaliśmy do Bredy, o którą toczył się trzydniowy bój. Zajęliśmy kwaterę w seminarium duchownym, dużym i obszernym budynku, w którym wcześniej stacjonowała niemiecka jednostka Luftwaffe. Pozostał po niej bałagan, który musieliśmy posprzątać. W dużej sali na parterze budynku urządziliśmy ośrodek łączności, a nasze kwatery na górnych piętrach. Po drugiej stronie ulicy stanęło dowództwo dywizji. Znalazłem fryzjera i wykąpałem się w łaźni miejskiej. Potem poszedłem do kościoła. Artyleria „grała” do mszy. W tej części południowej Holandii, przeważnie katolickiej, ludność odnosiła się do nas bardzo przyjaźnie. Poznałem rodzinę von Hoeck (miejscowego piekarza). Zapraszali mnie do swojego domu. Razem z Edkiem Adamskim spędziłem tam kilka miłych wieczorów. Państwo Hoeck mieli aż jedenaścioro dzieci. Szczególnie spodobałem się córce Marii, która przy każdej wizycie nie odstępowała mnie na krok. Trochę można było zapomnieć o wojnie, choć cały czas słychać było artylerię. Niemcy wystrzelili spoza Mozy swoje rakiety V1 i V2. Celem ich była Antwerpia. Po drodze artyleria przeciwlotnicza wszystkich alianckich dywizji tworzyła pasy ochronne i zestrzeliła bardzo dużo nieprzyjacielskich rakiet.

Nad Mozą przyszło nam stacjonować przez całą zimę, bo tam zatrzymał się cały front. Naszym zadaniem było utrzymanie dość długiego odcinka Mozy aż po ujście do morza. Jednostka stanęła nad rzeką w bunkrach oraz schronach i stale patrolowała okolicę, bo po drugiej stronie szerokiej rzeki byli jeszcze Niemcy. Prowadziliśmy bardziej stabilny tryb życia. Służba w ośrodku, a potem wolne: łażnia, koncerty, a nawet zabawy oraz wizyty u rodziny znajomego piekarza. Maria już całkowicie się do mnie „przyklepiła” i miałem dość poważny osobisty problem, bo groziło mi małżeństwo. W Holandii panował taki zwyczaj, że wystarczyło cztery razy spotkać się z dziewczyną, ażeby być zobowiązanym do dalszych kroków. Brat ojca Marii był proboszczem w Bredzie i zaraz porozumiał się z naszymi kapelanami. Z tego powodu zostałem wezwany do księdza pułkownika Antoniego Warakomskiego⁵⁹ na osobiste przesłuchanie. Wyjaśniłem sytuację i musiałem zerwać kontakty z rodziną piekarza.

Czas zatrzymania frontu wykorzystywano na przygotowania do dalszej ofensywy. Saperzy ćwiczili forsowanie linii umocnionych, a łączność alfabet Morse’a. Czołgom mocowano działa większego kalibru. Dywizja dostała ciężkie samochody pancerne. Ja nadal odbierałem i nadawałem raporty sytuacyjne. Odbierałem też i wysyłałem masę listów z Anglii i do Anglii. Tłumaczyłem kolegom listy od Angielek i Szkotek. 14 grudnia dostałem dwa dni urlopu „rozrywkowego” do Brukseli i zakwaterowanie w luksusowym Hotelu Royal koło Dworca Północnego. Skorzystałem z porządnej kąpieli w hotelu, załatwiłem w wojskowych kantorach wymianę waluty i odwiedziłem kilka większych i mniejszych lokali z występami. O północy wróciłem. Na drugi dzień (który miał być pierwszym urlopowym) zostaliśmy zaalarmowani. Kazano nam szybko zjeść obiad i wsiadać do wozów. Urlop został odwołany, bo Niemcy rozpoczęły ofensywę w Ardenach. Nocą wróciliśmy do Bredy. Przywitał nas porucznik Grybski, który kazał na kwaterę wziąć tyl-

⁵⁹ Ks. Antoni Warakomski (1904–1971), kapelan 10. Brygady Kawalerii Pancерnej.

ko koce, bo reszta naszych rzeczy była już w wozach. Cała kolumna sztabowa stała ustawiona do wczesnego rannego wyjazdu. Udaliśmy się do miejscowości Vucht na wschód od Bredy. Sztab dywizji rozlokował się w budynku szkolnym z ośrodkiem łączności na parterze. Od razu miałem dyżur. Całe nasze wojsko zostało przegrupowane, czołgi patrolowały drogi wzdłuż Mozy. W nocy odbyła się odprawa u dowódcy dywizji, a rano całe dowództwo przeniosło się z powrotem do Bredy, razem ze Szwadronem Łączności. Mnie z ekipą i drugim wozem pozostawiono na miejscu, jako ośrodek pośredni. Przejęliśmy dodatkowy odcinek i było dużo linii, szczególnie artyleryjskich. Została też drużyna telefoniczna, która bez ustanku naprawiała uszkodzone linie. Musieliśmy też patrolować i ubezpieczać najbliższą okolicę. Dostałem awans na plutonowego. W godzinach wieczornych przyjechał porucznik Grybski i przywiózł nam poczęstunek wigilijny. Każdy dostał dużą, słodką bułkę, parę kieliszków wódki i trochę wędlin. Na stojąco, przy małym stoliku, porucznik zapalił kilka świeczek, połamał się z nami opłatkiem i pojechał do Bredy. W nocy naliczyliśmy przeszło sto rakiet, które przelatywały nad nami.

I tak na służbie, dyżurach i patrolach spędzaliśmy czas z dala od naszych kolegów w Bredzie. Blisko naszego ośrodka znajdował się schludny budynek Zakładu Ojców Alojzjanów. Było tam około trzydziestu zakonników. Zaproponowali nam wspólne spędzenie Sylwestra i obiad w Nowym Roku. Ponieważ my nie mieliśmy czasu gotować, daliśmy im część naszego prowiantu, a oni przygotowali posiłek. Na podwórku szkolnym stał nasz wóz techniczny, w którym jeden dyżurny obsługiwał centralę, a drugi czuwał z bronią. Z wozu przerzuciliśmy kabel z aparatem telefonicznym na korytarz do Ojców Alojzjanów i każdy wziął swoją broń. W dużej sali usiedliśmy między zakonnikami i śpiewaliśmy kolędy: jedną po holendersku, jedną po polsku, a potem po angielsku. Były serdeczne rozmowy i herbata. Przed północą przeor zakonu poprosił wszystkich, żeby odmówili w swoim języku modlitwę Ojcze Nasz. On sam odmówił ją na głos po łacinie. Zegar wybił dwunastą i złożyliśmy sobie życzenia noworoczne. Dziesięć minut później zadzwonił zainstalowany przez nas telefon. Centralna nas zzywała – alarm! Wykoczyliśmy z budynku z bronią, podzieliliśmy się na patrole i całą noc byliśmy w pogotowiu. Przyczyną alarmu była strzelanina w pobliżu oraz przelatujące nad nami rakiety V1. Tak zakończył się Sylwester 1944 roku. Na drugi dzień zjedliśmy jeszcze obiad u zakonników. Pamiątką tego spotkania były wypisane przez Alojzjanów (po polsku, angielsku i holendersku) winiety z nazwiskiem każdego uczestnika i rubryką, w której się podpisał.

Sytuacja w Ardenach została opanowana. Klin niemiecki osiągnął około sześćdziesięciu kilometrów. Kiedy pogoda się poprawiła, nasze lotnictwo wzięło odwet i Niemcy się wycofali. Stojący naprzeciwko nas (za Mozą) niemiecki Korpus Spadochronowy⁶⁰ nie wszedł do akcji. W pierwszy dzień 1945 roku mogliśmy oglądać nad nami walki alianckich myśliwców z niemieckimi samolotami. Polskie dywizjony zaliczyły wówczas przeszło dwadzieścia zestrzeleń. Po opanowaniu sytuacji wróciła 4. Dywizja Pancerna (kanadyjska). Oddałem im wszystkie linie te-

⁶⁰ Chodzi prawdopodobnie o oddziały należące do niemieckiej 3. Dywizji Strzelców Spadochronowych.

lefoniczne i z całą załogą pojechaliśmy do Bredy. Front znowu stanął. Zbliżała się wiosna i wszyscy szykowali się do ostatniej ofensywy na Niemcy. W marcu zostałem wezwany do dowódcy. Znowu dostałem wóz nr 2, obsługę oraz patrol do napraw, a także mapnik ze zaktualizowaną sytuacją. Dowódca powiedział, że misja jest tajna: mamy się zameldować w ośrodku łączności 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancерnej, która pojutrze o czwartej rano weźmie udział w ofensywie w trójkącie granicznym Belgia-Holandia-Niemcy. Znowu przejeżdżaliśmy ośrodek w Vucht. Zameldowałem się u kanadyjskiego dowódcy ośrodka, który na razie dał mi jedną linię. Na drugi dzień pułk rozpoznawczy czołgów kanadyjskich przygotowywał się do akcji. Strojono kilkadziesiąt radiostacji czołgowych. Zauważyłem, że nie stosują strojenia przyciszonego (jak nas uczono) i w eterze odbijało się to potężnie. Tymczasem za Mozą stali Niemcy. Nie trzeba było długo czekać, bo wieczorem zaczęła strzelać w naszym kierunku artyleria niemiecka. Nad ranem Kanadyjczycy wyruszyli na front, a my zostaliśmy sami. Wkrótce znowu wróciliśmy do Bredy i szykowaliśmy się do dalszej walki.

Koniec wojny i powrót do Polski

Rozpoczął się długi marsz bojowy przez Eindhoven do Niemiec. Minęliśmy ruiny miasta Goch i mostem pontonowym przekroczyliśmy Ren. Po kilku dniach walk sforsowaliśmy Kanał Küsten. Walki były ciężkie, krok za krokiem posuwaliśmy się w głąb Niemiec. 12 kwietnia 1945 roku 2. Pułk Pancерny oswobodził obóz jeniecki Oberlangen, gdzie więziono kobiety z Powstania Warszawskiego. Odwiedziliśmy obóz, zaopatrzyliśmy go w broń, bo nadal trwała wojna, dostarczaliśmy też żywność. Niektórzy żołnierze odnaleźli tam swoje krewnie, wielu poznało swoje przyszłe żony. Ja też zaprzyjaźniłem się z pewną Zojką, ale poza krótką znajomością nic z tego nie wyszło. W tym czasie nie działo się nic specjalnie nowego. Na postojach pracowaliśmy w ośrodku łączności, raz w lepszych, raz w gorszych warunkach. Od 2 do 4 maja stacjonowaliśmy w jakiejś farmie na odludziu przed Wilhelmshaven. Była tam częściowo zburzona willa, w której musiał mieszkać jakiś ważny hitlerowiec, bo nawet żyrandol był w kształcie swastyki. W piwnicy tego domu znalazłem kilkanaście butelek dobrej wódki, którą zabezpieczyłem, aby poczęstować później kolegów. 5 maja o godzinie ósmej rano ustał wszelki ogień, ale przedtem obydwie strony przez całą noc starały się wystrzelać jak najwięcej. Była to dla mnie ostatnia „huraganowa” noc II wojny światowej.

Zaczęła się okupacja Niemiec. Zainstalowaliśmy ośrodek łączności w Wilhelmshaven i pracowało się jak zwykle, choć z miejscową ludnością byliśmy na dystans. W tym czasie zostałem wysłany z dwoma uzbrojonymi łącznościowcami do miejscowej siedziby Wehrmachtu i Kriegsmarine. Weszliśmy do dużego pomieszczenia, gdzie siedziało kilku oficerów niemieckich. Wszyscy wstali i po hitlerowsku zasalutowali. Rozmawiałem z ich kapitanem, który obsługiwał centralę telefoniczną. Wskazał mi schemat połączeń, udzielił informacji o działaniu linii, a potem oprowadził po korytarzach, pokazując poszczególne obwody czynne i unieruchomione. Rozmawialiśmy najpierw po angielsku, dopiero gdy zapy-

tał, czy znam niemiecki, przeszliśmy na ten język. Prosił mnie, abyśmy nie robili krzywdy miejscowej ludności. Odpowiedziałem, że nie będziemy naśladować Niemców i mścić się na cywilach. Następnego dnia w komendzie miasta zainstalowaliśmy Fullerfon. Po kilku dniach zmieniliśmy rejon okupacji: na nasze miejsce przyszli Kanadyjczycy, a my po nich objęliśmy rejon Meppen-Papenburg-Lingen-Haselünne-Osnabrück-Bersenbrück aż do skraju Zagłębia Ruhry. Do pomocy dostaliśmy polską brygadę spadochronową. Nasze jednostki pancerne pilnowały obozu esesmanów w Essen. W naszym rejonie było bardzo dużo Polaków z przymusowych robót oraz z obozów jenieckich. Ta ogromna rzesza wymagała opieki i często nasze dowództwo stawało się miejscem, gdzie można było załatwić wiele spraw, choć oczywiście istniały specjalnie utworzone w tym celu brytyjskie placówki. Rozpoczęła się istna wędrówka ludów. Ludzie szukali się wzajemnie. Utworzono obozy dipisów (*displaced persons*), czyli przesiedleńcze. Do dywizji przyjęto byłych oficerów z niewoli, sporo kadry przeniesiono do Anglii. Odszedł też generał Stanisław Maczek, a na jego miejsce powołano generała Klemensa Rudnickiego.

Rejon naszej okupacji był silnie zaludnioną aglomeracją z dużą ilością dróg i linii kolejowych oraz rozbudowaną siecią telefoniczną. Anglicy zajęli się kontrolą i weryfikacją niemieckich telefonistek, my musieliśmy nadal obsadzać swoje centrale, zwłaszcza przy dyslokacji naszych jednostek. Szkoliliśmy kobiety uwolnione z obozu w Oberlangen. Dostały mundury i wcielono je do dywizji. Na tygodniowych kursach przeszkolono kilka ekip. Potem zorganizowano jeszcze dwa kursy czterotygodniowe, na których byłem instruktorem. Uczyliśmy po polsku i po angielsku. Przeszkoliłem też sześć Niemek w obsłudze sprzętu angielskiego. Miałem też dużo pracy w kontroli sieci, nadzorze i licznych tłumaczeniach z angielskiego. Nawiązałem pierwszy kontakt z ojcem. W pierwszym liście była informacja o śmierci drugiej matki, a w kolejnym fotografia z wesela, bo ojciec ożenił się po raz trzeci. Na fotografii ojciec wyglądał jak szkielet, to wystarczyło za wszystkie opowiadania. Wysłałem zaraz do kraju paczki z żywnością. Dostałem też adres ciotki Anny i odwiedziłem ją w Dortmundzie. Poznałem tam kuzyna i dwie kuzynki. Ponieważ pojechałem jeepem, mogłem im przywieźć dwie skrzynie prowiantu.

Do kraju na razie transportowano tylko Polaków z obozów dipisowskich. O naszym losie miały decydować pertraktacje z nowym rządem w Warszawie. Czas leciał. Wreszcie rząd brytyjski, na podstawie porozumienia z Warszawą, wydał do żołnierzy polskich odezwę, w której regulowano warunki powrotu do kraju. Oficer brytyjski wręczył każdemu z nas taką odezwę. Zaczęliśmy się zgłaszać do powrotu, co jednak nie było łatwe ze względu na problemy z transportem – zniszczone drogi i tory kolejowe oraz ogromna rzesza przemieszczających się ludzi. Dlatego stale jeszcze pełniliśmy służbę przerywaną urlopami. Dwa razy byłem w Brukseli i dwa razy w Anglii. Odwiedziłem Melrose, a także przyjaciela mojego ojca z czasów I wojny światowej Jimma Barreta. Zacząłem się przygotowywać do powrotu do kraju. W styczniu 1947 roku zostałem wysłany z kilkunastoma łącznościowcami na ostatnie zadanie do dawnego lotniska niemieckiego położo-

nego w lasach. Pracowałem w ośrodku łączności dowództwa batalionu złożonego z pancerniaków i spadochroniarzy, którzy ścinali drzewa i wysyłali do Anglii. Mieliśmy tam świetne wyżywienie i 12 butelek wódki w ramach miesięcznego przydziału z NAAFI⁶¹. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że nie można już tak dalej żyć w poczuciu niepewności jutra. Mieliśmy wyrzuty sumienia, po co tu siedzimy, dla kogo?

W czerwcu 1947 roku (wraz z oficerem ewidencyjnym) pojechaliśmy samochodami ciężarowymi do Warszawskiej Misji Wojskowej, aby się zarejestrować na wyjazd do kraju. W drodze powrotnej nasz samochód zderzył się z inną ciężarówką prowadzoną przez Niemca. Było kilkunastu rannych, ja szczęśliwie miałem niewielkie obrażenia. Po tygodniu pojechaliśmy do ośrodka demobilizacyjnego w Quakenbrück, gdzie załatwiliśmy dokumenty repatriacyjne oraz rozliczenia ekwiwalentu za służbę. Kilku z nas zostało też awansowanych, ja dostałem stopień wachmistrza. Dowódcą zgrupowania wracających był mój kolega z lat przedwojennych Jurek Klimonda, teraz już porucznik, ale on jeszcze czekał na swój powrót.

Wreszcie wyruszyliśmy do kraju pociągiem osobowym, już bez broni. Ze mną jechał plutonowy T. Waclawski. Byliśmy bardzo podekscytowani, gdy przekraczaliśmy granicę w Szczecinie. Na to konto wypiliśmy toast. W Szczecinie siedzieliśmy w wagonach przez całą noc, potem wyładowaliśmy swój bagaż (ja miałem 5 worków) i po kontroli celnej wsiedliśmy do pociągu towarowego do Poznania. Tam już nikt nami nie kierował i rozjechaliśmy się w swoje strony. Znalazłem pociąg osobowy do Katowic i tak dojechałem do domu. Na dworcu perony wypełnione były czekającymi na różne pociągi. Spotkałem nawet kolegę z naszego szwadronu, który jechał do Cieszyńska. Nie miałem polskich pieniędzy, więc za papierosy bagażowy zawiózł mi rzeczy przed dworzec, a tam wziąłem chłopca z wózkiem ręcznym. I tak dotarłem pod dom na ulicy Kochanowskiego, gdzie spotkałem kolegę, który popilnował wózka. Szybko pobiegłem na górę i już na półpiętrze spotkałem ojca. Wyściskaliśmy się serdecznie, a potem ojciec zapłacił mojemu wózkarzowi.

Po ośmiu latach tułaczki nareszcie wróciłem do domu! Wkrótce pojawili się bracia, którzy już zdążyli się ożenić i mieszkali poza domem rodzinnym. Przywitaniom nie było końca. Zgodnie z przepisami przez dwa tygodnie chodziłem w swoim mundurze. Odwiedziłem znajomych i z dumą opowiadałem, że służyłem w 1. Dywizji Pancernej, choć po ulicach Katowic chodzili już żołnierze w zupełnie innych mundurach. Musiałem znaleźć jakąś pracę, a także mieszkanie. Na razie zameldowałem się u ojca i pracowałem w Metalach Nieżelaznych, ale już w grudniu wyjechałem do Zakopanego. Od 1 stycznia 1948 roku rozpocząłem pracę w Funduszu Wczasów Pracowniczych. W Zakopanem odetchnąłem za wszystkie lata, choć skomplikowały mi się sprawy osobiste. Pechowo się ożeniłem i już po paru miesiącach musiałem chodzić na sprawy rozwodowe. W 1949 roku formalnie znowu byłem wolny. Ponownie wziąłem ślub w 1951 roku, tym razem szczęśliwie. Wiedziałem już, dla kogo żyję.

⁶¹ Navy, Army and Air Force Institutes, firma brytyjska zaopatrująca wojsko.

Lata powojenne nie były łatwe, ale wszyscy żołnierze 1. Dywizji Pancernej, którzy wrócili do kraju, pracowali uczciwie, choć często byli dyskryminowani, a nawet represjonowani. Wielu naszych kolegów pozostało na Zachodzie i też powodziło się im różnie, z niektórymi przez lata korespondowałem. Lecz żołnierze 1. Dywizji Pancernej nie tylko walczyli i ginęli z honorem, ale też z honorem pracowali dla kraju, w którym przyszło im żyć.



Józef Szymiczek
mieszkaniec 1 Dywizji Pancerniej

Lata młodości

Gliwice

Do 9-go roku życia mieszkałem w Gliwicach, przy ul. Barbary 46. Z pamiętki w mieszkaniu o jednym pokoju i kuchenii a po jakimś czasie, na tym samym III piętrze, w większym - to dom pokojowy z kuchnią. Była też większa kominka i dość obszerny korytarz. Okna były i na podwórku i na ulicę. Każdy lokator miał w podwórku 1-dm pomieszczenie gospodarskie, gdzie przechowywano się drewno, krowiki lub kury, i t.p. Okna wychodziły w stronę ulicy dawanej możliwości obserwacji kolejowego kompleksu warsztatów naprawy taboru kolejowego. Kompleks ten rozciągał się wzdłuż całej ulicy Barbary aż pod Śwież i odgródzony był wysokim murem z betonowym parkanem. Drugi skraj tego kompleksu kończył się daleko przy ulicy Choprowskiej. W tych warsztatach pracowali mój ojciec jako wykonawca. W czasie I wojny światowej (w której transporty wojenne w większości opierały się na komunikacji kolejowej) Niemcy traktowali te warsztaty jako główną bazę naprawczą. Warsztaty te nie tylko naprawiały tabor ale również budowały sprzęt przeciwny, między innymi t.n.w. Luks Torpedy. Były to małe restawy wagonów osobowych o napędzie silników spalinowych. Latem pracując w czasie tej wojny, archiwista ponad miarę eksploatowana, w warunkach pilnych konieczności, dyktowanych sytuacją i potężną frakcją - skompletowała z jednej strony i zrewolucjonizowała od obowiązków pojęcia na front. Na tym też skończył mój ojciec, który archiwista szkolony przed wojną w Opolu - był potrzebniejszy w warsztatach. Tak też paść tam ojciec wracający z pracy. W terenie przynosił kamień, drewna i odcinek desek i naprawiających wagonów. Sytuacja żywnościowa w czasie I wojny światowej była dość ciężka. Ojciec robił młynki do mielenia ziarna. Robił teżby do mielenia ziemniaków. Razem stawiano się na blachę. Wszypywano się do niego jeźdźców i w trakcie nagrzewania się obracało się korbą poruszającą z mieleniem. To przeważnie była maza i miedź braci roboty. Na innego rodzaju młynkach mieliło się owoce ryte i prunię. Matka miała z tego piasek, z przelotnego jeź-



Józef Szymiczek,
Katowice 1939



Józef Szymiczek, Glasgow 1941



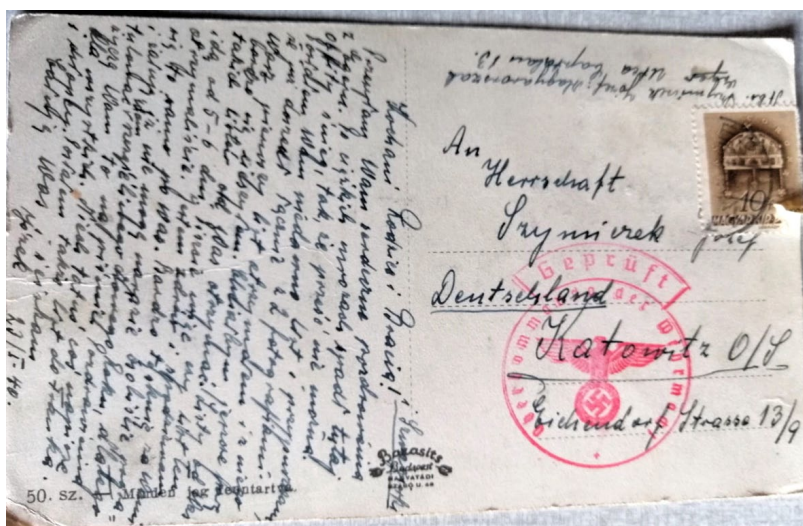
Józef Szymiczek w gronie rodzinnym, Katowice 26 XII 1938
(w drodze do kościoła) i 31 XII 1938 (ostatni przedwojenny Sylwester)



Józef Szymiczek na balu Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej
w salach Urzędu Wojewódzkiego, Katowice 18 II 1939



Na drogę
 na przekraczanie
 Tęsknota wie, tak serce
 Za moją Ojczyznę drogą.
 Porostaj mam, już całkiem
 Wśród obcych ludzi umiera
 Ból strasny i tęsknota
 Po zbliska mi mam tu
 Bieveryma ma, nie gubią
 że opuścić ten kraj.
 Musiałem być zostawić
 Pojechać w kraj daleki...
 Przez lasy, morza, rzeki
 Musiałem być zostawić,
 Leci serce z bólu pfaare,
 Leci pręcić być zabrać.
 Do kraju wróć.
 Ola Cielbie szeregista dno



Maria Hauptmanówna, która pomogła Józefowi Szymiczekowi
 po ucieczce z obozu jenieckiego (Brody 1939), wiersz ofiarowany
 na drogę i kartka wysłana do rodziny z Węgier (Eger 1940)



Uroczysty przegląd wojsk ewakuowanych z Francji, 1940



Wizyta Naczelnego Wodza generała Sikorskiego



Występy szkockich kobziarzy przed żołnierzami polskimi, 1940



Przysięga
uzupełnień rekrutów



Msza polowa

Biskup polowy Józef Gawlina
i generał Bronisław Regulski





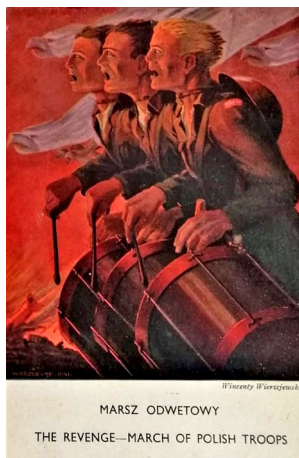
Szwadron Łączności 10. Brygady Kawalerii Pancernej
z dowódcą kapitanem Hieronimem Kurkiem



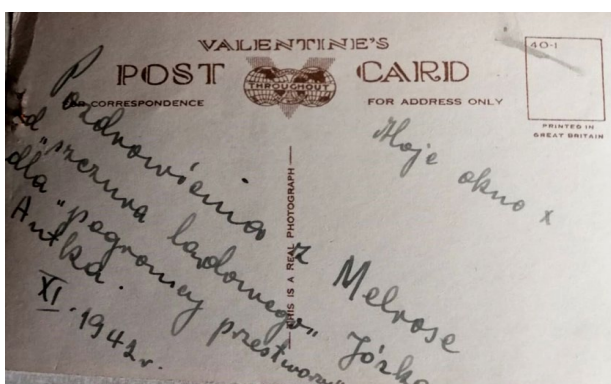
Ćwiczenia łączności,
pluton stacyjny



Porucznik Kazimierz Kalinkiewicz
prowadzi Szwadron Łączności
na niedzielną mszę



Propagandowa ulotka
Polskich Sił Zbrojnych
na Zachodzie



Pocztówka z Melrose (budynek Hydro Hotelu)
wysłana przez Józefa Szymiczka
do kuzyna Antka (zaznaczone „moje okno”)



Spotkanie z kuzynem Antkiem służącym w lotnictwie



Józef Szymiczek w Melrose: w pokoju Hydro Hotelu
i przed domem Miss Mary Davidson



Hydro Hotel w Melrose i żołnierze batalionu łączności
przed wejściem do budynku oraz w parku

CANTEEN PASS № 48095

No. 1933 Rank (equivalent rank in the case of civilians) Sgt.

Name SZYMICZEK Initials Jozef

UNIT OR CIVILIAN BODY 1st Sigs. Sqdn.

The above named is permitted to enter and make use of (a) any British or Allied Canteen or Club operated for BAOR and not reserved for any particular class of user and (b) any place of entertainment run by ENSA, AKS or AWS for the entertainment of BAOR.

Signature of Holder *J. Szymiczek*

Signature of Issuing Officer *[Signature]*

Date of Expiry 1 May 1946

THE PASS IS NOT TRANSFERABLE

1 Polish Armoured Division

1st SIGNAL SQUADRON (Unit) 122 SIGNAL CAMP

Nr. 62

DUTY PASS

SCHORT LEAVE

Nr. 1933 Name SZYMICZEK JOZEF Rank Sgt.

has been authorized to proceed to BRUSSELS

in WD Veh

Valid from 30th March 1946 to 1st April 1946

Date of issue 28th March 46

[Signature]

(signature)

Wojskowe przepustki Józefa Szymiczka:
do alianckiej kantyny i urlopowa do Brukseli



Angielscy jeńcy w Gliwicach
w czasie I wojny światowej,
a wśród nich Jimm Barret
(zaznaczony krzyżykiem)



Józef Szymiczek w odwiedzinach u Jimma Barreta w 1946 roku



Legitymacja francuskiej organizacji kombatanckiej
wystawiona dla Józefa Szymiczka i zdjęcie z lat późniejszych



Henryk Zbierzchowski wierszem o powstaniach śląskich i plebiscycie

Henryk Zbierzchowski – „bard Lwowa”, ale też „poeta wszędzie obecny” – sporo wiersów poświęcił sprawom Górnego Śląska. Opisywał powstania, prowadził poetycką agitację plebiscytową oraz komentował sytuację polityczną po głosowaniu. Jego „śląskie” wiersze są typowym przykładem poezji okolicznościowej, szybko reagującej na konkretne wydarzenia historyczne. Mają charakter propagandowy i mobilizujący do działania, można je nazwać wierszowanymi felietonami. W tego typu literaturze, pisanej „na gorąco”, sprawy sztuki schodziły zwykle na plan dalszy, a utwory nieraz stały się schematyczne i powtarzalne. Tak bywało też u Zbierzchowskiego, choć niewątpliwie należał do najlepszych w tym czasie „poetów dnia”, a jego teksty przez wiele lat regularnie pojawiały się w lwowskiej prasie i miały spory wpływ na opinię publiczną¹.

Wiersze Henryka Zbierzchowskiego można znaleźć przede wszystkim w dzienniku „Gazeta Poranna i Wieczorna”, gdzie poeta (w rubryce *Z dnia*) regularnie publikował teksty nawiązujące do bieżących wydarzeń. Ogłaszane pod pseudonimem „Nemo” (czyli Nikt) w stałym, wyróżnionym graficznie miejscu, na określonej stronie gazety, opatrzone były aktualnymi i komunikatywnymi tytułami, np.: *Nie damy Śląska!, Jak zebrać miliony na Śląsk, Po plebiscycie*. Zbierzchowski wykorzystywał różnorodne wzorce gatunkowe (np. modlitwa, przysłowie) oraz różne typy wypowiedzi językowych (np. życzenia, wyznania, przestrogi). Często posługiwał się satyrą i ironią. Pod pseudonimem Nemo publikował nie tylko na łamach lwowskiego dziennika, ale także w innych pismach wspierających walkę Górnego Śląska o przyłączenie do Polski (np. w sosnowieckiej „Iskrze”). Wiersze

¹ Pisał o tym Witold Waszczuk w książce *Pisarz wobec koniunktury. Twórczość literacka Henryka Zbierzchowskiego*, Lublin 2000 (rozdział *W służbie ojczyzny. Twórczość wierszowana Henryka Zbierzchowskiego w latach 1914–1921*).

ogłaszał także pod własnym nazwiskiem, najczęściej w lwowskim „Szczutku”, satyrycznym tygodniku, którego był głównym redaktorem. Czasopismo stale interesowało się sprawami śląskimi i na bieżąco (słowem oraz obrazem) komentowało wszystkie ważne wydarzenia z kresów zachodnich².

„Śląskie” wiersze Henryka Zbierzchowskiego są stosunkowo mało znane i właściwie nieobecne w tradycji literackiej powstań śląskich i plebiscytu. Rozproszone po trudno dostępnej prasie, warto są przypomnienia, mimo swojego doraźnego celu, ściśle związanego z wydarzeniami sprzed stu lat. Z kilkudziesięciu odnalezionych utworów prezentujemy dwadzieścia. Publikowane były od sierpnia 1919 roku (wybuch I powstania śląskiego) do lipca 1921 roku (zakończenie III powstania śląskiego). Teksty ułożono chronologicznie, tak jak pojawiały się na łamach prasy.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1919, nr 4797 (27 VIII)

NIE DAMY ŚLĄSKA!

Znów butny krzyżak podniósł pięść,
Przed którą niech się tchórze płaszcą,
I naszej ziemi polskiej część
Chce połknąć swą żarłoczną paszczą.
Chrzęć pruski mieczu, chrzęć,
Zanim cię topiel połknie grząską.
Nas obiecanki nie ugłaszczą,
Ni straszną nam stalowa pięść,
Nie damy Śląska!

Choćbyś nam serca wydarł część,
Choćbyś nas tępił szubienicą,
Nasz górnik ma też twardą pięść,
Którą cię lunie w podłe lico.
Chrzęć więc kilofie śląski, chrzęć,
Bo klatka ci już jest za wąska.
Prędej rozpadniem się próchnicą,
Nim zwolim serca wydrzeć część,
Nie damy Śląska!

Warszawo! chrzęć ty zbroją, chrzęć!
A wróg tymczasem dzieci wiesza.
Warszawo, gdzie jest twoja pięść?
Gdzież młodzi twej próżniacza rzesza?

² O śląskich tematach „Szczutka” zob.: B. Maresz. *Lwowskie echa powstań śląskich i plebiscytu*, „Książnica Śląska”, t. 31, s. 17–19.

Niech złoży tego życia część,
Któremu hasłem jest podwiązka,
I niech się w bój ten krwawy wmiesza.
Kilofie! ty po hełmach chrzęść!
Nie damy Śląska!

[Anonimowo], „Szczutek” 1919, nr 35 (31 VIII)

WOŁANIE ŚLĄSKA

Prusak sięga mi do trzew,
W pień mordują nas Grenzschatze.
Kiedyz jarzmo podłe zrzucę?
Słysz Warszawo, wołam krwawo:
Wojska dajcie mi, psiakrew!

Ginę, walcząc jako lew,
Mdleją dłonie gorejące.
Hej, warszawskie wy zające,
Rezydenty od ententy –
Wojska dajcie mi, psiakrew!

Cóż mi wasz frazesów śpiew?
Cóż, że każda prawie gaska
Pieje hymny na cześć Śląska
W kabaretach i w gazetach?
Wojska dajcie mi, psiakrew!

Uroczystym słowom wbrew
Przysyłacie miast patronów
Wagon starych pantalonów.
Pantalony, o gawrony!
Wojska dajcie mi, psiakrew!

Cóż mi wasz frazesów śpiew?
Gdy prusacza czerń zdradziecka
Rznie nam baby, rznie nam dziecka,
W pysk wam krzyczę, królewiaczy:
Wojska dajcie mi, psiakrew!

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1919, nr 39 (27 IX)
NA ŚLĄSKU SPOKOJNIE...

Na Śląsku spokojnie...
Wszędzie się kruki zbiegają na łup
Po krwawej wojnie,
Tylko gdzie spojrzeć leży zgniły trup
Z raną otwartą, cuchnącą i krwawą,
I siną pięścią grozi ci, Warszawo,
Co zamiast braciom swoim pomóc zbrojnie,
Aranżowałaś jak wyrodna matka
Pochody, wiece, protesty, dzień kwiatka,
Podczas gdy dzieci twe kładziono w grób.

Na Śląsku spokojnie...
Tylko górników spędzają wśród różg,
Rozdając hojnie
Kolb dzikie razy, że krwi słyszać plusk,
Tylko niemieckie rozżarte psiajuchy
Kobiet brzemiennych rozpruwają brzuchy,
Dziewczęta śląskie gwałcą nieprzystojnie,
Tylko się dzieci pod mur gdzieś rzucone
Tak długo kopie w główki umęczone,
Aż pęknie czaszka i wypłynie mózg.

Na Śląsku spokojnie...
Warszawa przecież z wami sercem jest.
Hucznie i rojnie
Wypadł protestu żywiołowy gest.
Or-ot przemawiał z okien Filharmonii,
A potem bractwo poszło do Polonii,
Gdzie pośród fontann skrzypka gra upojnie.
Z frazesem w ustach i zapalem w oku
Tam się buduje Polskę przy Medocu.
Wino to przecież także krwawy chrzest.

Na Śląsku spokojnie...
Nikt nie przywita cię na progu chat
Po krwawej wojnie.
Martwe kominy patrzą smutno w świat,
Zgasły fabrycznych dymów pióropusze,
Nuda przerywa dzisiaj szybów głuszę,
Gdzie dotąd było tak gwaro i rojnie,
Rozpacz się jeno włóczy po rozłogu,

Głód blady usiadł na domostwa progu
W milczeniu własny obgryzając gnat.
Na Śląsku spokojnie...

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1920, nr 45 (8 XI)
MYŚLMY O ŚLĄSKU

Myślmy o Śląsku! Przedwczesna zima
Chwyła pola dłonią zaskrzepłą
I oziminę pod lodem trzyma.
Myślmy o Śląsku! Tam nasze ciepło,
Naszego kośćca tam krzyż i goleń
I tam dobrobyt przyszłych pokoleń.

Jeszcze wciąż groźna teutońska siła
Nad Górnym Śląkiem wyciąga pięście,
Tysiące zbirów tajnie wysyła
Na naszą zgubę i na nieszczęście,
Osadza szpiegów po wszystkich bramach
I cicho zbrojny planuje zamach.

Znowu zaśpimy swoją godzinę,
A potem świeże dostawszы baty,
Będziemy stroić żałobną minę,
Będziemy z płaczem rozdierać szaty
I przystroiwszy się w gest niemęski
Szukać, kto winien ponownej klęski.

Dziś, gdy na wschodzie ucichły boje
I już nad żerem nie krążą kruki,
Na zachód zwróćmy spojrzenia swoje,
Na zachód zwróćmy napięte łuki.
Myślmy o Śląsku! I dniem, i nocą,
Bo już nieszczęścia kruki łopocą.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 3 (15 I)
NA SZAŃCE!

Już regulamin wydany dla Śląska,
Zbliża się wielkich rozstrzygnięć godzina,

Więc niech się Niemcom ziemia stanie grząska,
Niechaj drogowskaz każdy ich przeklina,
Niech każda wierzba nocą próchnem straszy
I wiatr poszczęki niech niesie pałaszy.

Rodacy! ucho przyłożmy do ziemi
I posłuchajmy, co mówi jej wnętrze.
Czyż pod warstwami w głębiach kamiennymi
Nie bije serce polskie, to najświętsze,
Co żadnym nie da zabić się obuchem
I znać o sobie daje tętnem głuchem?

Polska to ziemia, piastowa to macierz
Oddana w łapę Teutończyków pieskich.
Przez tyle wieków dzieci śląskich pacierz
Wymodlał wolność u progów niebieskich,
A Bóg wzruszony sercem tego ludu
Przychylił do nich słodką chwilę cudu.

Przyjmie was Polska, przyjmie w uścisk bratni
Górnicy śląscy, podziemi mieszkańce.
Jeszcze wysiłek jeden i ostatni –
Chwila jest groźna, więc kto żyw na szanie,
Bo nam by w twarze plunąć było warto,
Gdyby nam śląską ziemię wydarto.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 5 (27 I)

KOLEDA ŚLĄSKA

Wśród nocnej ciszy
Głos się rozchodzi:
Wstańcie, górnicy,
Polska się rodzi
I pod skrzydła Wielka, Święta
Garnie wszystkie swe pisklęta,
Swoją piastowy lud.

Niemiec przebrzydły
Wyciąga ręce.
Wszystko chce osiąść
W chuci zwierzęcej.
Ale górnik się nie boi,

Twardo na swej ziemi stoi,
Wrósł w nią niby dąb.

W ręce ma kilof,
Co głąz rozbija.
Pomagaj w walce
Jezus Maryja.
Dłonią białą i łaskawą
Pobłogosław naszym sprawom
I kilofy święć.

Nie damy Śląska,
Pruskie padalce.
Niech nas Korfanty
Prowadzi w walce
I niech miotłą swą wymiecie
Z naszych progów wszystko śmiecie.
Tak dopomóż Bóg!

Nemo, „Gazeta Wieczorna” 1921, nr 5721 (7 III)

LICYTACJA OBRAZÓW

Gdy tkwi w twojej mózgownicy
Jedna myśl o Górnym Śląsku,
Dziś w południe całkiem pewnie
Przyjdiesz na wystawę „Związku”,

Chcąc Ojczyźnie w ciężkiej chwili
Trochę grosza przynieść w darze.
Licytację na plebiscyt
Urządzają tam malarze.

Są tam szkice i obrazy
Leśnych polan, skalnych zboczy,
Rozradujesz nimi duszę,
Rozradujesz nimi oczy.

A jeżeli plik „Kościuszków”
przechowany masz w portfelu,
Ofiarujesz parę setek
Chętnie dla wzniosłego celu.

Wielka zbliża się godzina,
Wciąż pamiętać trza o Śląsku.
Zatem panie i panowie
Do widzenia dzisiaj w „Związku”.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5733 (14 III)

Nemo, „Iskra” 1921, nr 20 (16 III)

JAK ZEBRAĆ MILIONY NA ŚLĄSK

Niechaj każdy, kto ma chętkę
Na parasol i kalosze
Moknie raczej aż do lata,
A na Śląsk niech odda grosze.

Niechaj każda w Polsce panna,
Gdy jej podrze się podwiązka,
Sznurkiem zwiąże swe pończoszki,
A sto marek da dla Śląska.

Niechaj smakosz pęczak jada,
Choć mu pachnie tłusta gąska,
A z łatwością po tygodniu
Tysiąc marek da dla Śląska.

Niechaj zamiast trzech wódeczek
Będzie jedna i przekąska,
A oszczędzisz swoje nerki
I uzbierasz grosz dla Śląska.

Niechaj zamiast sutych fałdów
Suknia twoja będzie wąska,
A pokażesz ładne kształty
I ocalisz grosz dla Śląska.

Niechaj paskarz, gdy się uda
Znowu jakaś sprawka grząska,
Dla ekspiacji cały dochód
Odda na potrzeby Śląska.

Niechaj wreszcie grosz oddadzą
Wszystkie banki, spółki, związki,
A posypią się miliony
Na plebiscyt górnośląski.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 12 (17 III)

PRZED PLEBISCYTEM

A więc już wkrótce, już za kilka dni...
Ostatnia walka to z niemieckim draństwem.
Albo Sezamu nam otworzą drzwi
I Polska stanie się bogatym państwem,
Albo nas puści o żebraczym worku,
Paskarz historii i pogromca Corku.

Czyśmy użyli wszystkich naszych sił?
Lęka nas przyszłość, jeszcze skryta w chmurach,
Czyż znowu Niemiec będzie sobie drwił,
Że nas podkupił tak jak na Mazurach,
I choć zwyciężym po zmaganiu długiem,
Nowym nas stłamszą bluffem lub humbugiem?

A więc już wkrótce, już za kilka dni...
Los nasz i nasze szczęście się przesili,
W podziemiach węgiel tak jak brylant lśni,
I czeka szczęsnej wyzwolenia chwili,
Aby przywrócić potęgę i ciepło
Swojej macierzy, której serce skrzepło.

Od pacholęcia wszyscy aż do starca
Zwracamy dzisiaj w stronę Śląska lica –
O, strzeż się Polsko swoich **Idów marca**,
Jeśli przypadnie dla Cię ta ziemica,
Co tyle wieków w rozpacz i męcę
Wyciąga do nas swe skrwawione ręce.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5758 (31 III)

PO PLEBISCYCIE

Cieszą się Niemcy, wywieszając flagi
Na każdym gmachu i każdym ratuszu,
O plebiscycie rozszerzają blagi,
Byle nie stracić dalej animuszu.

Cieszy się Polska, bo już wie niezbiecie,
Że węgiel śląski, droższy niż brylanty,
Od niego dalsze jej zależy życie –
Zdobył lud śląski i ojciec Korfanty.

Tylko prasa raz po raz
Nowe nam przynosi plotki.
W poniedziałek Śląsk jest nasz,
W środę znowu jest niemiecki,
To się nam wydłuża twarz,
To tańczymy wznosząc kiecki.

Wprawdzie sprzyja nam Le Rond,
Wprawdzie Francja trzyma z nami,
Lecz kto zmieni George'a sąd?
Kto upora się z Włochami?
Japończyka dla nas czyż
Ktoś przekona na ostatek,
Choć z mikadem jada ryż
I herbatę pije Patek?

Co za hojność, co za gest
Wyrzec się własnego kęsa –
Anglia ponoć skłonna jest
Przyznać nam kawałek Śląska!
Skądże nagle zmiana ta,
Po kim ta miękkości scheda?
Czyż w Irlandii przykład ma,
Że lud się ujarzmić nie da?

A tymczasem idzie maj,
Nasze wrogi lżą zawzięcie,
Więc z tęsknotą czeka kraj
Na ostatnie rozstrzygnięcie.
Koalicjo, spiesz się, spiesz,
Nim cierpliwość nasza minie
Żołnierz polski czeka też,
Oparł się na karabinie.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5817 (7 V)

Nemo, „Iskra” 1921, nr 61 (8 V)

POWSTANIE NA ŚLĄSKU

I cóż wy na to, cne ambasadory
I dyplomaty o kamiennej twarzy?
Żaden z was nie był do wyroku skory –
Każdy wypija, co sobie nawarzy.

W waszej robocie czyż nie było brudu,
Rękawiczkami skrywanego marnie?
Nie można igrać z uczuciami ludu
Albo duszami handlować bezkarnie.

A lud ten czekał długo i cierpliwie,
Żar swego serca zmieniając na zgliszcze,
Bo chciał być panem na swej własnej niwie,
Gdzie bat niemiecki więcej nie zaświszcze.

No i przebrała się nareszcie miara,
Gdy znów kajdany brzęknęły za progiem.
Na czyje karki spadnie teraz kara?
Kto za to wszystko odpowie przed Bogiem?

Czyliż nie wiecie, że potrzeba cudu,
By zgasić płomień, co serce ogarnie?
Nie można igrać z uczuciami ludu,
Albo duszami handlować bezkarnie.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5821 (9 V)

Nemo, „Iskra” 1921, nr 62 (10 V)

WSZYSCY MAMY ŚLĄSK NA USTACH

Jedna sprawa nas zajmuje,
Jak cień chodzi z nami wszędzie.
Każdy pyta cię stroskany:
No cóż, panie, jakże będzie?

Major, co powrócił z wojny
I przed śmiercią nie znał tremy,
Mówi, poprawiając pasa:
Jak trza będzie, znów pójdziemy.

Paskarz, wietrząc nowe zyski,
Wypowiada takie zdanie:
A co? przecież wam mówiłem:
Wojna nigdy nie ustanie.

Anegdociarz głosi w knajpie:
Dyplomacja tu nie wskóra.
Trza im zająć okręg Ruhry,
A wnet Niemcom zmięknie rura.

Zosia pośród łez rzęsiстых
Skarży się przed siostrą Anną:
Gdy zabiją mego chłopca,
To zostanę starą panną.

A choć wkoło maj się kwieci
W lasach i na łąk kobiercu,
Wszyscy mamy Śląsk na ustach,
Wszyscy mamy Śląsk na sercu.

Dziś Śląsk posiadł naszą duszę
I serc naszych całą tklivość.
Śmiało, dzieci górnośląskie!
Z wami Bóg i Sprawiedliwość!

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5823 (11 V)

BZY ZE ŚLĄSKA

Maj nasz jest miesiącem bzów –
Gdzie oczami gonię,
Cała Polska wzdłuż i wszecz
W bzów przepychu tonie.

Cała Polska wzdłuż i wszecz
Kwiatem tym się kwieci.
Z wiatrem płatków wonny deszcz
Po krainie leci.

Z wiatrem płatków wonny deszcz
Spada nam na głowy.
Każdy ogród, każdy gaj
Ton ma fioletowy.

Każdy ogród, każdy gaj
Zapachami mdleje.
Na mem biurku bukiet bzu
Do słońca się śmieje.

Na mem biurku bukiet bzu,
Co dzień świeża wiązka.
Dziś przyjaciel przysłał mi
Bez z Górnego Śląska.

Dziś przyjaciel przysłał mi
 Bez listu, bez słowa –.
Więc przykuła duszę mą
 Bzu odmiana nowa.

Więc przykuła duszę mą
 I serce, i oczy:
Każdy płatek tego bzu
 Krwią serdeczną broczy.

Każdy płatek tego bzu
 Jest jak wyrzut żywy,
Który swej Ojczyźnie śle
 Naród nieszczęśliwy.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 20 (12 V)
TAK DŁUGO CIERPIAŁ GÓRNOŚLĄSKI LUD...

Tak długo cierpiał górnośląski lud
Dyplomatyczne plastry i katusze,
Tak długo znosił wyzwolenia głód,
Tak mu na mękach rozciągano duszę,
Aż wybuchnęło wreszcie z mocą wściekłą
W głębinach serca utajone piekło.

Dosyć już! – krzyknął i chwycił za nóż,
Chcemy panami być w swym własnym domu,
Niech się zakończy handel naszych dusz
Przez owych kupców nieznających sromu,
Co pragną ciągnąć najwyższe profity,
Wciąż wymyślając nieczne plebiscyty.

I rozpętała się odwetu moc,
Którego żadne nie wstrzymają tamy.
Z twarzą ponurą i czarną jak noc
Górnika się dźwignął z kopalnianej jamy,
Oślepiłym wzrokiem spojrzał w złote słońce
I krzyknął: Polsko! gdzie moi obrońce?

Czy pozostawisz swe dzieci na łup
Niemieckich wilków, hien i szakali
I krwawym ciałem zawalimy grób?

Czy się twe serce ze wstydu nie spali,
Jeśli przez targi wielkiej finansjery
Skoszą lud śląski pruskie szwarclozery?

Górniku śląski! W mur żelazny zwiąż
Kilof z kilofem i bądź bez obawy.
Staniem przy tobie tak jak jeden mąż
Dla dobra wspólnej, wielkiej, świętej sprawy.
Huczy i leci już przez polskie niwy
Bojowe hasło Nowiny Doliwy.

Hej, dyplomacjo! Czy słyszysz ten śpiew?
Ze sprawiedliwym nie zwlekaj wyrokiem,
Bo znów popłynię z twojej winy krew,
Na którą patrzeć będziesz zimnem okiem,
Zatkawszy watą swe dostojne uszy,
Aby nie słyszeć okrzyków katuszy.

Nemo, „Gazeta Poranna” 1921, nr 5827 (13 V)
PIERWSZE JASKÓŁKI POKOJU

Po burzy groźnie huczącej,
Po krwawym, zaciętym boju,
Ze Śląska dziś przyleciały
Pierwsze jaskółki pokoju.

Korfanty wdał się w układy
I linię swoją uzyskał,
Już spadł nam kamień ze serca,
Który nieznośnie uciskał.

Korfanty ojcem górników,
Więc posłuch mu się należy,
Powstały polskie chorągwie
Na Śląsku wiernym macierzy.

Nad bohaterów zwłokami
Czarna zamknęła się gleba,
Powraca górnik do pracy,
Bo Polsce węgla potrzeba.

Zmykają butne landraty
Ze śląskich gumien i dworów,

Już teraz można poczekać
Na wyrok ambasadorów.

Za Odrę uciekł najeźdźca,
Grożący połyskiem szabli,
Co Ślązak dostał raz w łapę,
Tego nie wydrą mu diabli.

Więc konsternacja ogromna
I smutek w państwie Simonsa,
Jeszcze się Niemiec buntuje,
Jeszcze się złości i dąsa.
Lecz czuje, że nie pomogą
Już wiele te awantury,
Bo biedna jego godzina,
Gdy Foch mu wlezie do Ruhry.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 25 (16 VI)

LIST ZE ŚLĄSKA

Bądź pozdrowiony, przyjacielu luby,
Co sprawę Śląska znasz z gazet w kawiarni,
My tu codziennie patrzym w oczy zguby,
Ale jesteśmy tą siłą mocarni,
Którą przed laty wasz Lwów tak wystrzelił,
Że całą Polskę sobą rozanielił.

Co noc nad głową mam płat nieba szczery,
Co dzień nas Niemiec praży kulek gradem.
Za kulisami wielkiej finansjery
Handlują nami niby owiec stadem,
Po całym kraju, gdzie popatrzysz, wszędy,
Kręcą się jakieś zamorskie przybłędy.

Podczas gdy dłonie śmierci niewidzialne
Co dzień na nasze kładą się powieki,
Wy nam dajecie poparcie moralne,
Najtańszy dowód troski i opieki,
Jakby was nie stać było na gest szerszy,
Oprócz festynów, odczytów i wierszy.

Podczas gdy Niemiec, wyjąwszy szablicę,
Na kark nam wojsko zwała najlegalniej,

Wyście zamknęli kordonem granice,
Bo zawsze chcecie być ultralojalni,
Choć ktoś w Londynie opluł tak niedawno
Żołnierzy polskich, tradycję przesławną.

A więc posłuchaj, co ci teraz powiem,
Tobie i duszom, co są jeszcze bratnie,
Niechaj na serca padną wam ołowiem
Mojego listu te słowa ostatnie,
I niech nad krajem przeleć jak burza,
Po której czyste niebo się wynurza:
Wyrzucicie chciwość z zaciśniętych dłoni,
Podwójnie daje ten, kto daje prędeż –
Trzeba nam prochu, potrzeba nam broni,
Żywności, leków, bandaży, pieniędzy,
Niechaj was budzi ten okrzyk po nocy:
Psiakrew! pomocy nam trzeba, pomocy!!

Nemo, „Gazeta Poranna” 1920, nr 5924 (16 VII)
ROZSTRZYGNIĘCIE W LIPCU?

Minął marzec, kwiecień, maj,
Lipiec ma się ku końcowi,
Jak podzielić śląski kraj,
Radzą ciągle ludzie nowi.

Raz jesteśmy górą my,
Drugim razem znowu Niemiec.
Wlecz się jak koszmar zły
Górnośląski ten tasiemiec.

Wciąż napady nowych band,
Niemiec bowiem głód ma wilczy.
Bardzo wiele mówi Brand,
George zaś jak zakłęty milczy.

Wśród węglowych czarnych grud
Przyschła krwi przelanej rzeka.
Polski się rozbroił lud,
I na sąd najwyższy czeka.

Grzecznie czeka na ten sąd,
Hej, cierpliwość to anielska!

Zachorował pan Le Rond,
Słabość ta się zwie „angielska”.

Ponoć zbyt sprzyjał nam,
Więc go pokręciło nagle,
Odkąd mister Curzon sam
Wziął go między swoje magle.

Kto nie wygra swoich kart,
Ten zazwyczaj bywa bity,
Kiedyż wreszcie porwie czart
Wszystkie owe plebiscyty?

Jaki wyrok spotka nas,
Każdy wie, kto nie jest durny:
Niemiec pewnie weźmie Śląsk,
Polska zaś dostanie Górny.

Henryk Zbierzchowski, „Szczutek” 1921, nr 31 (28 VII)

BURZA NA ŚLĄSKU

Lipiec..., powietrze duszne, ciężkie, parne,
Nad horyzontem wiszą chmury czarne,
Jakby zmieszane z sadzy i popiołów
I takie ciężkie, jak spiż albo ołów.
Burza się zbliża – czuć ją w atmosferze,
Po lasach kryje się wszelakie zwierzę,
I tylko górnik, ten kamienny człowiek
Patrzy się w chmury i nie mruży powiek.
Bo dla tych pięści, dla tych twardych prawic
Niestraszne błyski ognistych błyskawic,
Niestraszne grzmotów rozhukane tony,
Wszak się piorunów nie boją pierony.
Cały horyzont jakby skryty sadzą,
A dyplomaci radzą, radzą, radzą,
Nie widzą ludu udręki i cierpień,
Dawniej był lipiec, teraz mówią: sierpień,
Dawniej podziału zwyciężała racja,
A dziś się mówi znów: neutralizacja,
Po polsku: kradzież, szachrajstwo i matnia.
A niech godzina wam przyjdzie ostatnia,
Bando oszustów, kupców i szalbierzy,
Dzisiaj wam w Polsce dziecko nie uwierzy

I wysyłamy już do stu piorunów
Wszystkich tych zacnych, miłych opiekunów.
Burza się zbliża i horyzont siny,
Tak jak w ostatnim akcie Balladyny,
Ponad głowami chmury wiszą czarne,
Niewystrzelonym piorunem ciężarne,
Chmury zmieszane z sadzy i popiołów,
I takie ciężkie jak spiz albo ołów.
Całe powietrze jakby skryte sadzą,
A dyplomaci radzą, radzą, radzą...

Wybór i opracowanie
Barbara Maresz

Table of contents

Articles

LUCYNA SADZIKOWSKA

“She died for Poland”.

Female Insurgents in Gustaw Morcinek’s writing ➞ 9

MAŁGORZATA WITOWSKA

“With a song on our lips we come to You, Poland”.

Silesian singers’ contribution to Uprisings and the Plebiscite ➞ 21

Relations, Memories and Poems

ANDRZEJ LINERT

Silesian Sharpshooter ➞ 45

JÓZEF SZYMICZEK

From Gliwice to the Armoured Division of General Maczek ➞ 73

BARBARA MARESZ (Selected and Edited)

Henryk Zbierzchowski’s poems

on the Silesian Uprisings and the Plebiscite ➞ 139

Inhaltsverzeichnis

Beiträge

LUCYNA SADZIKOWSKA

„Sie starb für Polen“. Die Frauen kämpfende
in den Aufständen in den Werken von Gustaw Morcinek ➔ 9

MAŁGORZATA WITOWSKA

„Wir gehen mit dem Lied zu dir, Polen“. Schlesische Sänger
bei den schlesischen Aufständen und der Volksabstimmung ➔ 21

Mitteilungen, Erinnerungen, Gedichte

ANDRZEJ LINERT

Schlesischer Schütze ➔ 45

JÓZEF SZYMICZEK

Von Gleiwitz bis zur Panzerdivision von General Maczek ➔ 73

BARBARA MARESZ (Wahl und Bearbeitung)

Henryk Zbierzchowski schreibt um
die schlesischen Aufstände und die Volksabstimmung in Versen ➔ 139